TRADYCJONALIŚCI PO DEKRECIE WATYKANU

Jak na ekskomunikę zareagowali wierni Bractwa św. Piusa X?



Łukasz Warzecha ostro o Rozwoju Plus Morawieckiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 40/700 28 WRZEŚNIA–4 PAŹDZIERNIKA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



PIOTR SEMKA O „LALCE" NETFLIXA, CZYLI PAŃSWINIZM NA EKRANIE

Ukraińscy blogerzy wzywają do dogadania się z Rosją

Na skraju katastrofy

KTO PRÓBUJE WCIĄGNĄĆ NAS W WOJNĘ?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



„HUBAL": MUNDURU NIE ZDJĄŁ, BRONI NIE ZŁOŻYŁ

NA TROPIE MJR. DOBRZAŃSKIEGO – Nazywano go przeróżnie: watażką, „malowanym chłopcem", „Żelaznym Majorem", sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal" dobrze przysłużył się Polsce – pisze Jacek Komuda

WIEM, GDZIE JEST GRÓB „HUBALA" – Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz. Od „Hubala dzieli" nas jeden metr – mówi w wywiadzie Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939"

DUOMO, CZYLI DUSZA FLORENCJI – Każde ze średniowiecznych włoskich państw-miast chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami, budując najpiękniejszą i największą katedrę. Florencja postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję – pisze Sławomir Koper

ZAGADKA ŚMIERCI GORKIEGO – Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla – pisze prof. Mikołaj Iwanow

ŚLADAMI PYRRUSA – Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele – pisze Grzegorz Janiszewski

ZAKOCHANY W PANI BIEDZIE – Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji – pisze Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 65c5a5f024

PiS-u problem z wiarygodnością



PAWEŁ LISICKI

Praktycznie wszystkie sondaże pokazują spadek poparcia dla PiS. O ile jeszcze przed rokiem mógł on liczyć na ok. 25–30 proc. głosów, o tyle teraz średnio na 18–19 proc. Dlaczego mimo nieudolnych rządów Donalda Tuska sondaże wyglądają tak, jak wyglądają?

Po pierwsze i oczywiste, część poparcia odebrał PiS-owi Mateusz Morawiecki. Do tej pory Rozwój Plus żadnych nowych wyborców nie zdobył, zabrał natomiast ok. 5–6 punktów procentowych partii Jarosława Kaczyńskiego. Nie jest to dużo i nie wystarczy, by myśleć spokojnie o przyszłości. Tym bardziej że ugrupowanie Mateusza Morawieckiego szybko wpadło w pułapkę. W chwili gdy przyjęło poparcie od Donalda Tuska dla swojego kandydata na wicemarszałka, wyborcy prawicy przestali mu ufać. Politycy PiS mówią o zdradzie i mają dużo racji. Tylko że w ten sposób wcale nie pomagają sobie. Cała kariera polityczna Mateusza Morawieckiego zależała wyłącznie od decyzji Jarosława Kaczyńskiego. To prezes partii go politycznie stworzył i to on przez osiem lat konsekwentnie zawsze opowiadał się za Morawieckim. Jak przez tyle lat mógł się nie zorientować, z kim ma do czynienia?

Po drugie, PiS musi mierzyć się nie tylko z partią rządzącą, lecz także praktycznie z wrogo nastawionym całym aparatem państwa. Tusk nie ma zahamowań, bo wie, że walczy o życie. Dlatego używa przeciw opozycji prokuratury i służb specjalnych.

Czy te dwa powody tłumaczą wystarczająco kryzys PiS? Nie sądzę. Kluczowy wydaje mi się czynnik trzeci, a mianowicie drastyczne osłabienie wiarygodności. Politycy PiS zachowują się, jakby narodzili się na nowo w 2026 r. i jakby między nimi dziś a nimi sprzed lat ziała nieprzekraczalna przepaść. Zamiast przyznać się do błędów, po prostu głoszą poglądy, które niedawno zwalczali.

Nic nie pokazuje lepiej tej gwałtownej wolty niż stosunek do Ukrainy. Przemawiając w Augustowie, prezes Kaczyński mówił: „Początkowo Ukraińcy mieli koncepcję trochę dziwną, to znaczy, że wciągną nas do tej wojny, nawet na zasadzie stworzenia jednego państwa. Przemówienie w Sejmie Zełenskiego właśnie w tym kierunku szło". Dodawał: „Często były też różnego rodzaju kwestie związane z tym, czy coś robić czy czegoś nie robić. Oczekiwali czasem rzeczy, na które my z różnych powodów, ale o nich nie mogę mówić, nie mogliśmy się zgodzić". I jeszcze to: „Polska, nawet gdyby była bardzo wojowniczym krajem, nie miała praktycznie żadnych realnych sił zbrojnych. Nie mogła wchodzić do wojny. Druga strona tego nie zauważała, może ze względu na tę dobrą opinię, jaką mieliśmy u Rosjan".

Doprawdy wypowiedź prezesa musi zaskakiwać. Po pierwsze, jeśli „Polska nie miała praktycznie żadnych realnych sił zbrojnych" w 2022 r., to dlaczego w marcu 2022 r. prezes Kaczyński proponował wysłanie na Ukrainę „pokojowych sił NATO", która to propozycja, gdyby została zrealizowana, wciągnęłaby właśnie Polskę do wojny? Nie ma wątpliwości, i jest to stałe stanowisko Moskwy od początku wojny, że zachodnie siły zbrojne na Ukrainie będą celem ataków rosyjskich. Jest to tak samo jasne teraz, jak cztery lata temu. Jak zatem prezes mógł zgłaszać w 2022 r. pomysł, który pociągałby za sobą wciągnięcie Polski do wojny, jeśli teraz twierdzi, że chciała tego Ukraina, a on się temu przeciwstawiał?

Dodatkowo dlaczego przez ten cały czas politycy PiS powtarzali niczym mantrę słowa, że bezpieczeństwo Ukrainy jest tożsame z bezpieczeństwem Polski? I dlaczego nazywali Kijów największym przyjacielem Warszawy, skoro wiedzieli, że ten chce nas do wojny z Rosją „wciągnąć"?

Niemniej uderza krytyczny stosunek lidera PiS (teraz, w 2026 r.) do koncepcji „stworzenia jednego państwa" polsko-ukraińskiego. Przepraszam, ale kto tę koncepcję wymyślił, przedstawił i promował, jeśli nie właśnie politycy PiS i publicyści bliscy tej formacji? Dlaczego dziwaczny i absurdalny pomysł tzw. Ukropolu nabrał życia i stał się przedmiotem debaty publicznej? Nie dlatego, że wspomniał o niej ten lub inny nazbyt rozemocjonowany romantyk, ale dlatego, że miała ona wtedy, w latach 2022–2023, wsparcie dużej części środowiska PiS. Przecież to Andrzej Duda publicznie opowiadał wtedy o przyszłości, w której między Polską a Ukrainą granic nie będzie. A teraz nagle prezes mówi o tym, że cała koncepcja była formą „wciągnięcia Polski do wojny". Doskonale. Tyle że wtedy, gdy PiS rządził, krytyka tej koncepcji była przez obóz PiS uważana niemal za zdradę i za „uleganie propagandzie Kremla".

Który zatem PiS jest prawdziwy? Ten z lat 2022–2023 czy ten z roku 2026? To, że na to pytanie nie sposób dać jasnej odpowiedzi, wydaje mi się największym problemem cały czas głównej partii opozycyjnej. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

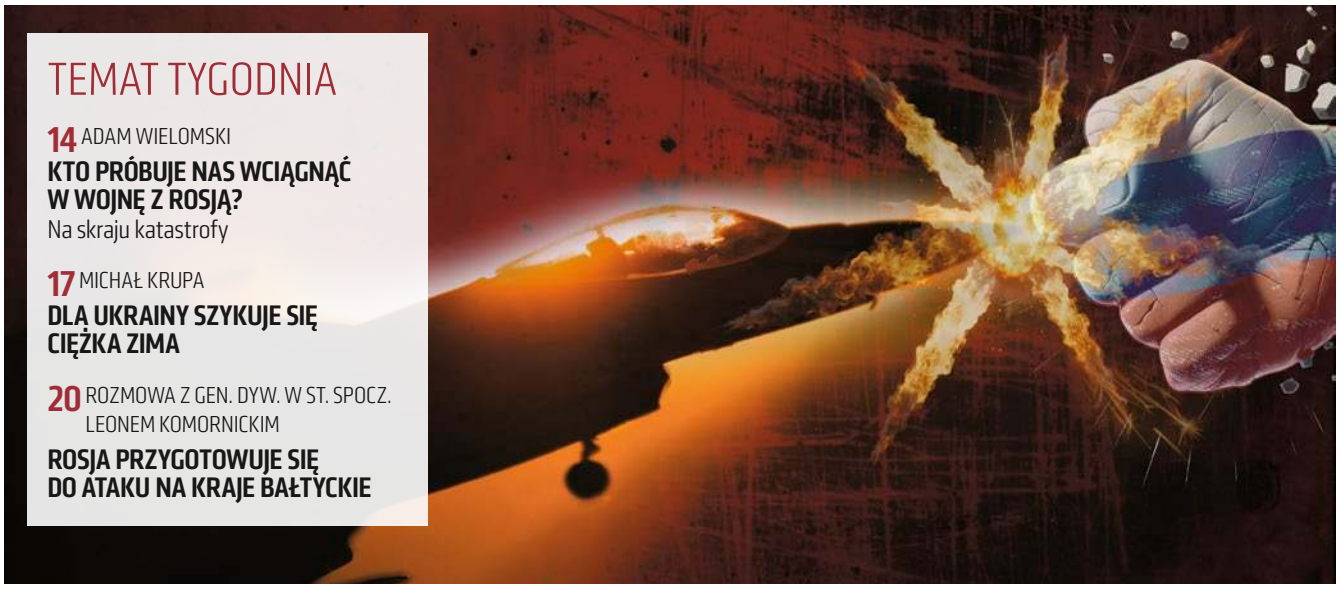

TEMAT TYGODNIA

14 ADAM WIELOMSKI
KTO PRÓBUJE NAS WCIĄGNĄĆ W WOJNĘ Z ROSJĄ?
Na skraju katastrofy

17 MICHAŁ KRUPA
DLA UKRAINY SZYKUJE SIĘ CIĘŻKA ZIMA

20 ROZMOWA Z GEN. DYW. W ST. SPOCZ. LEONEM KOMORNICKIM
ROSJA PRZYGOTOWUJE SIĘ DO ATAKU NA KRAJE BAŁTYCKIE

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WŁADZA PLUS ELEKTRYFIKACJA
Strategia ograniczania wolności

27 ŁUKASZ WARZECHA
MORAWIECKI ODBIERA KACZYŃSKIEMU

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
E-HULAJ DUSZA!

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
TA DRUGA „LALKA”
Dwa różne światy

35 PIOTR SEMKA
PAŃSWINIZM NA EKRANIE

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TAŚMA Z KUTASEM

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 WOJCIECH GOLONKA
WYJĄTKOWA ZWYCZAJNOŚĆ
Jak na ekskomunikę zareagowali wierni Bractwa św. Piusa X

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
LEON XIV I LITURGICZNI BARBARZYŃCY

50 PAWEŁ WITASZEK
ANTYFASZYZM NIE ZASTĄPI NAM POLSKI

HISTORIA

52 KRYSTIAN KRATIUK
PRZEMILCZANY FENOMEN
Media nie poruszają tematu Gietrzwałdu

56 RAFAŁ ŁATKA
UKSZTAŁTOWAĆ EPISKOPAT PO SWOJEMU



ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSCY BLOGERZY WZYWAJĄ DO DOGADANIA SIĘ Z ROSJĄ
Internet przeciw wojnie

63 ROZMOWA Z KAMILEM CAŁUSEM
NADDNIESTRZE: PUŁAPKA STALINA I PUTINA

66 FILIP MEMCHES
FUTBOL I POLITYKA W RUMUNII. SUKCES W CIENIU DYKTATURY

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
MEGAFUZJA W HOLLYWOOD ODMIENI ŚWIAT
Grupa TVN zmieni właściciela

72 ALEKSANDER MAJEWSKI
EKOLOGICZNE SZALEŃSTWO ZABIJA WYŚCIGI

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KSIĄŻĘ I AKTORECZKA
Harry i Meghan wrócili do Wielkiej Brytanii

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 65c5a5f024

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Filip Memches, Anna Zalewska**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Vladyslav Musiienko/PAP (x2), SSPX Society of Saint Pius X**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Netflix i jego „Lala"

Jest taka rozmowa Wokulskiego z Wąsowską wyjaśniająca drobną literówkę w powyższym tytule. Zacytujmy: „A więc co sama pani powiedziałaby o mnie, gdybym ja na przykład nazywał się nie Wokulski, ale – Wolkuski i za pomocą tak małego przestawienia liter zdobył życzliwość nieboszczki prezesowej, wcisnął się do jej domu i tam miał honor poznać panią?

Na ruchliwej twarzy pani Wąsowskiej odmalowało się uczucie wstrętu".

Nawet dla odbiorców słabo znających powieść Prusa po pierwszym odcinku serialu Netflixa staje się oczywiste, że to nie „Lalka". Wystarczą czerwone ręce – w oryginale to oczywiście Syberia, poświęcenie dla ojczyzny, w serialu zaś – bycie podpalaczem, właściwie zwyczajnym przestępcą.

Dlaczego zatem reżyser i platforma uparli się na Wokulskiego, choć to przecież Wolkuski?

A tu należy pochwalić i reżysera, i firmę. Uczniów liceów i techników, czyli potencjalnych maturzystów, jest w Polsce ok. 1,5 mln. Dodajmy do tego nauczycieli – ok. 770 tys. To ludzie, którzy jakoś mogli się poczuć zobligowani do obejrzenia tego serialu.

Już na wejściu kształtuje się zatem spora grupa aktywnych odbiorców, którzy zakładają, że netflixowa produkcja to „Lalka", a nie np. „Lala", a Wokulski to nie Wolkuski. Nawet jak odrzucą ich czerwone ręce podpalacza i przestępcy, a nie nieszczęsnego idealisty, to przecież chodziło o to kliknięcie. Marketingowy majstersztyk… […].

Bez tego manewru film Maślony, zanim by zaistniał […], tułałby się po zaułkach sieci jak ten prawdziwy Wokulski po zaśmieconym Powiślu. Czy stałby się głośny i widoczny, tak jak widoczny jest fakt, że „Lala" zdecydowanie „Lalką" nie jest? Ileż to powstaje seriali kostiumowych, w których mówi się językiem zaułków i dolin?

Jak przyjmować to… ponowne zwycięstwo Prusa, które pokazuje, że na barkach olbrzyma i mały wydaje się duży?

Odpowiedź jest prosta, udzielił jej książę à propos Molinariego: „Należy przyjmować, ale w przedpokoju".

Maciej Zweiffel

Komedia polska

Polska polityka to prawdziwy skarbiec gagów komediowych. Podrywane myśliwce, by odstraszyć stado ptaków, i to raczej niewielkich, ponieważ bociany odleciały już w sierpniu. Niezapomniany widok ministra obrony Kosiniaka-Kamysza nad leżącym na plaży, niczym foka, dronem, podobno rosyjskim, który niezauważenie doleciał aż na zachodnie wybrzeże Polski. Groźby marszałka Hołowni, że „wdepcze w ziemię bandytę Putina", oraz zapewnienia szefa MSZ, że Rosja jest do pokonania niemal w ciągu doby. Pan Radosław Sikorski brał chyba lekcje od prezydenta Zełenskiego, zresztą zawodowego komika, który ostatnio nałożył sankcje na rosyjską bajkę „Masza i niedźwiedź", gdyż zagraża ona bezpieczeństwu narodowemu Ukrainy.

Poczucie humoru naszego ministra docenił sam John Cleese, współtwórca Monthy Pythona. Brawo!

Z poważaniem Ewa Kowynia

„Elon Musk, symulacja życia i totalna władza", Paweł Chmielewski, „DRz" nr 38/2026

W latach 70. czytałem książkę „Dalekie szlaki" Siergieja Sniegowa. W książce tej na Ziemi zwyciężył komunizm, ludzie nie znają wojen, głodu, są braćmi, opiekują się innymi pozaziemskimi cywilizacjami.

CENTRALNY KOMPUTER ma dostęp do naszych myśli, snów, analizuje je i wyciąga wnioski. Ludźmi, aby nie zrobili sobie krzywdy, zajmują się „opiekunki". Nie ma prywatności, komputer analizując nasze myśli, uznaje je za ważne i udostępnia innym ludziom lub lekceważy je i nie przekazuje dalej. Ważne decyzje są podejmowane większością głosów wszystkich ludzi żyjących na Ziemi.

Po lekturze artykułu przypomniałem sobie o tej książce, jestem przerażony. Życie w świecie, w którym komputer zagląda do głowy, analizuje nasze zachowania, steruje naszym życiem według swoich ustawień. Kto miałby go zaprogramować?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 65c5a5f024



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Po Szwecji – Berlin

Dwa tygodnie temu w Szwecji tamtejsze partie lewicy wygrały dzięki nadzwyczajnej mobilizacji imigrantów, głównie z krajów muzułmańskich. Teraz podobne zjawisko zadecydowało o wyniku wyborów w Berlinie, który w RFN ma status odrębnego landu. Zwyciężyli postkomuniści z partii Die Linke, którzy uzyskali 25,1 proc., co w porównaniu z wyborami sprzed pięciu lat oznacza skok o 12,9 proc.

Każdy, kto oglądał amerykański film „Kabaret", pamięta scenę, w której pieśń śpiewana przez młodego bojowca z Hitlerjugend powoduje coś w rodzaju masowej hipnozy wszystkich bywalców podberlińskiej piwiarni.

Gdyby ktoś chciał dzisiaj nakręcić nową wersję „Kabaretu", to kuszące byłoby umieszczenie w filmie sceny z wieczoru wyborczego Die Linke w berlińskiej dzielnicy Neukölln. Gdy gruchnęła wiadomość o zwycięstwie, wszyscy goście zaczęli tańczyć turecki taniec halay. Reporterzy rozpoznali wśród nich Issę Remmo, przywódcę klanu przestępczego, który paraliżuje Berlin, oraz Ibrahima Ibrahima, jawnego zwolennika Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, który brał udział w ataku terrorystycznym na Izrael w 2023 r. Obu gości wprowadził Ferat Koçak – polityk Die Linke tureckiego pochodzenia

Początkowo lewica oburzyła się na sugestie, że to właśnie głosy imigrantów zadecydowały o jej sukcesie, ale szybko potwierdziły to wyniki badań. Według ośrodka ITISAL spośród osób wyznania muzułmańskiego w stolicy Niemiec aż 51 proc. głosowało na Die Linke, 17 proc. na jeszcze bardziej lewicową BSW Sahry Wagenknecht, a jedynie 11 proc. na SPD, 9 proc. na CDU, 4 proc. na AfD i marne 3 proc. na Zielonych.

Skąd tak masowe poparcie? Główną kandydatką Die Linke w Berlinie była Elif Eralp, która zdobyła najwięcej popularności na postulacie przymusowego uspołecznienia części mieszkań, którymi obracają wielkie firmy deweloperskie. Równie ważna była jej zapowiedź, że doprowadzi do większej liczby naturalizacji imigrantów. W kampanii Die Linke pojawiły się postulaty „defundyzacji" berlińskiej policji, czyli obcinania sum przeznaczanych na nią pieniędzy, oraz zapowiedzi kontroli społecznej nad „niesprawiedliwymi" rewizjami w lokalach w dzielnicach imigranckich.

Media pytają, czy klany nie wykorzystały swoich wpływów w środowisku muzułmańskim do nakręcenia dużej frekwencji na rzecz lewicy.

Część mediów przypomniała, że to dotychczasowy burmistrz z CDU, Kai Wegner, zaakceptował pod naciskiem SPD obniżenie wieku wyborczego w Berlinie do 16 lat i program zwiększenia liczby przyznawanych obywatelstw. Za rządów koalicji czerwono-czarnej znaturalizowano pond 79 tys. imigrantów. O ile jeszcze w 2021 r. było w Berlinie 7,8 tys. naturalizacji, o tyle w 2025 r. była to już liczba 39 tys. naturalizacji.

Na naszych oczach powstaje nowa polityczna hybryda – islamokomuna. Jeśli Eralp zostanie burmistrzem Berlina, to działania klanów mogą przełożyć się na realny wpływ na tysiące decyzji.

Reinhard Mohr, publicysta „Die Welt", pyta, czy Berlin stanie się teraz miksem Strefy Gazy i NRD 2.0. ©℗

ŁUKASZENKA SZUKA DIALOGU?

22 września szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski spotkał się w Nowym Jorku z ministrem spraw zagranicznych Białorusi Maksimem Ryżenkowem. Rozmowa, do której doszło w kuluarach 81. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, to pierwszy od niemal dekady kontakt urzędników obu państw na tak wysokim szczeblu dyplomatycznym. Spotkanie dotyczyło m.in. sytuacji na granicy oraz kwestii bezpieczeństwa regionalnego. Białoruskie MSZ określiło je jako „miły restart". ©℗



FOT. MSZ BIAŁORUSI/FACEBOOK

KRWAWY ATAK UKRAIŃCA W JAROSŁAWIU

31-letni Ihor M. w czwartek rano zaatakował nożem pięć osób w Opactwie Sióstr Benedyktynek w Jarosławiu. Najstarszy z rannych księży, Stanisław, zmarł jeszcze podczas reanimacji. Gdy wysyłaliśmy do druku to wydanie tygodnika, stan dwóch innych księży był nadal ciężki. Obaj przeszli operacje i walczyli o życie. Kolejny z zaatakowanych księży został już wypisany ze szpitala. Atak potępił w czwartek prezydent Ukrainy. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

dwaj panowie g

Jak powszechnie wiadomo, Pentagon odwołał wizytę Władysława Kosiniaka-Kamasza. Żeby Amerykanie nie byli stratni, posłano za ocean Sobkowiak-Zalewskiego. Po powrocie oznajmiono, że wbrew zapowiedzi Trumpa baza amerykańska w Polsce to jeszcze nie teraz. Jak komentują złośliwi – znów im się udało odwlec. Tymczasem Radek Sikorski ogłosił, że baza na pewno nie będzie się nazywała Fort Trump.

Tymczasem prezydent Karol Tadeusz za oceanem rozmawiał nie tylko z Trumpem, lecz także z samym sułtanem otomańskim, Recepem Erdoğanem. Jak wiadomo, podczas ich ostatniego spotkania został obdarowany pozłacanym pistoletem. Niestety, w ramach wdzięczności osoba głowy państwa nie stanęła na wysokości zadania i podarowała Recepowi ledwo szablę. My to byśmy się szarpnęli na pozłacaną wyrzutnię Piorun.

Natomiast złe języki z PiS kolportują plotki, że za zamieszanie z tym, że niby za oceanem można sobie za dolary kupić spotkanie z osobą głowy państwa, stoją oczywiście morawianie. Padają nawet dwa imiona: pewnego Marcina i pewnego Pawła. Nazwiska też padają, ale nie będziemy podawać, gdyż nie wiemy, czy to prawda. Wiemy natomiast, że prawdą jest, że PiS tak nadaje.

Z życia partyj na prawicy. Rozmów o pakcie senackim nadal brak, w każdym razie nie w formule kancelaria osoby głowy państwa plus cztery partie prawicy. Ale odnotowujemy z zaciekawieniem, że Korona Brauna wprowadziła czterech ludzi do rozmaitych rad przy prezydencie Karolu Tadeuszu. Czyżby zapowiedź odwilży?

Pamiętacie, jak PiS krzyczał, że próba zniesienia dwukadencyjności w samorządach to zamach na demokrację i powrót sitwy? Słyszeliśmy, że idzie zmiana. Teraz ma być pragmatycznie i PiS może zniesienie dwukadencyjności poprzeć. Kalkulacja jest prosta: chodzi o to, żeby liczni popularni samorządowcy, którzy nie będą mogli już kontynuować kariery jako prezydencji czy burmistrzowie, nie zasilali gremialnie list Morawieckiego.



FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

I kto twierdzi, że Naczelnik Jarosław nie umie w Realpolitik?

CBA ledwie ciągnie, bo – jak wiadomo – nie jest ukochaną służbą specjalną rządzących. Jak twierdzą jednak nasze wiewiórki, ludzie Biura roboty mają w bród – rządzący bowiem kradną na potęgę, jak gdyby mieli przekonanie, że obecna kadencja nie będzie miała swojej kontynuacji. Dzielni funkcjonariusze znaleźli nowy sposób na łapówkarzy i przekręciarzy. Otóż po sprawie Wojciecha Króla odkryli, że aby skutecznie postawić zarzuty, trzeba w sprawie znaleźć jakieś fundusze europejskie, bo wtedy można sprawę oddać w ręce prokuratury europejskiej. A tej nie nadzorują obecnie rządzący.

Metoda jest skuteczna tylko częściowo. W przypadku Wojciecha Króla Sejm zgodził się na areszt, ale już sąd go nie zastosował. Nasze wiewiórki twierdzą, że czekano, aż będzie orzekał katowicki sędzia o nazwisku Długosz. Nic to, że według obecnie rządzących jest neosędzią. Istotniejszy jest fakt, że jest wielbicielem tzw. wolnościowych środków zapobiegawczych. Jeśli dodać do tego, że na piśmie swojego czasu dał wyraz swemu uwielbieniu do TSUE, to obraz będzie chyba kompletny.

Przyznajemy: kiedy już myśleliśmy, że nic nie jest w stanie nas zdziwić, Rafcio Trzaskowski wypowiedział się w sprawie środków antykoncepcyjnych dla dzików. Otóż żadne eurodyrektywy oraz euroweterynarze takich nie przewidują. Rafcio martwi się więc, że będzie jednak trzeba dziki odstrzeliwać. Zwłaszcza że Sejmik Województwa Mazowieckiego przegłosował, żeby strzelać bez limitu. Mamy dla zmartwionego Rafcia propozycję ratunkową – zafundować dzikom prezerwatywy.

My tu gadu-gadu, a rząd tymczasem chce naprawdę wpłynąć na życie milionów Polaków, podnosząc akcyzę na alkohol. Przyjmujemy ten projekt ze zrozumieniem, jako kolejny etap słusznego powrotu do PRL, kiedy to jedyną metodą ratowania budżetu państwa było w czasach gospodarczego kryzysu podnoszenie cen wódki i papierosów. Odnotowujemy również, że Koalicja Łobywatelska jest nawet skuteczniejsza od nieboszczki PZPR. Otóż mało kto pamięta, że podczas poprzedniej kadencji Tuska, przed 2015 r., rządzono tak sprawnie, że po raz pierwszy od wojny w Polsce zaczęły bankrutować gorzelnie. W Polsce, powtarzamy. To tak, jakby Saharę trzeba było zamknąć z powodu braku piasku.

Uwaga, występujemy w nietypowej roli: mianowicie chcemy uspokoić i ukoić pracowników TVN oraz wszystkich innych części imperium Warner Bros. Discovery. Otóż obiegowa opinia jest taka, że nowi właściciele, czyli rodzina Ellisonów, to kumple Donalda Trumpa, więc zrobią telelibkom kęsim-kęsim. Otóż wątpimy. Tak się bowiem składa, że śledzimy politykę programową Paramount dość uważnie. Zasłynął np. wyprodukowaniem nowej serii „Star Treka", która była tak woke, LGBTQWERTY+ itd., że trzeba było zamknąć całą sędziwą franczyzę. Na Wiertniczej nie mają się więc co martwić, najwyżej będą musieli zamiast „Na Wspólnej" emitować „Na Postępu".

Idzie święto demokracji. Nie, nie w Krakowie. Otóż w listopadzie odbędą się w Zielonej Górze wybory uzupełniające do Senatu. I swoich kandydatów wystawić mają: PiS, jedna Konfa, druga Konfa, Rozwój Plus oraz lokalny komitet prawicowy. Przewidujemy katastrofę w stylu Konwentu Świętej Katarzyny. Ale i druga strona nie ma łatwo. Z braku dobrych kandydatów rozważa się nawet wystawienie Waldemara Sługockiego. To ten były wiceminister, którego w 2024 r. wywalili z rządu za to, że gdy było głosowanie w Sejmie w sprawie aborcji, siedział w USA. Wiedzieliśmy, że ławka KO jest krótka. Ale nie wiedzieliśmy, że aż tak. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



PŁYWANIE W KISIELU

Próg buty

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Pani Horna-Cieślak, z łaski Donalda Tuska rzecznik praw dziecka, pokłóciła się na ulicy z inną, przypadkową panią i kazała policji odebrać jej i jej mężowi dzieci. Policjantka, której to nakazała, posłusznie jej życzenie spełniła, choć ani RPD nie ma żadnych kompetencji, by rozkazywać policji, ani nie miała w ogóle pojęcia, o czyje dzieci chodzi i za co mają być odebrane. Pani rzecznik kazała też „klepnąć" odebranie dziecka sądowi i tu dopiero trafiła na opór – sędzia, na którą trafiła, okazała się odporna na machanie jej przed nosem partyjną legitymacją i dzieci uwolniła, miażdżąc w orzeczeniu dygnitarskie uroszczenia Hornej-Cieślak.

Wątek służalstwa policji wobec władzy to osobny kryminał i zostawmy go na boku (zapewne policjantka liczyła, że za gorliwość w służbie Partii zostanie awansowana, tak jak funkcjonariusz, który aresztował emerytkę za negatywny wpis o Owsiaku). Ludzie teraz pytają: Dlaczego Horna-Cieślak to zrobiła? Odpowiedź jest prosta: bo mogła. Wcześniej przecież urządziła cyrk, atakując cukiernię za darmowe lody dla uczniów i w ogóle ideę świadectw z wyróżnieniem. Było trochę oburzenia, trochę kpin. Ale co się ostatecznie stało? Nic. Potem w „Wyborczej" – nie w mediach „prawicowych", w organie władzy! – ujawniono, że pani rzecznik wobec swoich pracowników jest przemocową mobberką. Coś jej to zaszkodziło? Nic. No więc…

W istocie to część istnego festiwalu bezczelności i buty ludzi Tuska. Dawid Kacprzyk, pytany, jak czuje się z tym, że przez jego pazerność i niekompetencje umierali pacjenci, mówi dziennikarzom, że „ma to w dupie". Wojciech Król, oskarżony o łapownictwo, matactwa i zastraszanie świadków, na posiedzeniu sejmowej komisji jak rasowy gangus straszy europejską prokurator, że „odpowie za to" i wraz z kolegami „tak tego nie zostawią". Po czym koledzy zmieniają dzień głosowania nad jego immunitetem i trafia na dyżur sędziego, który go zwalnia. Czyż oni nie mają silnych podstaw, by mieć nas w dupie?

Gdzie jest próg, za którym ta buta zostanie wreszcie przez Polaków ukarana? ©℗

#WARTO

Stanisław Szelc. Pożegnanie



JAN POSPIESZALSKI

21 września w wieku 83 lat zmarł Stanisław Szelc, aktor, satyryk, autor radiowy i telewizyjny, najkrócej mówiąc – artysta. Pamiętamy go przede wszystkim jako współtwórcę radiowego „Studia 202" czy legendarnego kabaretu Elita. Młodsi mogą go kojarzyć z rolami w filmach „Świat według Kiepskich" czy „Pod Mocnym Aniołem".

Staszka poznałem w latach 70. we wrocławskim Teatrze Kalambur. Dzisiejsza widownia wychowana na kabaretach rechotu i szydery (najczęściej z ojca dyrektora i Kaczora) nie wiem, czy pojęłaby wyrafinowaną ironię lub subtelne aluzje, jakimi bawili nas wtedy Skoczylas, Niedzielski, Waligórski, Kaczmarek i właśnie Staszek. Reprezentowali ginący już gatunek kabaretu literackiego. Choć to sztuka ulotna i z definicji niepoważna, to operując odniesieniami do literatury, zakorzeniona w kulturze, wymagała od odbiorcy elementarnego oczytania.

Staszek kiedyś przy okazji zjazdu sybiraków opowiedział mi swoją historię. Urodził się na zesłaniu, wkrótce po tym jego ojciec trafił łagru. Prowadzona przez władze tzw. paszportyzacja, czyli nadawanie Polakom obywatelstwa sowieckiego, osadzonym w łagrach wprawdzie zamykała drogę do ewentualnego powrotu do Polski, ale była sposobem na ocalenie. Mama, z kilkutygodniowym Staszkiem na ręku, podjęła próbę odszukania ojca. Po wielodniowej tułaczce dotarła do łagru i wystarała się o widzenie. Błagała męża, aby zgodził się i przyjął sowiecki paszport. Staszek, opowiadając mi tę historię, mówił, że ta dramatyczna scena rozegrała się w jego obecności, choć oczywiście przebieg rozmowy zna tylko z relacji mamy. Tata powiedział, że nie może. Nie jest w stanie tego zrobić. W głosie Staszka wyczuwałem z jednej strony ukrytą pretensję do ojca, ale i dumę. Ojciec Stanisława Szelca z zesłania nigdy nie wrócił, ale ustalił cenę – ile warta jest Polska. Część kosztu zapłacili bliscy, mama i Staszek. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Marszałek Polny Czarzasty



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Mam nadzieję, że kiedy czytają państwo te słowa, bezdzietna (to nie zarzut, to konstatacja) Monika Horna-Cieślak nie jest już rzecznikiem praw dziecka. Stop. Nie chodzi o to, że jej pracownicy skarżyli się na niezwykle sprawnie zorganizowany przez nią w biurze systemowy mobbing wyniszczający psychikę i atmosferę przypominającą prawdziwe piekło (krąg VII, Przemoc). Stop. Chodzi o to, że odebrała razem z policją (bez sądu) dzieci matce, bo matka na nią brutalnie nakrzyczała. Stop. Tak, dokładnie tak zrobiła. Stop. Kiedy sprawa dotarła do sądu, sąd nakazał oddać przerażone dzieci rodzicom, a działania tej, tej, no tej pani z grzywką nazwał „instytucjonalną przemocą". Stop. Policja, zabierając dzieci, przeszukała ludziom mieszkanie i sporządziła wielce pokraczną notatkę. Stop. Szukali wszędzie dowodów obciążających rodzinę i znaleźli… dwa piwa w lodówce (!) groza. Stop. Policjanci uściślili nawet, że „zamknięte". Stop. Wielbiciele czarnego humoru natychmiast ruszyli do wyścigu. Stop. Wygrał gość, który dokonał w mediach społecznościowych autodenuncjacji, informując policję, że posiada w lodówce otwarte 0,75 litra whisky, wnosząc jednocześnie o odebranie mu teściowej. Stop.

W piątek 18 września pewien 56-latek groził w mediach społecznościowych Tuskowi, chodzi o człowieka zatrudnionego aktualnie na stanowisku premiera. Stop. W sobotę 19 września policja zatrzymała owego mężczyznę celem postawienia mu zarzutów kryminalnych. Stop. 11 czerwca 2026 r. na schodach przy Złotych Tarasach w Warszawie pan, jakby Murzyn, uderzył z zaskoczenia bardzo silnie 20-letniego Polaka w twarz. Stop. Policja dysponuje nagraniem, które stało się bardzo popularne w Internecie. Stop. Do tej pory policja nie ustaliła jednak sprawcy, mimo że pokrzywdzony zgłosił zdarzenie na policję. Stop. W związku z tym mam jakby poradę dla ofiar przestępstw, która może mobilizować, o ile jest legalna, policję do działania. Stop. Jeśli ktoś was pobije czy okradnie, gdyby tak wziąć i dodać, że zdaje się groził też Tuskowi, to sprawa może zostać potraktowana poważnie i może być tak, że policjanci zaczną szukać sprawcy. Stop. Do rozważenia.

Czarzasty wyznał publicznie, że robił w polu, i nie chodzi o wykopki. Stop. Z tego powodu otrzymał tytuł Marszałka Polnego. Stop. Zostawmy ten temat… ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

RODZINA NA PÓŁ GWIZDKA

Za nami ślub dekady – dziennikarz Filip Chajzer poślubił swoją ukochaną, 20-letnią Biankę. Szybka znajomość, szybki ślub. Para pobrała się w jednym z krakowskich kościołów. Duża różnica wieku zakochanych od początku wywoływała kontrowersje, także w rodzinie panny młodej. Po ślubie w sieci pojawiły się plotki, jakoby mama Bianki jednak pojawiła się na uroczystości; co więcej, miało dojść do awantury. Filip Chajzer w rozmowie z Plejadą skomentował te



FOT. FOTO/REPORTER

rewelacje. – To bzdura, ktoś to wymyślił. Nie było mamy Bianki. Nad czym zresztą bardzo ubolewam. Natomiast tata mojej żony odprowadzający Biankę do ołtarza, klasa absolutna. Jesteśmy tym bardzo wzruszeni – zapewnił. Z kolei portal Pudelek ustalił, że ojciec ukochanej Filipa co prawda poprowadził córkę do ołtarza, ale obecny był tylko na ślubie, na weselu już nie – rzekomo przez zobowiązania zawodowe. – I chociaż nie jest zwolennikiem tego małżeństwa, to nie wyobrażał sobie, by nie być z córką w tak ważnym dniu. Chciał być przy córce – przekazał informator. Trzeba przyznać – ciężki start w nowe życie.

NIANIA FULL SERVICE

Angelika Trochonowicz „Andziaks", jako stała bywalczyni ścianek i celebryckich spędów, dość często daje pożywkę do podśmiechiwania. Podczas wywiadu udzielonego „Telemagazynowi" rozwinęła wątek, który niedawno poruszył jej obserwatorów – influencerka wyznała, że wraz z mężem rozważają zatrudnienie niani z Filipin. Wśród motywacji znalazła się taka, która może zaskakiwać. – Dlatego że pani nie będzie rozumiała, o czym rozmawiamy na co dzień – wyznała „Andziaks" z rozbrajającą szczerością. – U nas bardzo dużo przewija się różnych osób i my jesteśmy zwariowani, wiesz. Chcemy mieć przestrzeń taką fajną, luźną w domu – stwierdziła. Dalej wyjaśniała, że anglojęzyczna opiekunka byłaby świetną pomocą w językowej edukacji jej dzieci. – Stwierdziłam, że fajnie dla dziecka, jeżeli rodzice będą rozmawiali po polsku, a niania będzie mówiła po angielsku. Jak na co dzień masz panią, która świetnie mówi po angielsku, to dziecko prędzej czy później mimochodem się tego angielskiego nauczy – tłumaczyła. To nie koniec. „Andziaks", której bogaci znajomi już „zaopatrzyli się" w filipińskie nianie, liczy na inne ułatwienia. Świetnie Filipinki gotują. Słyszałam od znajomych, że można umówić się również na masaże. Więc jest tyle korzyści. Wielokrotnie u moich znajomych słyszałam, że mieli opiekę z Filipin i była to super sprawa – podkreśliła celebrytka. „Andziaks" wciąż się jednak waha. – Nie wiem, jak to u nas będzie finalnie, bo ja jestem chyba taką mamusią, która dziecka nie chce odłączyć od siebie. Nie wiem. Bardzo dużo pracy przede mną, więc może się na to otworzę – podsumowała. Tylko pozazdrościć takich dylematów.

AWANTURA NA DWA GŁOSY

W talent show już dawno bardziej niż o talent chodzi o show. W emitowanym właśnie przez TVP sezonie „The Voice of Poland" uczestników oceniają Edyta Bartosiewicz, Tomson i Baron, Kuba Badach oraz Michał Szpak. Dwaj ostatni, co można było wyłapać już wcześniej, nie nadają na tych samych falach. A że ich „kłótnie" (w cudzysłowie, bo trudno nie odnieść wrażenia, że konflikt jest bardziej reżyserowany niż realny) dobrze sprzedają się na portalach plotkarskich, to panowie dostarczają ich regularnie. – Czasami były, wydaje mi się, zbyt mocne. Mam nadzieję, że zmontują to tak, że nie będzie aż tak hardcorowo, jak było na żywo. Ale też były momenty, które nas jednoczyły i walczyliśmy w jednej sprawie – komentował Michał Szpak w rozmowie z Plejadą. Żądni „awantur" dostali kolejną w nowym odcinku popularnego show. Podczas „przesłuchań w ciemno" jurorów zachwyciła Pola Deptuła z utworem „Ai No Corrida". Do swojej drużyny chcieli wziąć ją i Michał Szpak, i Kuba Badach. Badach podkreślił, że Pola jest świetna, a także wypunktował błędy. Wtedy Szpak zaapelował do kolegi, aby pozwolił uczestniczce pozostać sobą. – Więc jeżeli chcesz zostać sobą, ale wiedzieć też, co to znaczy profesjonalizm, to zapraszam do siebie. A jeżeli nie, to pójdź sobie, gdzie chcesz – stwierdził w odpowiedzi Badach. – Kuba, ty nie dosięgasz takich dźwięków, jak ja, więc nie p....z bzdur – wbił mu szpilę Michał Szpak. – Twoja skala głosu jest nieco mniejsza i twoja skala wychowania jest również niedostosowana do tej sytuacji. Nie, żartuję oczywiście [...]. Nie każ nam się bardziej kłócić, bo możemy wyjść z tego studia na solówkę – podsumował Szpak, którego ostatecznie wybrała uczestniczka. Tuż po zejściu ze sceny artysta wziął kamerę do ręki i podszedł do Kuby Badacha. Już po odcinku mąż Aleksandry Kwaśniewskiej stwierdził, że „ładnie im to poszło" i że „elegancko się dojeżdżali". Sztuczne to wszystko jak śmiech w sitcomach. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w mediach społecznościowych w ostatnim czasie dużą popularność zdobył monolog pewnej waginoosoby, która na górskim szlaku nagrała filmik, w którym apeluje do mężczyzn, iżby nie zagadywali nieznajomych kobiet na szlakach oraz nie siadali koło nich na ławkach pod schroniskami, jeśli mają do wyboru inne niezajęte ławki.

Oczywiście manosfera i incele się spłakali, no bo jakże to tak, przecież w tradycyjnym rozumieniu facet w górach jest przede wszystkim po to, iżby pokazywać, jaki to z niego nie jest wielki himalaista, a nadrzędnym celem dla takiego mizogina jest znalezienie na szlaku partnerki, która podziwiałaby jego sprawność fizyczną, orientację w terenie, czytanie map i pojedynki na gołe pięści z niedźwiedziem.

Ktoś, kto się śmieje z tego filmiku, najwyraźniej nie rozumie, iż bycie zagadywaną jest dla współczesnych waginoosób próbą naruszenia ich autonomii, ponieważ nie po to istniały emancypantki, feministki i nie po to Emily Davison rzuciła się pod konia, iżby teraz to facet w górach miał decydować o tym, czy waginoosoba będzie zagadywana, czy też nie.

Poza tym umówmy się, jeśli waginoosoba idzie w góry, to po to, iżby odpocząć, odnaleźć siebie i poobcować z naturą. Facet idzie w góry zaś po to, żeby pokazać swoją dominację fizyczną nad innymi fallusoosobami i „zdobywać" szczyty. A więc widzimy wyraźnie, iż istnieje tu etos górskich zdobywców, którzy potem przechwalają się nie tylko



tym, jak szybko wbiegli na Kasprowy, ale też ile „lasek zagadali po drodze", no i prawdę mówiąc, jest to obrzydliwe, w świeckim duchu czułej i świadomej męskości musimy potępić stanowczo takie postawy.

Z drugiej strony możemy oczekiwać, iż to po prostu minie, tak jak ten irytujący zwyczaj mówienia obcym osobom „dzień dobry". Może i nie jesteśmy waginoosobami, ale też nie życzymy sobie bycia zagadywanymi przez starszych turystów z mniejszych ośrodków.

Jaka siara. Widzieliśmy wyniki badania, iż Polacy boją się sztucznej inteligencji i martwią się, iż zabierze im pracę. Co więcej, jest to jeden z najwyższych odsetek osób, które tak twierdzą w krajach Unii Europejskiej. Przecież to jest wstyd przed zjednoczoną Europą.

Wiecie, „prawdziwi" Polacy boją się wszystkiego: LGBTQ, szczepień, migracji, „Lalki" z Netflixa, wiatraków i ekologicznej energii, samochodów elektrycznych i Donalda Tuska. Gdyby teraz zamiast sztucznej inteligencji popularność zdobywały antybiotyki, to pewnie woleliby umierać na koklusz. Straszna ciemnota.

A co mówią fakty? W Polsce bezrobotnych jest już ponad 900 tys., a więc sztuczna inteligencja wcale nie jest potrzebna, iżby poziom bezrobocia wzrastał. Bać się można najwyżej swojej niekompetencji i zasiedzenia w jednym zakładzie, gdzie przez 40 lat stukało się tym samym młotkiem w te same gwoździe. AI trzeba się nauczyć, a nie się jej bać.

No ale wiecie sami, jak to jest ze wszelkimi nowościami w tym kraju. Obawiamy się, iż jeszcze przez długie lata na dźwięk słowa „AI" ludzie będą się chować po chałupach, zasłaniać okiennice i wołać księdza. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Za mało grozy

Marcin, za mało grozy, za mało. Mamy badania – ludzie się przestali bać.

Dobra, Donald. Ale to co mamy pisać w tych alertach? Już o ataku z powietrza dawaliśmy.

To może tak: „Uwaga, straszliwy atak z powietrza!".
Słabe. To niby ma zrobić różnicę?

„Poszukiwaczy zaginionej arki" widziałeś? Indiana Jones.

Jasne!

Tam jest taka scena, jak faszystom się skóra rozpuszcza i szkielety zostają. Załącz to do SMS-a. Na jakiś czas wystarczy. Później się coś nowego wymyśli. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kleptokracja panuje w Rosji Putina, w Ameryce Trumpa i panowała w Polsce rządzonej przez Kaczyńskiego".

TOMASZ LIS, *publicysta, na platformie X*

eprasa.pl 65c5a5f024



www.dorzeczy.pl

eprasa.pl 65c5a5f024



SPOTKANIE NAJPOTĘŻNIEJSZYCH LUDZI ŚWIATA

Prezydent Stanów Zjednoczonych oraz przywódca Chin spotkali się w ubiegłym tygodniu już drugi raz w ciągu zaledwie czterech miesięcy. Donald Trump osobiście powitał Xi Jinpinga na czerwonym dywanie rozłożonym na płycie lotniska w Waszyngtonie. To ważny gest. Elementów efektownej oprawy podczas tej wizyty było o wiele więcej.

Xi Jinping usłyszał z ust Donalda Trumpa bardzo wiele pochwał. Prezydent Chin podczas uroczystej kolacji określił spotkanie jako „historyczny moment" w relacjach chińsko-amerykańskich. Ogłosił również, że „podczas szczerej i pogłębionej wymiany zdań" doszedł z przywódcą USA do porozumienia w wielu kwestiach. Zapowiedział również, że do zoo w Atlancie trafią wkrótce dwie pandy, co jest częścią tzw. dyplomacji pand (te słodkie niedźwiedzie są przekazywane do ogrodów zoologicznych w tych państwach, z którymi Chiny utrzymują dobre stosunki).

Na szczycie zabrakło jednak przełomowych deklaracji dotyczących sztucznej inteligencji, handlu, Tajwanu czy wojny na Bliskim Wschodzie. Jedyną konkretną deklaracją było przedłużenie dwumiesięcznego rozejmu w wojnie celnej (ogłoszono je jednak jeszcze przed rozpoczęciem rozmów najważniejszych przywódców świata).

Xi i Trump będą w tym roku mieli jeszcze okazje do rozmów. W połowie listopada spotkają się na szczycie Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) w chińskim Shenzhen, a w grudniu na spotkaniu przywódców państw G20 w Miami. ©℗

FOT. XIE HUANCHI / XINHUA NEWS AGENCY / FORUM

eprasa.pl 65c5a5f024

Kto tak naprawdę chce wojny z Rosją?



FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK



Adam Wielomski

Wydaje się, że wojny nie pragnie żadna ze stron. Putin jest zajęty Ukrainą i otwieranie nowego frontu jest ostatnim, na czym może mu zależeć. Politycy zachodni oraz ich konsumpcyjne i hedonistyczne społeczeństwa nie chcą walczyć, dyskutując, ile jest płci, i odrzucając patriotyzm jako nacjonalizm. Słowem: Rosji nie stać na wojnę z Europą, a Europa nie będzie walczyć za Ukrainę

Po rozpoczęciu ukraińsko-rosyjskiego konfliktu zbrojnego w 2022 r. prawie wszyscy politycy mówili, że trzeba wspierać Ukrainę, unikając bezpośredniego wmieszania do działań wojennych państw zachodnich. W Polsce w ówczesnych sferach rządowych z PiS głosy nawołujące do bezpośredniego zaangażowania w wojnę pojawiały się, lecz zawsze z zastrzeżeniem, że musiałaby to być wojna z udziałem Stanów Zjednoczonych. Wielu, w tym także ja, ostrzegało, aby nie dać się w tę wojnę wmanewrować, gdyż głównym teatrem konfrontacji anglosasko-rosyjskiej byłaby Europa Wschodnia, włącznie z Polską. Od niedawna narracja gwałtowanie się zmieniła. Nie ma już mowy o unikaniu bezpośredniego konfliktu zbrojnego, lecz o tym, kiedy i gdzie miałby się on zacząć. Jakkolwiek ciągle mówi się, że stroną atakującą miałaby być Federacja Rosyjska, to coraz bardziej można w to wątpić. Władze rosyjskie wprost deklarują, że wojny nie chcą, chyba że byłaby to wojna obronna, rozumiejąc przez to zaatakowanie bezpośrednio terytorium Rosji lub wprowadzenie wojsk europejskich na teren Ukrainy, co oznaczałoby ich starcie z armią rosyjską. I im dany polityk zachodni mocniej deklaruje swój liberalizm, tym częściej mówi o nieuchronności wojny. O co w tym chodzi?

WOJNA HYBRYDOWA

Pojęcie wojny hybrydowej zrobiło w ostatnich latach oszałamiającą karierę głównie dlatego, że jest nieprecyzyjnie. Teoretycznie oznacza ono rodzaj konfliktu, gdzie nikt nikomu nie wypowiedział wojny i nie ma żadnej linii frontu. Działania hybrydowe miałyby polegać na atakach hakerskich na systemy informatyczne drugiej strony, organizowaniu we

eprasa.pl 65c5a5f024

wrogim państwie działań sabotażowych etc. W praktyce słowo to zaczęło znaczyć wszystko, a jak wiadomo, jeśli jakieś pojęcie oznacza wszystko, to w praktyce nie znaczy nic.

Donald Tusk stwierdził ostatnio, że ewentualny atak na Polskę za pomocą rakiet balistycznych i dronów byłby wojną hybrydową, ale moim zdaniem byłyby to już jak najbardziej regularne i „gorące" działania zbrojne. Równocześnie wojną hybrydową miałoby być wyrażanie w Internecie własnego zdania, sprzecznego z oficjalną linią rządu. Jak wiadomo, Putin całymi dniami trolluje w Internecie, wskazując kolejne porażki rządu. Opowieści w hybrydowej wojnie w mediach społecznościowych wskazują wyłącznie na narastającą krytykę rządu ze strony udzielającego się w mediach społecznościowych suwerennego narodu, który dostrzega szkodliwą działalność rządu i jego wojnę hybrydową przeciwko Polsce. Tyle warte jest to pojęcie.

Tym niemniej pewne rzeczy realnie się dzieją. Mamy falę podpaleń, a nawet nieudolnych prób sabotażu linii kolejowych. Do Polski raz po raz wlatują cudze drony, a rosyjskie samoloty wojskowe zbliżają się do naszej granicy powietrznej. Incydenty z dronami mają miejsce w państwach nadbałtyckich, w Niemczech i w Wielkiej Brytanii. Rządzący podają, że za wszystkim stoją Rosjanie, lecz gorliwość, z jaką przypisuje się im wszystkie incydenty, budzi najwięcej wątpliwości.

Przypominam, że wedle polityków i mediów rakieta, która w listopadzie 2022 r. zabiła w Przewodowie dwóch obywateli polskich, miała być rosyjska, po czym okazało się, iż była to ukraińska rakieta antybalistyczna S-300. Rosyjski dron, który miał uderzyć we wrześniu 2025 r. w dom we wsi Wyryki, ostatecznie okazał się NATO-wską rakietą do strącania dronów, która w pogoni za rzeczywistym dronem uderzyła w budynek, co nie przeszkodziło wiceministrowi Marcinowi Bosackiemu na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ oskarżyć Rosję. Gdy polskie służby łapią podpalaczy i sabotażystów, to z reguły legitymują się oni paszportami ukraińskimi. Gdy tydzień temu Litwa podniosła alarm, że nadlatują nad jej terytorium rosyjskie drony, okazało się, że było to tylko stado ptaków. Finlandia też ganiała rosyjskie drony, które ostatecznie okazały się ukraińskimi. Przypominam, że długo wmawiano nam, że Nord Stream też Putin wysadził sam sobie w ramach wojny hybrydowej, po czym okazało się, że zrobili to Ukraińcy.

Wszystkie te fakty nakazują zachowanie ostrożności wobec propagandowej wojny hybrydowej przeciwko zdrowemu rozsądkowi. Za różnymi zdarzeniami stoi Rosja. Lecz czy koniecznie za wszystkimi?

CZYJ INTERES?

W ramach liberalno-europejskiej wojny hybrydowej przeciw rozumowi przypisuje się Rosji sprawstwo bezpośrednie lub kierownicze rozmaitych wydarzeń. Stąd należy zapytać, jaki Władimir Putin miałby mieć w tym cel. Czy Rosja dąży do wywołania wojny z Europą Zachodnią? Nie mam wątpliwości, że tak nie jest. Potęga współczesnej Federacji Rosyjskiej jest cieniem dawnej potęgi ZSRS. Rosja przeszła straszliwe załamanie ekonomiczne za czasów Borysa Jelcyna, co bardzo negatywnie odbiło się na wyposażeniu jej wojsk. Potencjał demograficzny Rosji to zaledwie połowa potencjału ludnościowego ZSRS. Połowa ludności upadłego imperium jest poza zasięgiem rosyjskich komisji mobilizacyjnych, a część z niej (kraje nadbałtyckie i Ukraina) przeszły na stronę NATO.

Radosław Sikorski miał rację, mówiąc, że potencjał militarny Europy Zachodniej jest znacznie większy. Słabością Europy nie jest potencjał militarny i ekonomiczny, lecz hedonistyczne społeczeństwa, które absolutnie nie są gotowe walczyć.

W tej sytuacji mówi się, że za pomocą wojny hybrydowej Rosja „testuje" zdolności bojowe NATO, sprawdza, czy państwa zachodnie chciałyby wysłać swoje wojska w obronie Łotwy czy Estonii etc. Może i tak jest, jednak sądzę, że rosyjskie działania wiążące się z zagrożeniem przestrzeni powietrznej państw NATO mają bardziej prozaiczne przyczyny: Ukrainie brak w tej chwili rakiet antybalistycznych typu Patriot. USA wyczerpały dwie trzecie swoich zapasów w konflikcie z Iranem i oficjalnie ogłosiły, że przez następnych pięć lat nie będą ich sprzedawać swoim sojusznikom. W tej sytuacji Kijów może je pozyskać wyłącznie od państw europejskich, które mają ich ok. 500–600 (dane dokładne są utajnione). Czym powietrze tych państw będzie bardziej zagrożone, tym mniejsza będzie chęć przekazywania ich Ukrainie. Incydenty powietrzne z udziałem samolotów i rakiet balistycznych są zatem dla Rosji korzystne. Gdyby nie one, to ok. setki kolejnych rakiet Patriot byłoby już w Kijowie.

Już po zakończeniu swojej prezydentury Andrzej Duda w jednym z wywiadów wprost stwierdził, że Ukraina wielokrotnie próbowała wciągnąć Polskę do wojny. Wypowiedź ta wielu zdziwiła, lecz dla mnie była oczywista. Poza brakiem rakiet Patriot największym problemem Kijowa są topniejące zasoby demograficzne. Jeden z ukraińskich ministrów publicznie przyznał, że pod władzą rządu kijowskiego mieszka obecnie ok. 23 mln osób, z czego 11 mln to emeryci i renciści. Reszta obywateli uciekła na Zachód, do Rosji (ok. 5 mln rusofonów) lub przebywa na terenach zajętych przez Rosjan. Zostaje tylko 12 mln osób, z których większość to kobiety i dzieci. Kyryło Budanow stwierdził niedawno, że do utrzymania swojej liczebności wojsko potrzebuje ok. 30 tys. nowych rekrutów miesięcznie, co niejako wyjaśnił ostatnio Donald Tusk, mówiąc, że straty armii ukraińskiej w zabitych i rannych to ok. 27 tys. miesięcznie. Brakujące 3 tys. do liczby podanej przez Budanowa to albo zaokrąglenie, albo dezerterzy. Stąd na Ukrainie rozpoczęła się już dyskusja o poborze kobiet. Ten brak liczebny realnie można uzupełnić tylko w jeden możliwy sposób: poprzez włączenie się do wojny innego państwa lub innych państw. Dlatego bardzo poważnie trzeba brać pod uwagę, że część z incydentów hybrydowych może być sprowokowana przez Ukraińców, aby oburzone społeczeństwo dało się sprowokować do wojny z Rosją i wysłało na front ukraiński np. 200 tys. własnych żołnierzy. Gdy sprawcami aktów sabotażu są obywatele Ukrainy, to my naprawdę nie wiemy, czy zapłacili im rosyjscy oficerowie wywiadu, których nikt nie widział i nie zatrzymał, czyli ukraińscy. Podobnie jest z dronami, które mogły przylecieć z terenów zajmowanych przez Rosjan, a mogły także przylecieć z Ukrainy, gdzie mniej lub bardziej uszkodzonych rosyjskich dronów na polach muszą być setki.

Gdy z różnych powodów rozmaitymi incydentami hybrydowymi

eprasa.pl 65c5a5f024

w państwach trzecich zainteresowane są obydwie strony konfliktu, przypisywanie z góry sprawstwa ich wszystkich jednej ze stron musi budzić poważne wątpliwości i sceptycyzm.

EUROPA SZYKUJE SIĘ DO WOJNY?

Gdy zaczęła się wojna ukraińsko-rosyjska, była to klasyczna wojna zastępcza (ang. proxy war) między Stanami Zjednoczonymi a Federacją Rosyjską, o czym wprost mówili m.in. Donald Trump i Marco Rubio. Poza Polską państwa europejskie zachowywały dystans i ostrożność, bojąc się eskalacji i przerwania dostaw rosyjskich węglowodorów. W końcu zaangażowały się w poparcie Ukrainy, a obecnie wspierają ją finansowo i bronią pomimo utraty zainteresowania tym konfliktem przez Waszyngton.

Mamy obecnie prawdziwy zalew prowojennych wypowiedzi już nie tylko od nieco szalonych polityków z Łotwy i Estonii, lecz także z ust Ursuli von der Leyen, Friedricha Merza, Emmanuela Macrona i Donalda Tuska. Wszyscy mówią, że wojna jest tuż za rogiem i zaraz wybuchnie w wyniku rosyjskiego ataku lub w postaci nasilenia się działań hybrydowych, na które Europa musi odpowiedzieć. W liberalnych mediach ciągle słyszymy, że Rosja szykuje się do agresji na kolejne państwa, aby odbudować imperium. Mediom tym nie przeszkadza obok podawać przeciwne informacje o tym, jak ta sama Rosja nie daje sobie rady i wciąż przegrywa na Ukrainie. Rosja jest zatem tak słaba, że aż silna.

Czy rzeczywiście grozi nam wojna? Nie mam wątpliwości, że tej wojny nie chce żadna ze stron. Putin jest od 4,5 roku zajęty Ukrainą i otwieranie nowego frontu jest ostatnim, na czym mu może zależeć. Musiałby ogłosić mobilizację, co spowodowałoby niezadowolenie społeczne, a w dodatku ujemny przyrost demograficzny państwa powoduje, że czasy, gdy w Rosji mawiano, iż „u nas ludzi wielu", definitywnie się skończyły. Dziś Rosja musi ludzi oszczędzać. W dodatku potencjał ekonomiczny i demograficzny Europy naprawdę jest kilkakrotnie większy. Politycy zachodni też nie chcą wojny. Ich konsumpcyjne i hedonistyczne społeczeństwa nie chcą walczyć, dyskutując, ile jest płci, i odrzucając patriotyzm jako nacjonalizm. Słowem: Rosji nie stać na wojnę z Europą, a Europa nie chce walczyć za Ukrainę. Oczywiście eskalacja działań hybrydowych, rosnąca pomoc wojskowa i finansowa dla Kijowa, głupie wypowiedzi mogą doprowadzić do eskalacji, aż po wojnę w klasycznym rozumieniu tego słowa. Przez przypadek i z powodu wzbudzonych emocji.

Prawdę mówiąc, myślę, że otaczająca nas retoryka prowojenna ma kilka celów stricte politycznych. Przede wszystkim chodzi o względy wyborcze. We Francji w 2027 r. powinny odbyć się wybory prezydenckie, w których obóz liberalny może stracić władzę na rzecz antyestablishmentowych nacjonalistów. Jeśli Marine Le Pen wygra, to natychmiast rozpisze wybory parlamentarne i na fali sukcesu zdobędzie w nich większość. W Niemczech wybory parlamentarne powinny odbyć się wprawdzie dopiero w 2029 r., lecz nie jestem pewny, czy rząd utrzyma się do tego czasu, a nawet do czasu, gdy będą państwo czytać ten tekst. W Wielkiej Brytanii wybory również powinny odbyć się w 2029 r., ale poparcie dla rządu szoruje po dnie. W Polsce rząd Tuska czekają w przyszłym roku wybory, a w razie porażki premierowi oraz wielu jego ministrom grożą liczne procesy. Problem liberalnych polityków zachodnich jest jeden i ten sam: sytuacja jest coraz gorsza, a oni nie mają swoim wyborcom nic do zaproponowania. Kryzys finansowy, bezrobocie, problemy z imigrantami i brak perspektywy. Gdy nie ma chleba, zbankrutowany establishment proponuje igrzyska w postaci narastającego konfliktu z Rosją. Establishment liczy, że przestraszeni groźbą wojny wyborcy zaczną się skupiać wokół liberalnych rządów, widząc w nich ośrodek stabilizacji i bezpieczeństwa. Co więcej, w wielu państwach rozmaite incydenty hybrydowe pozwalają ogłosić stan nadzwyczajny czy wyjątkowy, w którego czasie i po którym nie mogą odbyć się wybory. Dla przykładu: gdyby zbliżały się wybory, a sondaże były złe, to w Polsce można ogłosić stan wyjątkowy w jednej gminie lub powiecie z powodu spadających dronów i zgodnie z prawem przez sześć miesięcy nie mogłyby się odbyć wybory na terenie całego kraju! Znakomicie praktykuje to na Ukrainie Wołodymyr Zełenski, który ogłosiwszy stan wojenny, odmawia oddania władzy i rozpisania wyborów, a legitymizację demokratyczną zapewniają mu zachodni politycy, na czele z Kają Kallas i Ursulą von der Leyen. Jak wiadomo, dla zachodnich demokratów największym zagrożeniem są powołujący się na konstytucyjną zasadę suwerenności narodu „populiści", którzy w demokratycznych wyborach chcą ich pozbawić władzy. Stany nadzwyczajne dają szansę, że Macron, Merz czy Tusk będą mogli ogłosić, iż „w obliczu zagrożenia rosyjską agresją wyborów nie będzie".

Zagrożenie rosyjską „dezinformacją" powoduje, że kolejni liberalni politycy zachodni wprost mówią o wprowadzeniu cenzury w Internecie, czyli w medium, które wymyka się ich kontroli, gdzie panuje prawdziwa wolność słowa. Gdy batalion prokuratorów ministra Żurka zajmujący się zwalczaniem „mowy nienawiści" nie potrafi sprostać zadaniu, zostaje tylko brutalne blokowanie stron internetowych, profili w mediach społecznościowych, a gdy zajdzie potrzeba, to blokowanie całych mediów społecznościowych. Ursula von der Leyen mówi o potrzebie eurocenzury od dawna, a coraz głośniej przytakują jej patrzący na swoje sondaże Friedrich Merz i Donald Tusk. Każda władza, gdy widzi, że staje się obiektem krytyki i szyderstw ze strony narodu, próbuje się ratować za pomocą cenzury i represji. Zasada ta dotyczy także rządów demokratycznych mających na ustach ideę suwerenności ludu.

Mamy wreszcie starą unijną formułę, że na wszystkie bolączki Unii Europejskiej lekarstwem jest „więcej Unii", czyli centralizacja. Obecnie przybiera to formę federalizacji UE. Narracja wojenna jest konieczna dla wymuszenia na państwach członkowskich, za pomocą psychiczno-narracyjnej przemocy, zgody na stworzenie wspólnych europejskich sił zbrojnych, „europejskiego NATO" (o czym mówiła ostatnio von der Leyen), wspólnej polityki obronnej i zagranicznej, a także zniesienie prawa weta państw narodowych. Aby wymusić federalizację, UE potrzebuje narastającego konfliktu z Rosją, tak jak Otto von Bismarck potrzebował wojny z Francją w 1870 r., aby zmobilizować niemiecką opinię publiczną do zjednoczenia Niemiec. Od narastania atmosfery wojennej z Rosją zależy przyszłość liberalnego establishmentu europejskiego, który łatwo władzy nie odda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024

Szykuje się ciężka zima



Michał Krupa

Niedawne wizyty Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa w Moskwie i Kijowie nie przyniosły na razie przełomu. Publiczne warunki Kremla pozostają tymi z 2024 r.: wycofanie Ukrainy z czterech zaanektowanych obwodów, rezygnacja z NATO i żadnego zamrożenia konfliktu, które pozwoliłoby Ukraińcom tylko się przegrupować

W połowie września 2026 r. wojna rosyjsko-ukraińska ułożyła się w ponurą, dobrze już znaną trajektorię. Front wciąż przesuwa się na korzyść Rosjan według typowego dla tej wojny schematu, mierzonego często jedną wsią albo pasem drzew. W powietrzu i na rynkach energetycznych tempo jest jednak inne. Odrzutowe drony lecą już z prędkością pocisków manewrujących, a przekazane Ukrainie wyrzutnie Patriotów stoją puste całymi tygodniami.

W br. ukraińskie jednostki odzyskały teren na kilku odcinkach i rozpoczęły kontrofensywę na północ od Łymanu, która według ukraińskich dowódców zaburzyła rosyjskie plany wobec tzw. pasa fortecznego wokół Słowiańska i Kramatorska. Dalekosiężne ukraińskie drony uderzyły też w rosyjskie zakłady gazowe tysiące kilometrów od granicy.

Te sukcesy nie niwelują jednak tego, co waży dziś najmocniej: miesięcznej produkcji rosyjskich rakiet balistycznych i odrzutowych dronów, załamania zachodnich dostaw pocisków przechwytujących oraz coraz bardziej odsłoniętej sieci energetycznej, wystawionej na intensywniejsze rosyjskie uderzenia.

ZACHÓD MA SKŁONNOŚĆ NIE DOCENIAĆ ROSJI

Jak donosi „Financial Times", nowe rosyjskie drony odrzutowe Geran-4 i Geran-5 „w praktyce zatarły granicę między dronem a pociskiem manewrującym" – i to zmieniło wojnę powietrzną w sposób zasadniczy. Pierwotny Geran-1, wywodzący się z irańskiego Shaheda, leciał z prędkością ok. 185 km/h i przenosił głowicę do 20 kg. Geran-5, po raz pierwszy odnotowany w walce w styczniu 2026 r., może lecieć z prędkością do 600 km/h, nieść ok. 90-kilogramową głowicę i pokonać mniej więcej 1 tys. km. Nowsze warianty mają kamery termowizyjne, wspomagane sztuczną inteligencją naprowadzanie w fazie końcowej oraz anteny odporne na zagłuszanie. Operator może prowadzić maszynę na wysokości dwóch–pięciu kilometrów, zablokować kamerę na celu i pozwolić amunicji dokończyć atak.

Za konstrukcją poszła skala. Ukraińskie dane wojskowe, cytowane przez Agencję Reutera i BBC, pokazują wzrost startów maszyn odrzutowych z ok. 350 w czerwcu do 1,6 tys. w lipcu i ok. 2,8 tys. w sierpniu. Rosja ma wytwarzać rzędu 3 tys. takich dronów miesięcznie. Uderzenia w węzły logistyczne, stacje kolejowe, magazyny, porty i przejścia graniczne zrobiły to, czego wcześniejsze fale często nie potrafiły: wstrząsnęły jednocześnie Kijowem i jego zachodnimi sojusznikami.

Jeden dron trafił w siedzibę Służby Bezpieczeństwa Ukrainy w stolicy. Inny wszedł w przestrzeń powietrzną Mołdawii, gdy samolot prezydenta Wołodymyra Zełenskiego przygotowywał się do odlotu z Kiszyniowa. Liczby dotyczące przechwyceń to ta część układanki, której ukraińscy urzędnicy woleliby nie podawać. Rzecznik sił powietrznych Jurij Ihnat powiedział „Financial Times", że skuteczność ukraińskiej obrony przeciwlotniczej wobec dronów odrzutowych wynosi ok. 60 proc., wobec 90–95 proc. przy innych typach. Obrona, która zatrzymuje sześć z 10 nadlatujących maszyn, reszcie zostawia w praktyce swobodny wybór celów. „The Wall Street Journal" z 13 września cytuje Katerynę Bondar, eksperta z Center for Strategic and International Studies, która zaznaczyła, że Zachód ma skłonność nie doceniać Rosji, a powinien uczyć się z jej zdolności domykania pętli od pomysłu do produkcji seryjnej. Każdy Geran-5 albo pokrewna tania broń manewrująca kosztuje szacunkowo ok. 100 tys. dol. – ułamek ceny zachodniego pocisku manewrującego – i jest składany szybko z dostępnych na rynku

eprasa.pl 65c5a5f024

chińskich podzespołów podwójnego zastosowania. Masa, argumentowała Bondar, jest dziś wielką częścią sukcesu.

Tanią odpowiedzią Ukrainy miała być nowa generacja dronów przechwytujących. Agencja Reutera podała, że podczas lipcowych prób wiele z tych maszyn traciło sterowność przy prędkościach powyżej 400 km/h. Część rozbijała się na polach i w lasach. Program, który miał być odpowiedzią na Geran-5, oblał własną demonstrację.

UKRAINIE KOŃCZĄ SIĘ POCISKI PRZECHWYTUJĄCE

Maksym Żorin, zastępca dowódcy 3. Korpusu Armijnego Ukrainy, wyznał niedawno, że Ukraina po raz kolejny całkowicie straciła inicjatywę w sprawie odrzutowych dronów i nawet nie wie, co z nimi zrobić. Rosjanie – dodał – zorganizowali masową produkcję i użycie odrzutowych Shahedów. Znalezienie środków przeciwdziałania i własnej produkcji podobnych systemów musi stać się najwyższym priorytetem. Warstwa rakietowa jest jeszcze cieńsza. Ukrainie kończą się pociski przechwytujące, bo amerykańska i europejska produkcja nie nadąża za rosyjskimi salwami balistycznymi, a dostawy w 2026 r. spadły ostro w porównaniu z rokiem 2025. W minionych tygodniach zachodnie media i ukraińscy urzędnicy opisywali wyrzutnie Patriot stojące bezczynnie, niemal wyczerpane zapasy PAC-3 i załogi zmuszone oszczędzać strzały do rosyjskich rakiet balistycznych, których nie mogą sobie pozwolić nie trafić. Zełenski przyznał niedawno, że sojusznicze dostawy pocisków przechwytujących w tym roku spadły do ok. jednej trzeciej poziomu z roku ubiegłego. Tym samym ukraińska tarcza antyrakietowa zmieniła się w zwyczajny filtr.

Letnia kampania Ukrainy przeciw rosyjskim rafineriom i infrastrukturze paliwowej uszczupliła rosyjską produkcję i – jak argumentuje Kijów – budżet oraz logistykę wojny. Teraz zderzyła się jednak z amerykańskimi cenami detalicznymi. 13 września, odpowiadając na pytania dziennikarzy podczas turnieju Amgen Irish Open na swoim polu w Doonbeg, prezydent Donald Trump obwinił Zełenskiego za skok cen oleju napędowego i kazał mu przestać „wybijać diesel w Rosji". Celów jest mnóstwo – powiedział Trump.



Płonące centrum handlowe w Zaporożu po ataku rosyjskich dronów, 21 września 2026 r.
FOT. SMOLIYENKO DMYTRO/UKRINFORM/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Uderzanie w diesel „szkodzi światu". Gdy średnia krajowa cena diesla w Stanach Zjednoczonych wspięła się powyżej 6 dol. za galon, Trump odrzucił argument, że głównym motorem tego jest jego wojna z wyboru na Bliskim Wschodzie.

Sekretarz skarbu Scott Bessent już wcześniej wskazywał ukraińskie ataki na rosyjskie aktywa energetyczne jako część presji na światowe ceny. Kijów niechętnie przyjął do wiadomości te przestrogi, argumentując, że rosyjska ropa finansuje i napędza inwazję, więc rafinerie są prawowitym celem. I choć analitycy zwracają uwagę, że napięcie na amerykańskim rynku diesla wynika dziś przede wszystkim z wojny z Iranem i walki o cieśninę Ormuz, to politycznie liczy się obecny przekaz z Waszyngtonu, a ten nie jest przychylny dotychczasowej ukraińskiej strategii, która przez pewien czas miała amerykańskie imprimatur.

Trump forsował też moratorium na ataki energetyczne. Zełenski oświadczył, że Ukraina rozważy wzajemne wstrzymanie, jeśli partnerzy zagwarantują rosyjską wzajemność. Moskwa traktuje takie pauzy jako opcjonalne i taktyczne. Dla Ukraińców jedyna forma presji, która widocznie rani rosyjską maszynę energetyczną, to właśnie ta, którą Biały Dom chce teraz ograniczyć i to w chwili, gdy Rosjanie szykują kolejną zimową kampanię przeciw ukraińskiej sieci. Można jednak mieć uzasadnione obawy, czy ograniczenie ataków na rosyjską infrastrukturę energetyczną nie stanie się pretekstem do bardziej spektakularnych i prowokacyjnych działań Kijowa.

OBAWA PRZED WIZERUNKOWĄ KLĘSKĄ

21 sierpnia 2026 r. brytyjski „The Telegraph" donosił, że Zełenskiemu przedstawiono plan, by w szczycie sezonu letniego zalać lotniska Moskwy nawet tysiącem dronów ze sztuczną inteligencją na noc i sparaliżować ruch pasażer-

eprasa.pl 65c5a5f024



ski. Prezydent plan ostatecznie odrzucił, najwyraźniej obawiając się wizerunkowej klęski, gdyby ukraińskie drony strąciły cywilny samolot, niekoniecznie nawet rosyjski. Na początku września groził jednak liniom lotniczym, ubezpieczycielom i użytkownikom kluczowych lotnisk Rosji, że przestrzeń staje się „całkowicie niebezpieczna". Niebo pełne dronów – mówił – „nie jest miejscem dla lotnictwa cywilnego", a „bezpieczne dni w rosyjskim niebie się skończyły". Dodał, że Ukraina nie celuje w cywilne samoloty, ale skala dronów „musi być brana pod uwagę". MSZ Ukrainy powiadomiło o tym nawet ICAO. Poza chwilowymi paraliżami rosyjskie lotniska nie zostały jednak trwale zamknięte.

Wobec takich gróźb nie dziwi niewzruszone stanowisko prezydenta Rosji. Podczas niedawnego szczytu BRICS w Indiach Władimir Putin powiedział dziennikarzom: „Każdy popełnia błędy. I my popełniliśmy ich wiele, podobnie jak reszta świata. Trudność globalistycznego Zachodu polega jednak na tym, że po zakończeniu zimnej wojny i rozpadzie Związku Sowieckiego uznali, iż stoją na »szczycie Olimpu«, i najwyraźniej doszli do wniosku, po pierwsze, że wolno im wszystko, a po drugie, że sami są niezdolni do błędu. Od tego momentu błędy zaczęły się piętrzyć i lawinowo narastać". Putin obarczył „zachodnie elity globalistyczne" odpowiedzialnością za wojnę na Ukrainie, „choć uporczywie starają się zrzucić winę na nas". Ze słów Putina nie wynika, by szukał szybkiego zawieszenia broni. Woli punktować pychę i strategiczne błędy kolektywnego Zachodu i o nich przypominać. A zima tuż-tuż.

Ze słów Władimira Putina nie wynika, by szukał szybkiego zawieszenia broni. Woli punktować pychę i strategiczne błędy kolektywnego Zachodu i o nich przypominać

Ukraiński minister energetyki Denys Szmyhal i premier Serhij Korecki zapewniają, że Ukraina jest lepiej przygotowana niż rok temu: w magazynach gazu znajduje się ok. 14,6 mld metrów sześciennych. Nie ukrywają jednak, że nadchodząca zima będzie ciężka. Pełna fizyczna ochrona każdego obiektu jest niemożliwa. Zeszłoroczna połączona kampania przeciw wytwarzaniu i przesyłowi już wymusiła rotacyjne wyłączenia i cięcia awaryjne. Sieć energetyczna czeka tylko na kolejne rosyjskie ataki.

Wobec tych trudności niedawne wizyty Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa w Moskwie i Kijowie nie przyniosły na razie przełomu. Zasugerowano jedynie półgębkiem rozmowy w formacie trójstronnym. Publiczne warunki Kremla pozostają tymi z 2024 r.: wycofanie Ukrainy z czterech zaanektowanych obwodów, rezygnacja z NATO i żadnego zamrożenia konfliktu, które pozwoliłoby Kijowowi tylko się przegrupować. Wydaje się, że Kreml jest przekonany, iż nie musi się spieszyć. Rosjanie rozumieją, że strategiczny problem Ukrainy to zatem nie tylko stracone kilometry na froncie. To wyczerpywanie w dziedzinach, które zimą się sumują. Ludzie pozostają zasobem rzadkim po obu stronach, ale Rosja nadal może karmić front z większej populacji i rozgrzanej gospodarki wojennej. Wszak to na Ukrainie, nie w Rosji, padły sugestie dotyczące mobilizacji kobiet. Produkcja dronów i rakiet pozostaje rosyjską przewagą, podczas gdy magazyny obrony powietrznej stały się ukraińskim i zachodnim deficytem. Cierpliwość zaś głównego patrona Ukrainy wyceniana jest teraz w dolarach za galon oleju napędowego. Ukrainę czeka kolejna długa, surowa zima pod niebem, którego nie potrafi w pełni kontrolować i przy sieci energetycznej, której nie potrafi w pełni ochronić. Na razie to Moskwa ma dość zwycięstw i przewagi po swojej stronie, by nie prosić o pokój według cudzego kalendarza. Kijów musi przetrwać ciemne miesiące ze świadomością, że druga strona nie spieszy się, by znowu zapalić światło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Z gen. dyw. w st. spocz. Leonem Komornickim, byłym zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wiceprezesem Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie możemy dać się wciągnąć w wojnę

RYSZARD GROMADZKI: Słuchając polskich polityków oraz chóru mediów, można odnieść wrażenie, że agresja Rosji na Polskę jest nieuchronna. Czy kasandryczne przepowiednie premiera Tuska i ministra Sikorskiego to tylko polityczna propaganda służąca innym, ukrytym celom czy groźba wojny z Rosją jest realna?

GEN. LEON KOMORNICKI: W moim przekonaniu, pełnoskalowa wojna Rosji z Polską jest niemożliwa z punktu widzenia potencjalnych celów, które miałaby osiągnąć Rosja, dodatkowo uwikłana w wojnę na Ukrainie. Ewentualne rozpętanie takiej wojny przez Rosję byłoby czynem szalonym, przejawem skrajnego awanturnictwa polityczno-wojskowego.

Rosja będzie chciała przetestować spoistość NATO, a konkretnie art. 5 paktu północnoatlantyckiego w krajach bałtyckich. To realny scenariusz obliczony na pokazanie, że NATO nie zareaguje, a więc jest niepotrzebnym reliktem zimnej wojny. W ten sposób Rosja może próbować rozbić NATO. Jeśli chodzi o Polskę, można spodziewać się działań hybrydowych ze strony Rosji, wtargnięć pojedynczych dronów, ale na tym koniec.

Powtarzam: nie widzę żadnych celów z perspektywy Rosji, które mogłaby uzyskać, wszczynając wojnę z Polską. W związku z tym uważam, że cała kampania narracyjna rozwijana w tej sprawie jest podporządkowana nie rosyjskim, ale naszym wewnętrznym celom politycznym. Politycy i generałowie mówią o wojnie zamiast o pokoju. A mówią o wojnie dlatego, żeby znaleźć uzasadnienie dla wydawania olbrzymich pieniędzy. Te pieniądze, np. pozyskane z programu SAFE, trzeba wydać bardzo szybko, bo w ciągu pięciu lat. Nie widzę pomysłu na

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. MAREK KUDELSKI/SE/EAST NEWS

ich wydawanie. Wojsko Polskie w stopniu głęboko niewystarczającym adaptuje nowe technologie, które sprawdziły się w czasie wojny na Ukrainie. Na ich wdrożenie nie jest przygotowany nasz przemysł. A nawet gdyby przemysł był w stanie wyprodukować takie nowoczesne uzbrojenie, to nasze wojsko nie jest gotowe, żeby je wchłonąć, bo nie ma zasobu osobowego, który pozwoliłby ten sprzęt przysposobić i osiągnąć gotowość bojową do działań wojennych. To jedna z przyczyn bicia w bębny wojenne przez polityków i media. Ta narracja ma także uzasadniać przekazywanie Ukrainie deficytowego sprzętu wojskowego.

Jak ostatnio partii rakiet do wyrzutni systemu Patriot, których sami mamy jak na lekarstwo. Ten transfer uzasadniany był w wyjątkowo mętny sposób i przez premiera Tuska, i szefa MON Kosiniaka-Kamysza.

Pokrzykuje się przy tym, że dzięki donacjom cennych rakiet do zestawów Patriot umożliwiamy Ukrainie obronę nie tylko swojego, lecz także naszego nieba. Pokrzykującym nie przeszkadza oczywista sprzeczność logiczna, że skoro Ukraina zatrzyma Rosję, to jak ta poobijana Rosja ma jednocześnie zaatakować Polskę?

Kiedy prezydent USA Donald Trump i przedstawiciele jego administracji bezustannie podkreślają, że zatrzymanie wojny na Ukrainie jest priorytetem Ameryki, polski minister spraw zagranicznych mówi rzeczy, które stawiają go wśród czołowych podżegaczy wojennych. W imię czego?

W imię wydawania pieniędzy, często jak mówią Rosjanie „za bezdurno", byle tylko je wydać. Na przykład mamy zakontraktowany offset z Amerykanami opiewający na 4,5 mld dol. To ogromne pieniądze z polskiego budżetu, no i... trzeba je wydać. Dlatego politycy i generałowie straszą ludzi wojną. Ale wszystkie te wydatki mogą okazać się psu na budę, kiedy okaże się, że nasze największe aktywo, czyli polskie społeczeństwo jest całkowicie nieprzygotowane na wojnę, pozbawione odporności, także w systemie pozamilitarnym, niegotowe do wyjścia ze strefy komfortu.

Nie trzeba być nadmiernie przenikliwym, żeby stwierdzić, że Polacy są zanurzeni po uszy w „strefie komfortu". Dla większości ludzi wojna jest czymś nierzeczywistym. Pasują tu jak ulał słowa starej piosenki zespołu Kult: „Konsument, gdy wie, że to jest w modzie, rozmawia o wojnie na Wschodzie...".

Dotknął pan innej istotnej sprawy. Skoro Polska ma być – jak mówią generałowie – teatrem wojny, to pytam się, gdzie jest strategia obrony państwa? Bo obrona państwa, to przede wszystkim obrona społeczeństwa. Nie jakiegoś kawałka terenu czy instytucji, ale społeczeństwa. Przed zmasowanym uderzeniem rakiet balistycznych i dronów, które wlecą w naszą przestrzeń powietrzną w masowej skali, nie kilkudziesięciu zabłąkanych obiektów, ale tysięcy uzbrojonych maszyn. A gdzie jest nasza obrona powietrzna? O tym się nie mówi.

Pełnoskalowa wojna Rosji z Polską jest niemożliwa z punktu widzenia potencjalnych celów, które miałaby osiągnąć Rosja, dodatkowo uwikłana w wojnę na Ukrainie. Ewentualne rozpętanie takiej wojny przez Rosję byłoby czynem szalonym, przejawem skrajnego awanturnictwa polityczno-wojskowego

Jaka jest w pana ocenie skala zapóźnień Polski w budowie efektywnego systemu obrony powietrznej? Ilu lat potrzebujemy, żeby zbudować zdolności w tej dziedzinie?

Budowa zaawansowanego programu obrony powietrznej to co najmniej pięć lat. Dodajmy, że dostawa rakiet dla naszych baterii Patriot, która miała zostać sfinalizowana w tym roku, została przesunięta na bliżej nieokreślony termin ze względu na wyczerpanie zasobów Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników na Bliskim Wschodzie w związku z wojną toczoną z Iranem. To jest priorytet Waszyngtonu.

Rakiet do „Patriotów" potrzebuje też Ukraina. My musimy czekać w coraz dłuższej kolejce. To w oczywisty sposób opóźnia osiągnięcie przez nasze wojsko zdolności do skutecznej obrony polskiego nieba. Bardzo wymowna jest sprawa tzw. koalicji antybalistycznej utworzonej przez grupę państw europejskich z Niemcami i Francją na czele, która ma doprowadzić wspólnie z Ukrainą do wyprodukowania europejskich pocisków antybalistycznych. Początkowo Polski z nie do końca jasnych powodów w tej koalicji nie było. Przypuszczam, że nasi decydenci po raz kolejny bezkrytycznie zaufali Amerykanom, że ci zapewnią nam bezpieczną liczbę rakiet PAC do systemów Patriot. Kiedy okazało się, że nic z tego nie będzie, a na dodatek sami

eprasa.pl 65c5a5f024

musimy oddać Ukraińcom część rakiet PAC ze swoich zasobów, przyszła refleksja i musieliśmy „na kolanach" prosić Zełenskiego, żeby nas łaskawie dokooptował do koalicji antybalistycznej. Jak widać, miotamy się od ściany do ściany.

W ostatnich dniach ze stanowiska odwołany został gen. Mirosław Bodnar, który od 2024 r. odpowiadał za kompleksowe wdrożenie przez Wojsko Polskie technologii dronowej. Według głosów wojskowych cytowanych przez media były to dwa stracone lata.

Jestem doświadczonym generałem. Nieskromnie powiem, że przebijam wszystkich razem wziętych polskich generałów swoim doświadczeniem polowym, szkoleniowym, przygotowaniem do uczestnictwa w warunkach pola walki, chociaż nigdy nie uczestniczyłem w żadnej wojnie, ale przeszedłem przez wiele ćwiczeń zbliżonych do pola walki, bo tak zawsze powinny wyglądać ćwiczenia z prawdziwego zdarzenia.

Dowodziłem brygadą i dywizją w pełnym składzie. Prowadziłem okręg wojskowy i ćwiczenia o skali strategicznej. Między innymi ostatnie tego rodzaju ćwiczenia w Polsce, które odbyły się w 1996 r. Na poligonach w Drawsku Pomorskim, Nowej Dębie, Orzyszu, Wędrzynie i Żaganiu uczestniczyło w nich ponad 60 tys. żołnierzy. Wszystkie rodzaje wojsk i system pozamilitarny. To wszystko zbudowało moje doświadczenie wojskowe. Kiedy słyszę, że pan gen. Bodnar po dwóch latach sprawowania funkcji się nie sprawdził, to pytam, gdzie w tym czasie byli jego przełożeni? Jeśli ktoś widział, że pół roku, a nawet miesiąc został zmarnowany, to powinna być natychmiast podjęta interwencja, a pan generał, jeśli popełnił jakieś błędy, powinien być natychmiast zwolniony z urzędu.

Nie może być tak, że przełożeni po dwóch latach dochodzą do wniosku, że trzeba go odwołać. Za co w takim razie odpowiada dowódca generalny, do którego kompetencji należy szkolenie sił zbrojnych, dowódca operacyjny, który odpowiada za siły zbrojne w czasie pokoju i szef sztabu generalnego, w którego gestii leży użycie sił zbrojnych w czasie wojny? Przecież po to jest w wojsku system nadzoru i kontroli oraz rozliczenia zadań. Wszyscy wymienieni dowódcy ponoszą większą odpowiedzialność za ten stan, jeśli jest on rzeczywiście taki, jak się mówi, niż generał, który za te wojska odpowiadał. Obecnie w Wojsku Polskim nie ma standardów, które w nim obowiązywały. Jest za to propaganda uprawiana na najwyższych szczeblach armii.

Ci, którzy dziś najgłośniej krzyczą o wojnie, najpewniej najszybciej daliby dyla z kraju, gdyby ona rzeczywiście wybuchła. Ofiarą ich szaleństwa byłoby społeczeństwo

Co się stało z Wojskiem Polskim? Skąd ta degrengolada?

Wojskowi się zatracili. Z tego, co obserwuję, oni nie mają odwagi stanąć na stanowisku takim, jakie żołnierz powinien zajmować i walczyć o właściwy wizerunek, stan wyszkolenia i gotowość sił zbrojnych. Jeśli dwa lata tolerowano stan w wojskach dronowych, a teraz szuka się kozła ofiarnego, bo trzeba było znaleźć argument, to co wojskowi robili przez te dwa lata? Przecież ten rodzaj wojsk jest priorytetowy. Pyta pan o przyczyny złego stanu naszej armii. To wynika z tego, że wojsko zatraciło wymagalność, dyscyplinę.

Politycy nie są od tego, żeby mówili wojskowym, jak ma wyglądać wojsko. To wyłączna domena wojskowych. Politycy powinni odpowiadać za równowagę między strategią obronną a polityką obronną, tak żeby zapewnić bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, a wojskowi za to, jak to wykonać, jakich środków i sił do tego użyć, jak je wyszkolić i jak nimi dowodzić. Tak nie jest. To pozostałość po tzw. reformie Kozieja, której skutkiem było zdemolowanie systemu dowodzenia, co powoduje, że nasze siły zbrojne są niewydolne i nieprzygotowane do wykonywania zadań na wypadek wojny. Od sześciu lat nie mamy strategii bezpieczeństwa narodowego. To niedopuszczalne zaniedbanie. Prowojenna histeria, którą się nakręca, ma ukryć te wszystkie niedostatki. Rosja nas nie zaatakuje. Jak powiedziałem, może zaatakować – i do tego się przygotowuje – kraje bałtyckie.

A my jako „prymus NATO" będziemy walczyć „za wolność waszą i naszą" z Moskalami w imieniu Bałtów?

Rzecz w tym, że my nie możemy dać się wciągnąć w tę wojnę. Już słyszę te oburzone głosy, że ci, którzy nie są solidarni z krajami bałtyckimi, to nie są patrioci. Tam powinni być Amerykanie i Niemcy, którzy mają na Litwie swoją brygadę, Francuzi i wszyscy inni, którzy teraz są z tyłu, powinni być z przodu. My powinniśmy być tutaj, nad Wisłą, nad Bugiem, przy bramie podlaskiej, przy przesmyku suwalskim, przy obwodzie królewieckim. Mamy tu stać dla bezpieczeństwa naszego NA-RO-DU. To jest rzeczą nadrzędną i dla polityków i dla generałów. Być może oni tego nie wiedzą, bo nie mają tego w genach, zapomnieli o tym, albo się tego nie nauczyli, czym jest etyka odpowiedzialności. Co to znaczy? Generałowie muszą mieć świadomość tego, czym jest wojna i nawoływać polityków do pokoju, a nie przekrzykiwać się w chórze podżegaczy.

Czy zapowiadana stała baza wojsk amerykańskich w Polsce nie jest traktowana przez naszych polityków jak polisa wiecznego bezpieczeństwa, zwalniająca nas z obowiązku budowy silnego państwa, a w związku z tym także głębokiej reformy Wojska Polskiego, bo z Amerykanami czy bratnią Europą jakoś to będzie?

Mówiłem wcześniej o etyce odpowiedzialności. Ona wymaga od naszych przywódców politycznych i dowódców wojskowych, którzy dziś podgrzewają wojenną histerię, uzmysłowienia sobie, że największą wartością naszego państwa jest społeczeństwo. To ono wytworzyło cywilizację, kulturę, dorobek przemysłowy, wszystko, co dziś konstytuuje Polskę. Czy ludzie, którzy dziś tak nieodpowiedzialnie mówią o szybkim zwycięstwie nad Rosją czy uderzeniu na obwód królewiecki, zdają sobie sprawę, że oznaczałoby to stopniową dewastację materialnych podstaw życia narodu, a tym samym jego zniszczenie? Ci, którzy dziś najgłośniej krzyczą o wojnie, najpewniej najszybciej daliby dyla z kraju, gdyby ona rzeczywiście wybuchła. Ofiarą ich szaleństwa byłoby społeczeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Jak zrobić **biznes w Texasie** i znaleźć partnera biznesowego?
Co musisz wiedzieć o inwestycjach?

TEXAS

- Weź udział w 3 dniowej konferencji YTEXAS w Bryan / Collage Station
- Spotkaj się z Victoria Economics Development Corporation
- Zobacz największą fabrykę SPACE X TeraFab
- Spotkaj się ze środowiskiem biznesowym podczas Polish American Chamber of Commerce w Texasie

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl 65c5a5f024



Władza plus elektryfikacja



Rafał A. Ziemkiewicz

Tegoroczne „orędzie o stanie Unii Europejskiej" wygłoszone przez Ursulę von der Leyen powinno być dla Polaków sygnałem alarmowym i powodem natychmiastowego przebudzenia z europejskiego snu

Stany Zjednoczone Europy" miały powstać do roku 2025. Taką przynajmniej datę podawał zapomniany dziś już, ale wówczas wpływowy przewodniczący Parlamentu Europejskiego, a potem szef niemieckiej SPD Martin Schulz, strasząc nas, że jeśli się nie podporządkujemy, zostaniemy z Unii Europejskiej wyrzuceni.

Na razie udało się tylko skopiować pewne amerykańskie rytuały, na czele z dorocznym przemówieniem „state of the union address". Przewodnicząca Komisji Europejskiej wygłasza je co roku, wzorem prezydenta USA, i właśnie zrobiła to w minionym tygodniu podczas plenarnego posiedzenia Parlamentu Europejskiego w Strasburgu.

Wiele środowisk, szczególnie europejskie sfery biznesowe, wiązało z tym wystąpieniem spore oczekiwania. Europa jest w kryzysie, traci udział w światowym PKB, traci uciekający za granicę przemysł, przegrała z USA i Azją wyścig innowacyjności, czego dobitnym dowodem jest to, że opuściły ją praktycznie wszystkie firmy technologiczne (jedyna pozostała, holenderski ASML, pracuje dla Ameryki i Azji; jak ogłosiła ostatnio, jej sprzedaż w Europie spadła praktycznie do zera, bo nie pozostała tu już żadna fabryka, która by potrzebowała i była w stanie użyć jej wysoko zaawansowanych systemów drukowania układów scalonych).

Przyczyny tego stanu rzeczy są dla każdego myślącego zdroworozsądkowo człowieka oczywiste, i nawet, na ile umożliwia to cenzura unijnej poprawności, artykułowane publicznie. Horrendalnie drogie ceny energii, cztero, pięciokrotnie wyższe niż w USA, Indiach czy Chinach, absurdalnie wyśrubowane cele „klimatyczne" i narzucone biurokratycznie „normy ekologiczne" oraz totalne przeregulowanie gospodarki. Prezes szwedzkiego koncernu SAAB Johnny Sjöström, który wcześniej pracował w Chinach, opowiadał na niedawnym zjeździe europejskiego przemysłu stalowego, że identyczną linię zasilającą dla huty tam budował przez pół roku, a w Szwecji – przez dziewięć i pół. Z tym że sama budowa trwała tyle samo, te dziewięć lat zajęły Saabowi wymagane unijnym prawem konsultacje oraz zgro-

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. MATHIEU CUGNOT/EP/SOTEU

madzenie niezbędnych do rozpoczęcia prac zgód, certyfikatów i zezwoleń. Jak w takiej sytuacji ma być w Europie produkowana stal? A jak można się rozwijać, budować, a zwłaszcza zbroić bez stali?

Oczekiwano więc, że przewodnicząca Komisji Europejskiej da w swym przemówieniu jakiś sygnał do niezbędnego Europie odejścia od szkodliwych mrzonek. Nic podobnego się nie stało. Już w pierwszych słowach von der Leyen oświadczyła, że „Europa nigdy nie była tak silna jak dotąd", a całość jej wystąpienia da się streścić sławnym cytatem z cara Mikołaja I: „Żadnych marzeń". Polityka klimatyczna musi być kontynuowana, kolejne ETS-y muszą wchodzić w życie, nie ma mowy o żadnej deregulacji, przeciwnie, przewodnicząca zapowiedziała kolejne dyrektywy i powstanie nowych urzędów, których nadzór pozwoli „lepiej gospodarować europejskimi zasobami" m.in. wodnymi.

Nie znaczy to, żeby w ogóle przewodnicząca nie odniosła się do trapiących Europę problemów, ale uczyniła to w sposób daleki od wspomnianych wyżej oczekiwań. Po pierwsze, przyczynę problemów przeniosła do sfery polityki i tożsamości: silna jak nigdy Europa jest też jej zdaniem „jak nigdy dotąd pozbawiona poczucia pewności". Nasuwa się więc, logicznie, że problem ma charakter subiektywny, leży w ogarniających stary kontynent kapitulanckich nastrojach, mówiąc po marksistowsku – w „nadbudowie", gdyż baza, stworzona wieloletnim wysiłkiem eurokratów i unijnych rządów, jest zdrowa. Po drugie: przyznając, że „musimy" dokonać pewnych zmian – „zwiększyć konkurencyjność europejskiej gospodarki", „znieść wewnętrzne bariery dzielące europejski rynek" (tak! Po 74 latach ujednolicania wspólnego europejskiego rynku okazuje się, że musimy go wreszcie ujednolicić!), „zracjonalizować" unijne procedury etc. – zastrzegała przewodnicząca wielokrotnie, że wszystko to zrobimy w sposób nienaruszający przyjętej i konsekwentnie realizowanej linii, a nawet więcej dokonamy tego właśnie poprzez jeszcze bardziej radykalne jej realizowanie.

JAK U SCHYŁKU ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Przedstawiciel mojego pokolenia nie mógł nie usłyszeć w przemowie Ursuli von der Leyen charakterystycznych figur retorycznych i konstrukcji myślowych, którymi przed laty ogłuszali nas tu w Polsce komunistyczni namiestnicy i ich propagandyści, naśladując retorykę płynącą z moskiewskiej centrali. Mówię nie o retoryce komunizmu stalinowskiego, zwycięskiego czy nawet breżniewowskich „czasów zastoju", ale o okresie schyłku „ojczyzny proletariatu" – czasach Konstantina Czernienki i Michaiła Gorbaczowa, a u nas Wojciecha Jaruzelskiego, Mieczysława Rakowskiego i Zbigniewa Messnera.

Charakterystyczne dla ówczesnego mentalu władzy było schizofreniczne łączenie dwóch aksjomatów, nowego i starego. Nowy: socjalizm potrzebuje reform, idących w kierunku jego „urynkowienia" i „demokratyzacji". Stary: nie ma odwrotu od pryncypiów ustrojowych. W efekcie „nowy impuls" usiłowano nadać strupieszałemu ustrojowi poprzez demokratyzację w ramach modelu jednopartyjnego i systemu zarządzania przez nomenklaturę partyjną oraz zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw w ramach utrzymania centralnego planowania, odgórnych przydziałów surowców i narzuconych cen, obliczanych według formuły kosztowej. Jak pogodzić rzeczy niemożliwe do pogodzenia? Można to zrobić tylko w jeden sposób: w retoryce. Niekończące się dyskusje programowe i analizy, referaty i przemówienia schyłkowego socjalizmu wypełnione są paradoksami i oksymoronami, lubował się w nich zwłaszcza Jaruzelski, wyznaczając w swych przemówieniach linię konfrontacji i porozumienia, nowoczesności i tradycji, uwalniania oddolnej inicjatywy poprzez wzmacnianie odgórnej kontroli etc.

Dziś podobna retoryka króluje w kolejnych „kompasach" i „strategiach" ogłaszanych na stronach internetowych Komisji Europejskiej. Królowała także w „orędziu o stanie Unii Europejskiej" jej przewodniczącej. Zaklęciem bodaj najczęściej powtarzanym i kluczowym jest tutaj „tania zielona energia". Można by, w stylistyce z czasów, gdy rozpoczynał karierę towarzysz Włodzimierz Czarzasty, ująć to w haśle: „Przez tanią zieloną energię do odzyskania konkurencyjności". Tania zielona energia jest kluczem do obniżenia kosztów produkcji bez porzucania ambitnych celów klimatycznych i zeroemisyjności oraz wytworzenia innowacyjnych zielonych technologii, którymi Europa podbije światowe rynki, tak jak Edward Gierek zamierzał podbić rynki krajów kapitalistycznych towarami wyprodukowanymi według kupowanych od nich licencji.

Nikt nie odważy się głośno powiedzieć na którymś z niezliczonych unijnych forów, że czegoś takiego jak „tania zielona energia" nie ma i nigdy nie będzie. Jest to mrzonka. Energia, żeby była tania, musi zostać wytworzona w sposób, który wedle norm unijnych jest zaprzeczeniem jej „zieloności", a co najmniej takową „niezieloną" energią ustabilizowana jak robią to Chiny, które na każdy gigawat z „odnawialnych źródeł" budują dwa lub trzy gigawaty energii stabilnej i otwierają 200 nowych kopalń, nie mówiąc o sprowadzaniu ogromnych ilości węgla z całego świata. Zaś energia „zielona" jest przez swą niestabilność i niemożność magazynowania na masową skalę

eprasa.pl 65c5a5f024

niezwykle droga. Dobitnie pokazał to eksperyment z „zieloną stalą", która miała być wytapiana w piecach wodorowych, i okazało się, że musi być co najmniej pięciokrotnie droższa od normalnej, a i to pod warunkiem, że rozwiązane zostaną problemy technologiczne, które na razie jej wytapianie na masową skalę uniemożliwiają i których rozwiązanie pozostaje poza zasięgiem europejskich inżynierów.

Ursula von der Leyen rzuca na to hasło: „Musimy zelektryfikować Europę". Być może ludzie spoza kręgów unijnego kierownictwa sądzą, że Europa już jest zelektryfikowana. Pozostaje pytanie, z czego w dobie niezwykle energożernych Sztucznych Inteligencji i Centrów Danych ma ten prąd wytwarzać, by nie stać się pariasem światowej gospodarki. Ale nie chodzi tu o konkretne rozwiązania, tylko o magię słowa. Któż nie pamięta leninowskiej definicji, że „socjalizm to władza rad plus elektryfikacja"?

NAJWIĘKSZY SUKCES? ZMIANA RZĄDU NA WĘGRZECH

Gdyby przewodnicząca Komisji Europejskiej ograniczyła się tylko do owej elektryfikacji za pomocą mitycznego taniego zielonego prądu, jej orędzie brzmiałoby już wystarczająco dla Polaków złowrogo. Jakie czekają nas perspektywy, jeśli pozostaniemy w Unii, która w imię najoczywiściej absurdalnej ideologii narzuca nam wszystko to, co musi złamać polski wzrost i odebrać nam wszystko, co wielkim wysiłkiem i kosztem rozlicznych bólów „transformacji" udało nam się osiągnąć w ostatnim 35-leciu? Jaki musi być skutek narzucenia Polsce rozwiązań, które gospodarki wielokrotnie od naszej zasobniejsze i sprawniejsze doprowadziły do zastoju, dekoniunktury i stopniowej ruiny? Które pozbawiły dobrobytu znacznie od nas bogatsze społeczeństwa Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii, o wypłukanym z zasobów wspólną europejską walutą południu Europy nie wspominając? Odpowiedź jest jedna i oczywista.

A mimo wszystko gromka zapowiedź przewodniczącej, że Unia nie pozwoli na żadne odstąpienie, choćby na pół kroku, od klimatycznych pryncypiów, nie jest wcale tym, co najbardziej powinno Polaków przestraszyć i zmusić do przeciwdziałania. Nie jest tym też zapowiedź, że

Czegoś takiego jak „tania zielona energia" nie ma i nigdy nie będzie. Jest to mrzonka. Energia, żeby była tania, musi zostać wytworzona w sposób, który wedle norm unijnych jest zaprzeczeniem jej „zieloności"

podobnie nie odejdzie Unia od pryncypiów polityki migracyjnej (przy jednoczesnej zapowiedzi szczególnej troski o bezpieczeństwo kobiet – by i w tej kwestii dopełnić sowieckiej logiki myślenia strategicznymi przeciwnościami) ani zapowiedź stworzenia europejskiego odpowiednika peerelowskiego Głównego Urzędu Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk (plus nieznanego za czasów PRL Internetu), czyli, prościej mówiąc, cenzury, zwanej eufemistycznie „walką z dezinformacją".

Kluczowy fragment orędzia, który powinien być dla Polaków dzwonem na alarm, to podkreślenie przez von der Leyen największego jej zdaniem sukcesu kierowanej przez nią Komisji w okresie od ostatniego dorocznego przemówienia: usunięcia na Węgrzech rządu nieakceptowanego przez KE i zastąpienia go rządem sobie powolnym. Ten sukces możliwy był dzięki mechanizmowi „warunkowości", uznaniowego de facto blokowania decyzją Komisji wypłaty należnych krajom członkowskim funduszy. Dlatego mechanizm ten w kolejnym unijnym budżecie musi być rozszerzony na wszystkie – wszystkie! – fundusze, na każdym poziomie. I zostanie rozszerzony. Gdziekolwiek w Europie nieodpowiedzialne społeczeństwo wybierze rząd lub parlament, choćby tylko lokalny, nie spełniające znanych tylko Komisji kryteriów „europejskości", będzie ono „głodzone", tak długo aż się z błędnego wyboru wycofa. Nigdy dotąd zasada nadrzędności zarządzeń przez nikogo niekontrolowanej i przed nikim na nie ponoszącej odpowiedzialności (co pokazała sama von der Leyen, odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień w sprawie swego przekrętu na szczepionkach Pfizera) nad aspiracjami i decyzjami krajów członkowskich, choćby mających najsilniejszą legitymację demokratyczną, nie została tak jasno i tak otwarcie wyartykułowana.

NIE POPEŁNIĆ BŁĘDU

Przywołanie w kontekście wystąpienia Ursuli von der Leyen leninowskiej definicji ustroju sowieckiego jest więc czymś więcej niż gorzkim żartem. Strategia, przedstawiona przez nią w „orędziu o stanie Unii Europejskiej", jest dla Polski tyleż groteskowa, co wroga i powinna być powodem natychmiastowego otrzeźwienia z europejskiego snu. Unia Europejska nie chce być już dobrowolną wspólnotą suwerennych państw, które dla wspólnych korzyści scedowały ściśle określoną w traktatach część swych suwerennych praw na wspólnotowe organa. Unii Europejskiej nie wystarcza już być strefą swobodnych przepływów kapitału, towarów i usług oraz ludzi, przeciwnie, część z owych swobód już zlikwidowała, a likwidację kolejnych wymienia wśród swych strategicznych celów. Unia żąda podporządkowania się słabszych silniejszym, żąda prawa do redystrybuowania owoców pracy wszystkich państw przez centralny rząd brukselski. I nie straszy już wyborców w traktowanych jako przestrzeń neokolonialna państwach członkowskich „wyrzuceniem" jak przed laty – grozi w wypadku nieposłuszeństwa ich zagłodzeniem, narzuceniem kolaboracyjnych, marionetkowych rządów i zmuszeniem do wyrzeczenia się niepodległości. I co najgorsze: owo posłuszeństwo zamierza Unia wymusić po to, by kolonizowanym państwom narzucić system i prawa antyrozwojowe wywiedzione z absurdalnej ideologii, sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem, co do których niszczącego nawet dla dostatnich i wysoko rozwiniętych krajów wpływu mamy coraz więcej niezbitych dowodów.

Dlaczego Polacy, lubiący myśleć o sobie jako o narodzie przywiązanym do swej wolności i niepodległości, na te otwarte zapowiedzi jej odebrania i pogróżki nie reagują? Bo nikomu nie chciało się nudnej przemowy von der Leyen przeczytać? Bo nikt nie uważa jej za osobę sprawczą ani nawet poważną? W obu wypadkach to błąd, który oby nie okazał się tragiczny w skutkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Mateusz Morawiecki i Marcin Horała jeszcze jako politycy PiS, 1 lipca 2026 r.

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Morawiecki odbiera Kaczyńskiemu



Łukasz Warzecha

Rywalizacja partii Jarosława Kaczyńskiego z formacją Mateusza Morawieckiego może sprawić, że część zniechęconych i zgorszonych ich wyborców postanowi przerzucić swoje poparcie na Konfederację, która mimo wewnętrznych podziałów utrzymuje zewnętrzną jedność. Tę zaś wyborcy lubią premiować

Największym dotychczas sukcesem Rozwoju Plus jest podebranie Prawu i Sprawiedliwości stanowiska wicemarszałka Sejmu, o które walczyli dwaj Marcinowie. Ostatecznie obsadził je Marcin Horała, a przegrał Marcin Ociepa. Na tego pierwszego zagłosowało 254 posłów, na drugiego – 167. Było to jednak zwycięstwo gorzkie, które może się obrócić przeciwko ugrupowaniu Mateusza Morawieckiego.

Marcin Horała został bowiem wicemarszałkiem w dużej mierze głosami Koalicji Obywatelskiej – solidarnie zagłosował za nim cały klub partii Donalda Tuska. Podobnie zachował się klub Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz klub Lewicy (z wyjątkiem poseł Anny Marii Żukowskiej i posła Tomasza Treli, którzy oddali głosy przeciwko obu kandydatom). Marcina Horałę poparł również niemal cały klub Centrum Pauliny Hennig-Kloski. Za jego konkurentem zagłosował oczywiście PiS, a poza tym większość klubu Polski 2050 oraz klubu Konfederacji.

Gorzkość jest zatem w fakcie, że co prawda kandydat Mateusza Morawieckiego wygrał rywalizację, ale głosami ugrupowania, z którym – jak stara się przekonywać były premier – twardo walczy. W tym spektaklu Morawiecki odegrał rolę, którą napisał dla niego Donald Tusk. Oba ugrupowania miały się pożreć o stanowisko i tak się stało, Sejm nie zagłosował bowiem nad złożonym niedługo wcześniej projektem uchwały autorstwa Prawa i Sprawiedliwości o zwiększeniu liczby stanowisk wicemarszałków do ośmiu, co rozwiązałoby problem. PiS w tym przedstawieniu grał po tej samej stronie co Donald Tusk, czekając tylko na moment, gdy Jarosław Kaczyński będzie mógł wyjść do dziennikarzy i ze złośliwą satysfakcją ogłosić, że Rozwój Plus współpracuje z KO.

Nie jest to zresztą jedyna sytuacja, w której Rozwój Plus współdziała z KO lub przynajmniej tak może to być przedstawiane. Inna dotyczyła głosowania 4 września nad ustawą o wykonywaniu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, która nakłada na organy publiczne obowiązek natychmiastowego dążenia do realizacji wyroków ETPC (organu Rady Europy, nie Unii Europejskiej, z siedzibą w Strasburgu). Intencja rządowego

eprasa.pl 65c5a5f024

projektodawcy była oczywista – chodziło o wzmocnienie presji na polski system prawny, aby realizował każde orzeczenie, najpewniej w szczególności te z wyraźnym rysem ideologicznym. W tym głosowaniu Rozwój Plus wstrzymał się od głosu niemal w całości, podczas gdy przeciwko były PiS i Konfederacja. To wywołało najpierw zdziwienie, a następnie ostrą krytykę ze strony posłów ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego. Na ten atak odpowiadał Paweł Jabłoński z Rozwoju Plus, w pokrętny sposób dowodząc, że jego klub wstrzymał się od głosu, ponieważ ustawa rzekomo nic nie zmienia. W tej sytuacji pojawia się oczywiste i retoryczne pytanie: Skoro nic nie zmienia, to po co, zdaniem Jabłońskiego, w ogóle rząd ją stworzył?

Oczywiście stanowisko wicemarszałka – którego samo PiS przecież przez ponad połowę kadencji obsadzać nie chciało, upierając się przy Elżbiecie Witek odrzucanej przez sejmową większość – ma swoją wagę i zwiększa możliwość oddziaływania obecnie 40-osobowego klubu na prace Sejmu. Jednocześnie jednak wybór Horały głosami Koalicji Obywatelskiej uderza w przychylność ze strony podstawowej bazy wyborców nowego ugrupowania.

DLA KOGO OFERTA?

Baza ta nie wygląda zaś imponująco. Spójrzmy na sondaże United Surveys, bo ta pracownia trzykrotnie już uwzględniała Rozwój Plus w swoich badaniach. Pod koniec lipca Mateusz Morawiecki startował z przytupem i zdobywał 7,5 proc. W pierwszym tygodniu sierpnia poparcie spadło do 6,8 proc. Miesiąc później – do 6 proc. W podobnym okresie w badaniu CBOS Rozwój Plus odnotował tylko 3,7 proc., a więc wyraźnie poniżej progu wyborczego. W innych badaniach partia Morawieckiego sytuuje się tuż powyżej niego. W dodatku jeśli zestawić to z notowaniami Prawa i Sprawiedliwości, wyraźnie widać, że niemal jedynym zasobem, z którego Rozwój Plus czerpie, jest dawna grupa wyborców PiS. Z tego punktu widzenia wspieranie się Koalicją Obywatelską przy wyborze wicemarszałka jest mocno ryzykowne. Rację mógł mieć Krzysztof Bosak, lider Ruchu Narodowego, gdy na X napisał, że wyborcy doceniliby, gdyby ugrupowanie Morawieckiego nie konkurowało o stanowisko z PiS.

Nieufność pomiędzy środowiskami Rozwoju Plus i PiS jest być może największą przeszkodą w stworzeniu przez nie przedwyborczego układu

To prowadzi do pytania dla Rozwoju Plus podstawowego: Do kogo kierują ofertę i kogo zamierzają przekonać? Kilka wniosków można już wysnuć.

Wniosek pierwszy: Rozwój Plus nie jest atrakcyjny dla niemal nikogo spoza dotychczasowych wyborców PiS. Twierdzenia, że ugrupowanie Mateusza Morawieckiego zacznie podbierać wyborców Konfederacji, okazały się błędne, co zresztą przewidywałem jeszcze wtedy, gdy na rozłam się dopiero zanosiło. Paradoksalnie największym problemem Rozwoju Plus jest w tej kwestii sam jego założyciel. Mateusz Morawiecki jest przez znaczną część wyborców Konfederacji kojarzony z najgorszymi elementami polityki PiS, takimi jak Polski Ład, zgoda na kolejne elementy Zielonego Ładu czy polityka covidowa. Ponieważ zaś sam Morawiecki nie przyznaje się w tych sprawach do błędu, nie ma powodu, aby mu zaufać.

Prowadzi to do sytuacji wręcz zabawnych. Podczas niedawnego spotkania Rady Przedsiębiorców pod Giżyckiem – organizacji skupiającej mały i średni biznes, powołanej przez Adama Abramowicza, byłego rzecznika małych i średnich przedsiębiorców – odbyła się debata polityków, w której wzięli udział Janusz Cichoń z Koalicji Obywatelskiej oraz Przemysław Czarnek z PiS. Czarnek był w komfortowej sytuacji, mógł bowiem wskazywać, że niektóre wątki rządów jego ugrupowania związane z biznesem były błędne, sugerując, że stała za nimi frakcja Mateusza Morawieckiego. Mimo że przecież w tamtym czasie sam Czarnek lojalnie rząd byłego premiera i jego działania wspierał.

Można sobie wyobrazić, że Morawiecki mógłby zaczerpnąć z elektoratu Polski 2050, z którą pod względem przekazu wydaje się być blisko. Tyle że tamto źródło niemal całkiem wyschło, bo ugrupowanie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz notuje śladowe poparcie.

Wniosek drugi: walka pomiędzy PiS a Rozwojem Plus to w dużej mierze bitwa na opowieści o świeżości i jakichkolwiek pomysłach. Właśnie tak: nie o tym, jakie to są konkretnie pomysły, ale o tym, czy w ogóle są. Obrazy, jakie tworzą dzisiaj partie Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego, coraz mocniej się rozjeżdżają. Gdy przed kamerami pojawia się ten pierwszy, widzimy steranego, mocno już starszego pana w otoczeniu zgranych twarzy. Przekaz jest przewidywalny, ten sam od dawna, coraz mocniej oderwany od sondażowej rzeczywistości: tylko PiS to „prawdziwa prawica", tylko PiS może odsunąć Tuska od władzy. To przekaz właściwie wyłącznie negatywny, zbudowany na zaprzeczeniu rządów obecnej koalicji. Przypomina to oświadczenia wyobcowanego przywódcy dawnego mocarstwa, który w okrążonym bunkrze roi o nowych podbojach, podczas gdy obszar jego panowania skurczył się do najbliższych dzielnic.

Mateusz Morawiecki jest bardzo sprawny w tworzeniu nowoczesnego PR. W jego mediach społecznościowych niemal codziennie pojawiają się nowe materiały, były premier wyskakuje z lodówki, aby przedstawić swój pogląd na każdą sprawę. Jego najbardziej energiczni współpracownicy, tacy jak Marcin Horała, Janusz Cieszyński czy Paweł Jabłoński, są nie mniej widoczni. Oczywiście rzut oka na skład klubu parlamentarnego pokazuje, że w większości składa się on z postaci równie zgranych co klub PiS, a nawet kompromitujących (jak Monika Pawłowska czy Olga Semeniuk-Patkowska), lecz Morawieckiemu udaje się utrzymać inne wrażenie.

Otwarte pozostaje pytanie, czy to wystarczy, aby przekonać do siebie wystarczająco dużą część elektoratu PiS i trwale umościć się powyżej progu samodzielnego wejścia do Sejmu. Decydujące będą dopiero te miesiące, gdy zacznie się prawdziwa prekampania wyborcza, czyli najwcześniej jesień tego roku, a prędzej wiosna roku przyszłego. Gdyby za wyznacznik przyjąć stan obecny i możliwości obu ugrupowań, Rozwój Plus stara się sprawiać wrażenie, jakby kipiał pomysłami i na bieżąco odno-

eprasa.pl 65c5a5f024

sił się do różnych wywołujących emocje spraw. A to do wysokich cen energii i paliw, a to do obronności, a to do afery z Moniką Horną-Cieślak, rzecznikiem praw dziecka. Przewaga nad PiS polega na tym, że Rozwój Plus poświęca mniej więcej tyle samo uwagi sprawom strategicznym co taktycznym. Stąd publikacje takie jak raport na temat demografii czy nowy, na temat obronności. Ich merytoryczna waga to inna sprawa. Prawdopodobnie mało kto te dokumenty w ogóle przegląda, ale informacja, że ukazała się właśnie 44-stronicowa analiza na temat strategii obronnej, robi znaczenie lepsze wrażenie niż kolejne partyjne frazesy wygłaszane przez posłów PiS i samego prezesa. Tego PiS, który – jeśli odjąć aktywność samego Morawieckiego i jego najbliższego otoczenia – w zasadzie od wyborów w 2023 r. tkwi w marazmie i nie jest w stanie stworzyć żadnej strategicznej propozycji. Partia Kaczyńskiego zapowiada ofensywę programową, ale trudno ją sobie na razie wyobrazić.

Wniosek trzeci: walka o struktury ma duże znaczenie w kontekście nadchodzących wyborów. Nie bez powodu Mateusz Morawiecki chwali się każdym przypadkiem dołączenia samorządowca do Rozwoju Plus. Przy czym spośród kilku osób wśród prezydentów i burmistrzów, którzy taką deklarację złożyli, zdecydowana większość nie zmieniła obozu politycznego z PiS na nowe ugrupowanie. Byli to samorządowcy kojarzeni z umowną prawicą, ale nienależący do partii i startujący w wyborach samorządowych pod szyldem własnych komitetów wyborczych jak Paweł Osiewała, prezydent Sieradza czy Krystian Kinastowski, prezydent Kalisza. Najciekawsze będzie natomiast, jak duża część struktur terenowych PiS zmieni ostatecznie front.

Wniosek czwarty: wszystko to może być za mało. Sięgając po morską przenośnię – PiS jest jak wielki, przeciekający transatlantyk z pordzewiałym kadłubem, spowalniany przez przyssane do niego skorupiaki i płynący na jednym silniku, bo pozostałe dawno uległy awarii, w dodatku z na pół ślepym kapitanem, który przez większość czasu drzemie w kajucie i wychodzi na mostek tylko od wielkiego dzwonu. Wciąż jednak jest to wielki statek, który idzie naprzód siłą inercji, a sam jego rozmiar sprawia, że może przetrwać średnio intensywną burzę. Rozwój Plus zaś to niewielka łódź motorowa, w lepszym stanie, świeżo odmalowana, która chce sprawiać wrażenie jednostki z większą sprawnością morską. Jednak gdy podpłynie pod dziób starego, steranego statku, od którego się odłączyła, wciąż może zostać zmiażdżona, a też nie wiadomo, jak poradzi sobie podczas sztormu.

TEST MOŻLIWOŚCI PO PRAWEJ STRONIE

Skoro zaś mniejsza łódź sama może sobie nie poradzić – może jej kapitan zechce wejść wraz ze swoją załogą na pokład większej jednostki? Może nawet tej, z której zszedł? Tu znów nic nie jest przesądzone. Testem możliwości jakiegokolwiek przymierza po prawej stronie jest pakt senacki, w którego kwestii informacje są sprzeczne. Nie wiadomo, czy ze strony PiS i Rozwoju Plus będzie zgoda, aby włączyć do niego Konfederację Korony Polskiej – choć takie przecieki ostatnio się pojawiły. Rację zaś ma Sławomir Mentzen mówiąc, że bez ugrupowania Grzegorza Brauna pakt nie ma sensu.

Często pojawiający się wariant to wspólny start Rozwoju Plus i PiS, tyle że jako dwóch ugrupowań na wspólnej liście. To jednak bardzo wątpliwe, bo w takim układzie sytuacja Morawieckiego i jego ludzi byłaby bardzo słaba, a przecież nie po to odchodzili z PiS. Nie byłaby to z pewnością formalna koalicja, na to niemal na pewno nie zgodziłby się prezes Kaczyński. Akceptowalny byłby dla niego jedynie układ, w którym członkowie Rozwoju Plus zostaliby wzięci na listy PiS, to jednak dawałoby właśnie PiS i jego pełnomocnikowi wyborczemu ostateczną kontrolę nad kształtem tychże oraz przewagę w negocjacjach na temat miejsc na nich. Co więcej, kontrola nad całością partyjnej subwencji również leżałaby w rękach prezesa Kaczyńskiego. I nawet gdyby w tej sprawie zostało zawarte pisemne porozumienie, i tak brakowałoby wzajemnego zaufania, że będzie realizowane.

Właśnie nieufność pomiędzy środowiskami Rozwoju Plus i PiS jest być może największą przeszkodą w stworzeniu takiego przedwyborczego układu. Wbrew pozorom podstawowy poziom wzajemnego zaufania ma w polityce znaczenie. Co się dzieje, gdy go brak, pokazują chociażby losy Polski 2050 w obecnej koalicji i otwarty spór pomiędzy Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz a Donaldem Tuskiem. Dawniej zaś upadek koalicji PiS z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, który doprowadził do przyspieszonych wyborów w 2007 r. i dwóch kadencji rządów Platformy Obywatelskiej.

Nie ma tu także zastosowania analogia z odejściem Zbigniewa Ziobry z PiS w 2011 r. i stworzeniem przez niego Solidarnej Polski. Pomiędzy bowiem tamtą secesją a ponownym połączeniem obu ugrupowań na wspólnej liście wyborczej minęła cała kadencja. Teraz czasu jest za mało, a też i okoliczności zewnętrzne są znacznie bardziej skomplikowane oraz niestabilne.

NAJBLIŻEJ DO POLSKI 2050

Najbardziej prawdopodobny wydaje się zatem wariant, w którym ugrupowanie Mateusza Morawieckiego będzie szło do wyborów pod własnym szyldem, choć niewykluczone, że wchodząc w jakiś alians. Z punktu widzenia głoszonych poglądów – czyli ekspansywnego etatyzmu, upodobania do nowomodnych idei ekonomicznych znanych pod hasłem nowoczesnej teorii monetarnej (MMT), akceptacji dla zadłużania państwa w nieskończoność czy chęci uregulowania wielu dziedzin życia – Morawieckiemu najbliżej byłoby do Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z jej antywolnościowymi pomysłami, takimi jak ograniczenie najmu krótkoterminowego czy ogólnokrajowy zakaz nocnej sprzedaży alkoholu. Wiadomo jednak, że nie decydują przede wszystkim idee, ale kalkulacja poparcia. Wejście w układ z Polską 2050 byłoby możliwe tylko, gdyby to ugrupowanie odpowiednio wcześnie zdecydowało się opuścić koalicję rządzącą, a to z kolei niemal na pewno spotkałoby się z oporem dużej części jego posłów, którzy kalkulują już – wobec tragicznych notowań partii – jak wkupić się w łaski Donalda Tuska i wytargować sobie dobre miejsce na listach KO.

Wygląda zatem – o ile nie nastąpi coś nieprzewidzianego – że przez kolejne miesiące zabawa będzie polegała na wyszarpywaniu sobie przez PiS i Rozwój Plus części tego samego tortu. Skutek zaś może być taki, że część zniechęconych i zgorszonych wyborców postanowi przerzucić swoje poparcie na Konfederację, która mimo wewnętrznych podziałów utrzymuje zewnętrzną jedność. Tę zaś wyborcy lubią premiować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. ZOHA BAZAK/EAST NEWS

E-hulaj dusza!



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Elektryczne hulajnogi stały się dla nastolatków nie tylko środkiem transportu, lecz także modą i sposobem spędzania wolnego czasu. Problem zaczyna się, gdy dzieci wsiadają na maszyny rozwijające prędkość nawet 70 km/h. Wypadków przybywa, a wraz z nimi pytań o odpowiedzialność rodziców

Hejtujesz Kukirina, mama ci nie pozwoliła
Bram Kukirina ze mną jest moja ekipa
Okekel dawaj na feata, hita, piję Easy Boosta
Mała kręci ją moja kapusta
Hejtujesz Kukirina, mama ci nie pozwoliła.

Tak brzmi refren wygenerowanej przez sztuczną inteligencję piosenki „Kukirin" Atsaba i terrora. Utwór stał się nieformalnym hymnem „kukiriniarzy", czyli fanów szybkiej jazdy na hulajnogach elektrycznych. Te o dużej mocy stały się przedmiotem pożądania, elementem młodzieżowej subkultury, atrybutem popularnych tiktokerów i symbolem statusu. Problem w tym, że zabawa sprzętem zdolnym rozpędzić się do prędkości samochodu coraz częściej kończy się na SOR. Bywa też gorzej.

Ubiegły tydzień, Nakło nad Notecią. Trzynastolatek jedzie hulajnogą elektryczną trasą pieszo-rowerową. Wjeżdża na przejście dla pieszych. Wtedy uderza z impetem w wykonujący właśnie manewr skrętu autobus. Ginie na miejscu. Kierowca autobusu jest trzeźwy. Okoliczności tragedii bada prokuratura. Zaledwie kilka dni wcześniej w Bolesławcu 13-latka straciła panowanie nad e-hulajnogą i spadając z niej, uderzyła głową o jezdnię. Kasku nie miała. Dziecko trafiło do szpitala. Najbardziej szokująca była prędkość, z jaką – według ustaleń policji – miała jechać dziewczynka – 61 km/h. To więcej niż organicznie dla aut osobowych w terenie zabudowanym. Policja poinformowała, że sprawą zajmie się sąd rodzinny, który może ocenić również odpowiedzialność rodziców lub opiekunów. W sierpniu 2025 r. w Olszynach w Małopolsce 11-letni chłopiec jechał hulajnogą drogą prowadzącą w dół wzniesienia. Na łuku zjechał na przeciwległy pas, wprost pod ciężarówkę. Mimo długiej reanimacji dziecka nie udało się uratować. Kierowca ciężarówki był trzeźwy. Rok później na toruńskim bulwarze 16-latek – według relacji świadków przytaczanych przez portal o2.pl – miał jechać elektrycznym pojazdem z dużą prędkością, omijając pieszych slalomem. Uderzył w siedmioletnią Amelkę jadącą zwykłą hulajnogą. Dziewczynka upadła i uderzyła głową o beton. „W pewnym momencie usłyszała szum opon. Zauważyła osobę na hulajnodze. Zahaczył ją, ona uderzyła głową o chodnik. Nastolatek chciał uciekać, ale świadkowie go zatrzymali" – relacjonował ojciec poszkodowanej. Amelka trafiła do szpitala, konieczna była operacja.

HULAJNOGA JAK MOTOCYKL

Hulajnoga, choć dotychczas kojarzyła się z miłą formą spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu, od dawna przestała być sprzętem dla najmłodszych. Motocykl czy skuter o mocy pozwalającej rozpędzić się do 60 km/h uruchamiają w głowie rodzica całą listę alarmów. Tymczasem hulajnoga nadal kojarzy się z czymś niegroźnym. Zgodnie z polskim prawem hulajnogą elektryczną można poruszać się maksymalnie z prędkością 20 km/h. Jednoślad powinien korzystać z drogi dla rowerów lub pasa rowero-

eprasa.pl 65c5a5f024

wego. Na chodnik może wjechać jedynie w określonych sytuacjach, a wtedy musi poruszać się z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego, zachować szczególną ostrożność i ustępować pierwszeństwa pieszym. W marcu zaostrzono przepisy. Dziecko poniżej 13. roku życia nie może jeździć hulajnogą elektryczną po drodze publicznej. Wyjątkiem pozostaje strefa zamieszkania, gdzie może robić to pod opieką dorosłego. Niepełnoletni uprawnieni do jazdy muszą posiadać kartę rowerową albo odpowiednią kategorię prawa jazdy. Od 3 czerwca wszyscy użytkownicy poniżej 16. roku życia muszą ponadto korzystać z kasku.

Dane nie pozostawiają wątpliwości – e-hulajnogi, używane w ryzykowny sposób, nie mają nic wspólnego z bezpieczeństwem. Komenda Główna Policji podaje, że między 2023 a 2025 r. liczba wypadków spowodowanych przez kierujących hulajnogami elektrycznymi wzrosła aż o 163 proc. – z 264 do 696. Liczba zabitych wzrosła z trzech do ośmiu, a rannych z 269 do 757. Policja zwraca przy tym uwagę właśnie na niepełnoletnich użytkowników oraz przekraczanie prędkości, ryzykowne manewry i lekceważenie zasad bezpieczeństwa. W 2024 r. kierujący hulajnogami elektrycznymi byli sprawcami 372 wypadków drogowych. Rok wcześniej było ich 264. W 2025 r. liczba wzrosła już do 696.

NIEBEZPIECZNY STYL ŻYCIA

Jednocześnie elektryczna hulajnoga coraz częściej nie służy młodym ludziom jedynie do przemieszczania się. Staje się sposobem spędzania wolnego czasu, podstawą życia towarzyskiego i pretekstem do wielogodzinnych wypraw po mieście. Zamiast spotkania na boisku czy włóczenia się po osiedlu jest wspólny przejazd – najlepiej taki, z którego później powstanie film na TikToka albo Instagrama. Dobrze obrazuje to instagramowy profil „avo.sigma", którego autor regularnie pokazuje grupowe wypady nastolatków na elektrycznych hulajnogach. – Zebraliśmy się z ekipą na hulajnogach elektrycznych i stwierdziliśmy, że dzisiaj nie ma żadnego planu. Po prostu jedziemy przed siebie. Zaczęliśmy kręcić się po całym mieście, odwiedzając różne miejscówki i oczywiście nie mogło zabraknąć wheelie – opowiada na jednym z nagrań. Wheelie to jazda na jednym kole – jeden z popisowych trików wykonywanych przez użytkowników jednośladów. Grupa jeździ dalej po mieście, aż trafia na most. – Stanęliśmy i zaczęliśmy machać do przejeżdżających samochodów. Niektórzy kierowcy patrzyli na nas jak na kosmitów, ale cały czas czekaliśmy na jedną rzecz. Aż ktoś nam z samochodu pomacha – relacjonuje autor. Na innym wideo słyszymy, że spokojna przejażdżka szybko zmieniła się w kolejną miejską wyprawę. Grupa jedzie do galerii handlowej, wjeżdża hulajnogami na parking i spotyka ochronę. – Okazało się, że nasze hulajnogi nie są tam mile widziane, więc dostaliśmy szybkie: „Panowie, trzeba wyjechać". No to co mieliśmy zrobić? Zawijamy się i lecimy dalej – opowiada „avo.sigma". Nastolatkowie jadą na urbex, czyli eksplorację opuszczonych obiektów. – Trafiliśmy do starego i opuszczonego miejsca, które od razu miało zupełnie inny klimat. Puste pomieszczenia, stare konstrukcje i totalna cisza. Wszystko wyglądało naprawdę strasznie, a podobno po godz. 21 ktoś tam przychodzi i pilnuje tego miejsca. Dlatego z nami nigdy nie wiadomo, jak skończy się zwykła przejażdżka – podsumował autor. Film kończy się pytaniem do widzów o to, jaki mają model hulajnogi i czy chcieliby oglądać więcej takich przejazdów.

Hulajnoga staje się więc czymś więcej niż pojazdem. Jest symbolem statusu, przepustką do grupy i narzędziem do produkowania atrakcyjnych treści w mediach społecznościowych. A skoro całe zjawisko przeniosło się do Internetu, to szybko doczekało się również własnego języka – tak pojawili się „kukiriniarze". Określenie pochodzi od KuKirin, czyli chińskiej marki e-hulajnóg, jednej z najbardziej pożądanych. Jej mocniejsze modele zdobyły w Polsce dużą popularność przede wszystkim dzięki relacji osiągów do ceny. Oczywiście nie każdy, kto posiada taki model, jest „kukiriniarzem" – nie brakuje osób, które jeżdżą odpowiedzialnie. W sieci można jednak bez trudu znaleźć filmy z jazdy kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, przejazdów między samochodami, popisów na chodnikach czy przechwałek kolejnymi modyfikacjami. Profil „Stop Cham", publikujący nagrania niebezpiecznych zachowań na drogach, pokazywał użytkownika, który miał jechać hulajnogą niemal 70 km/h i deklarować, że jego maszyna jest w stanie osiągnąć prawie 100 km/h. Został ukarany mandatem w wysokości 1100 zł.

W Warszawie zjawisko przybrało nawet formę grupowych przejazdów. Według portalu Silesion wokół środowiska określanego jako Warsaw Mob gromadzą się użytkownicy mocnych elektrycznych jednośladów, m.in. KuKirinów i Sur-Ronów (lekkie motocykle elektryczne). Organizowane są nocne przejazdy przez miasto, podczas których uczestnicy poruszają się po jezdniach, drogach rowerowych i chodnikach.

WINA RODZICÓW

Państwo samo przyznaje, że ma problem. Ministerstwo Infrastruktury zapowiedziało nowe regulacje dotyczące homologacji. Resort zwrócił uwagę, że na drogach pojawiają się jednoślady, które wyglądają jak hulajnogi lub rowery elektryczne, ale ze względu na parametry techniczne w świetle prawa nimi nie są. Klient może znaleźć na rynku urządzenia o osiągach nieporównywalnych z miejskimi hulajnogami wynajmowanymi na minuty. Nieświadomi rodzice, chcąc uszczęśliwić swoje dzieci, dokonują zakupu. Na profilu instagramowym „my_life_in_usa", prowadzonym przez mieszkającą w Connecticut Polkę, opublikowano nagranie z rozpakowywania długo wyczekiwanego prezentu dla syna. – Spełniło się Twoje marzenie? – pyta podekscytowana matka. Pada informacja o prędkości: Hulajnoga osiąga 43 mile na godzinę. To ok. 69 km/h. – Nie boisz się? Ale ja się boję, że coś ci się stanie – dopytuje autorka. To nagranie dobrze pokazuje stan brak świadomości wielu dorosłych. Dorosły wie, że sprzęt może być niebezpieczny. A jednocześnie wręcza go dziecku jako spełnienie marzenia.

Policja mówi wprost: sama zgoda rodzica nie zastępuje wymaganych uprawnień. Dopuszczenie do kierowania pojazdem osoby, która ich nie posiada, może oznaczać odpowiedzialność właściciela, posiadacza lub opiekuna. Dotyczy to również obowiązku używania kasku przez dzieci objętego nowymi przepisami. Wracając do cytatu otwierającego tekst: „Hejtujesz Kukirina, mama ci nie pozwoliła". Więcej matek i ojców powinno nie pozwalać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Kamila Urzędowska w tytułowej roli „Lalki" w reżyserii Macieja Kawalskiego FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ta druga „Lalka"



Piotr Gociek

Film Macieja Kawalskiego to adaptacja powieści Prusa, a nie jej dekonstrukcja. A także piękne pożegnanie całej generacji polskich aktorów

Jadę zatłoczonym tramwajem linii 12 w Łodzi z Atlas Areny na dworzec Łódź Fabryczna, czas wrócić do domu z festiwalu komiksu. Jest sobotnie popołudnie. Trzy nastolatki (raczej młodsze niż starsze) zastanawiają się na głos, na co iść do kina. Jedna zauważa zapowiedź „Lalki" w repertuarze multipleksu. „A co to jest?" – pyta. „»Lalka« to taka lektura szkolna" – odpowiada druga. Zaś trzecia włącza się w dyskusję, mówiąc, że widziała pierwszą część w Netflixie. „A ta w kinie to pewnie druga część, ale szybko nakręcili" – zakłada.

WARTO IŚĆ DO KINA

Obawiam się, że szum informacyjny wygenerowany przy okazji premiery serialu Pawła Maślony może zaszkodzić konkurencyjnej wersji kinowej w reżyserii Macieja Kawalskiego. Wedle analiz internetowych interakcji dwie trzecie reakcji na serial Netflixa jest negatywna, oby nie przeniosło się to na szersze przekonanie, że wszystko, co się „Lalka" nazywa, trzeba omijać szerokim łukiem.

Tymczasem na „Lalkę" Kawalskiego warto iść do kina z przynajmniej trzech powodów. Po pierwsze, nie jest to retelling czy remiks (jak u Maślony), lecz próba adaptacji, więc próba bardziej na serio zmierzenia się z literackim oryginałem. Po drugie, mamy w tym filmie przynajmniej dwie kreacje bardzo dobre i jedną wybitną. Bardzo dobry jest Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski, bardzo dobra jest Maria Dębska jako Kazimiera Wąsowska. Natomiast wybitną kreację tworzy Marek Kondrat jako Ignacy Rzecki. Ten niespodziewany powrót do aktorstwa po 16 latach przerwy (pierwszy raz od czasu „Małej matury 1947" Janusza Majewskiego) jest wielkim triumfem warsztatu w starym stylu i pokazem skali talentu samego Kondrata.

Jest oczywiście i powód trzeci, podstawowy. Kinowa „Lalka" to dobry film. Nie wybitny, nie przełomowy, po prostu dobry. I widać po nim, że jest owocem miłości twórców do prozy Prusa oraz miłości do kina. Radosław Drabik, producent filmu, mówił przed pierwszym pokazem prasowym, że początki projektu sięgają czasów pandemii, kiedy przemysł kinowy doznał ciężkich strat. Zamknięte sale, wstrzymana produkcja, w efekcie wielkie przekierowanie uwagi widzów na streaming, wiadomo, o czym mowa, pisałem o tym zjawisku kilkakrotnie na łamach „Do Rzeczy". Także o tym że zmiana wydaje się nie do odwrócenia, skutki pandemii do dziś dają się we znaki

eprasa.pl 65c5a5f024

światowej kinematografii. I oto Drabik zapiera się, by iść po prąd: „Chciałem zrobić film, który sprawiłby, że Polacy znowu wrócą do kin".

Reżyserię powierzył Maciejowi Kawalskiemu, który zbierał doświadczenie w telewizji (serial „Mały zgon"), by w roku 2022 zadebiutować jako twórca kinowy filmem „Niebezpieczni dżentelmeni". Co ciekawe, do produkcji kinowej „Lalki" nie dołożył się PISF, za to głównym inwestorem okazała się grupa TVN. Radosław Drabik produkował wcześniej filmy z serii „Planeta singli", więc cieszy się zaufaniem tego partnera biznesowego. A inwestycja była spora, mieszkańcy Warszawy pamiętają, jak długo na Krakowskim Przedmieściu przy Pomniku Mikołaja Kopernika budowano dekoracje do filmu. Postawiona tam kamienica ze sklepem Wokulskiego była przez pewien czas jedną z turystycznych atrakcji Warszawy. Było warto, bo na ekranie prezentuje się godnie i ładnie jest ogrywana przez Piotra Sobocińskiego jr, autora zdjęć i współautora scenariusza. Nie unikniemy porównań, skoro dwa tygodnie temu do Netflixa trafiła „Lalka" w wersji Maślony; otóż jeśli chodzi o zdjęcia jedno i drugie przedsięwzięcie uważam za udane, bardzo dobra jest zarówno robota Pawła Flisa dla Maślony, jak i Piotra Sobocińskiego jr dla Kawalskiego.

Co do samej opowieści, zanim trafimy do Warszawy i ujrzymy Rzeckiego witającego Wokulskiego, trafiamy na Bałkany, gdzie trwa wojna, widzimy, że Wokulski dla majątku rzeczywiście nadstawiał głowę i niewiele brakowało, by tę głowę utracił. Później, gdy przedsiębiorczy kupiec zabiera się za podchody wokół Łęckich, na scenę wkracza pani Meliton (postać w serialu Maślony zupełnie ominięta), którą gra Agata Kulesza. Oto doświadczona swatka, która nuworysza wprowadzać będzie na salony oraz źródło mądrości na temat tego, jak uwodzić należy damę z towarzystwa. Pani Meliton wprowadza na scenę mocno pożądany efekt komediowy i dobrze, bo kto czytał „Lalkę" nie jako szkolną lekturę, ale w dorosłości, ten na pewno dostrzegł, że poza wszelkimi innymi zaletami powieść Prusa bywa bardzo zabawna.

W centrum serialu Maślony stała buntowniczka i emancypantka Łęcka. U Kawalskiego najważniejszy jest – tak jak w literackim oryginale – Stanisław Wokulski, rozdarty między romantyzmem a pozytywizmem (co wprost wykłada mu na ekranie przyjaciel, Michał Szuman, zagrany przez Macieja Stuhra). Właściwie przy niemal każdej decyzji obsadowej znajdujemy tu znane nazwisko. „Real Madryt polskiego kina" rzucił po projekcji krytyk Łukasz Adamski. Wszak ojca Łęckiej gra Andrzej Seweryn, jego siostrę – Krystyna Janda, księcia – Jan Englert, a prezesową Zasławską – Maja Komorowska, by wymienić tylko to najznamienitsze grono. Pośrodku tego doborowego towarzystwa lśni natomiast Marcin Dorociński jako Wokulski. Tydzień temu pisałem w „Do Rzeczy" o tym, jak od dekady rozsądnie buduje swoją karierę, mocno przebierając w rolach krajowych i decydując się na ciekawe projekty zagraniczne. Rola w „Lalce" tylko mu w tym pomoże, zresztą jaki aktor nie chciałby zmierzyć się z tą postacią.

W rozmaitych adaptacjach dostaliśmy bardzo różnych Wokulskich. Groźna fizyczność i budząca posłuch charyzma Mariusza Dmochowskiego w filmie Wojciecha Jerzego Hasa sprawiały, że łatwo było uwierzyć: oto człowiek, który bez trudu postawi na swoim. Ten żywioł zderzał się ze światem starej arystokracji i było to starcie potężne. Wokulski w serialu Ryszarda Bera – czyli Jerzy Kamas – był chłodniejszy, często czynił wrażenie najbardziej zimno myślącego ze wszystkich kupców, czyniło to jego namiętność do Łęckiej nieco niezrozumiałą, a zarazem intrygującą. Jak ktoś, kto zdaje się mistrzem kalkulacji, może zarazem tak bardzo stracić głowę dla ładnej buzi?



REŻ. MACIEJ KAWALSKI „LALKA" POLSKA 2026

Wokulski wedle Marcina Dorocińskiego bliższy jest temu z wersji Hasa, ale zarazem jeszcze inny: najbardziej z nich wszystkich romantyczny. Niemal komiczny, gdy nie ma śmiałości zapukać do drzwi Łęckich, dziecięco skrzywdzony, gdy Łęcka zaczyna się nim bawić, zdecydowany i groźny gdy podejmuje daleko idące decyzje, wreszcie cierpiący, a nawet cierpiący często i głęboko. Mam jego kreację za ciekawszą od tego, jakim uczynił Wokulskiego w serialu Netflixa Tomasz Schuchardt. Nie mam jednak pretensji do Schuchardta ani nie chcę umniejszać jego talentu, po prostu Dorociński dostał lepszy materiał wyjściowy do zagrania, a Maślona z Demirskim wpisali do scenariusza zbyt wiele wygłupów. Tymczasem słowo jest wszystkim, nawet w nędznej polskiej adaptacji opowieści o wiedźminie Geralcie były chwile, gdy rzecz się dobrze oglądało. Kiedy? Ano wtedy, kiedy skądinąd dobrzy aktorzy mogli mówić oryginalnymi dialogami z Sapkowskiego, a nie słowami dopisanymi przez autorów pośledniejszych. To cała tajemnica dobrego kina i dobrego teatru, weź dobrego aktora i daj mu dobry tekst. Reszta się po prostu wydarzy.



Wokulski wedle Marcina Dorocińskiego bliższy jest temu z wersji Hasa, ale zarazem jeszcze inny: najbardziej z nich wszystkich romantyczny FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 65c5a5f024



Ignacy Rzecki w wersji Marka Kondrata to kreacja pełna, wierna oryginałowi literackiemu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„A co z Łęcką?", zakrzykniecie. Zdecydowano się na decyzję obsadową bezpieczną, ładna panienka, ale trochę bez właściwości, właśnie laleczka przestawiana przez innych z kąta w kąt. Bardziej pasowałaby do świata zimnych bogaczy, jaki pamiętamy z serialu Ryszarda Bera (gdzie dostaliśmy zimną Małgorzatę Braunek), nie ma w niej natomiast tej eterycznej, nadziemskiej piękności, którą emanowała Beata Tyszkiewicz u Hasa. Maślona z tego wyścigu wypisał się w ogóle, bo u niego Sandra Drzymalska gra postać, która bardziej przypomina wiecznie wkur… ną na wszystko rozwydrzoną nastolatkę.

Oczywiście czyniąc Wokulskiego tak bardzo cierpiącym, ciekawym świata, i po prostu sympatycznym, zaryzykowali Dorociński i reżyser Kawalski, że w głowach widzów pojawi się pytanie: Jakże to się stało, że Łęcka dla takiego dobrego chłopa nie straciła natychmiast głowy? Ale akcja gna do przodu i nie mamy czasu, by nad tym się zastanawiać. Tu odrobina żalu: jakże szkoda, że nie znalazło się nieco więcej pieniędzy, by oprócz niemal trzygodzinnej wersji kinowej nakręcić też wersję rozszerzoną, serialową czy miniserialową, nawet choćby ze cztery godzinne odcinki. Chwilami bowiem Kawalski (któremu powieść adaptować pomagał nie tylko Piotr Sobociński jr, lecz także Łukasz Światowiec) popełnia grzech znany z kinowych wersji literackich arcydzieł: próbuje zmieścić zbyt wiele.

SKARBNICA POSTACI DRUGOPLANOWYCH

Zawsze są to trudne decyzje, bez czego obejść się nie można, gdzie i jak bardzo skrócić, a z drugiej strony jak zadowolić tych, którzy nie wyobrażają sobie adaptacji bez swoich ulubionych bohaterów drugoplanowych, bez ulubionych scen. W nowej kinowej „Lalce" niekiedy zbyt wiele dzieje się zbyt szybko i zbyt gładko, pod tym względem Maślona w serialu przykuwał uwagę lepiej, bo dopisywał zaskakujące zwroty akcji i podbijał napięcie. Tyle że kosztem zmasakrowania literackiego oryginału.

Dwa słowa o tym, co jeszcze dzieje się na drugim planie, bo przecież „Lalka" Prusa to skarbnica postaci drugoplanowych. Oto Paweł Wilczak świetny jako Szlangbaum, Andrzej Chyra równie dobry jako profesor Geist, Mateusz Damięcki wiarygodny jako pozbawiony skrupułów Starski. Chybioną decyzją było powierzenie roli Krzeszowskiego Borysowi Szycowi. Krzeszowski u Kawalskiego napisany jest i zagrany nazbyt karykaturalnie, dużo lepszy był Piotr Adamczyk w wersji Maślony. (Przy okazji przepraszam czytelników, że dwa tygodnie temu w recenzji „Lalki" Netflixa kreację Adamczyka przypisałem błędnie Szycowi właśnie).

W jednej kwestii i Maślona, i Kawalski szukali podobnie. Kazimiera Wąsowska u tego pierwszego grana jest przez Magdalenę Cielecką i okazuje się najmądrzejszą oraz najbardziej obliczalną ze wszystkich postaci kobiecych. Tyle że gorzka jest to mądrość, cyniczna, mądrość tej, która wie, że bunt buntem, a na układy nie ma rady. Tą samą mądrością obdarzyła swą bohaterkę w wersji kinowej Maria Dębska, tyle że w jej wykonaniu Wąsowska jeszcze walczy, jeszcze pozwala sobie na cień nadziei na prawdziwą miłość, krótko mówiąc, jest postacią prawdziwie tragiczną. Nie wiem dlaczego „Lalka" Kawulskiego nie startowała w konkursie tegorocznego festiwalu polskich filmów fabularnych w Gdyni, podobno postprodukcja trwała zbyt długo. Dla mnie zarówno Dębska jako Wąsowska, jak i Kondrat w roli Rzeckiego byliby poważnymi kandydatami do nagród za najlepsze role drugoplanowe.

Rzecki w wersji Kondrata to kreacja pełna, jakiej od ładnych kilku lat nie widziałem w polskim kinie. I jest to Rzecki prawdziwy, znaczy ten z Prusa, posiwiały i postarzały, ale wciąż dziarski i romantyczny, a zarazem zawsze wierny przyjaciel ukochanego Stacha Wokulskiego. Piękne jest to, jak doskonale opanował Kondrat sztukę działania wedle zasady „mniej to więcej": nie szarżuje, nie przesadza, nie dociska. Drobne gesty, spojrzenia, powściągliwa mimika wystarczają mu, żeby powiedzieć wszystko.

POJEDYNEK DWÓCH „LALEK"

Z tego pojedynku dwóch „Lalek" wolę tę kinową, ale rozumiem tych, którzy dali się wciągnąć w szaloną, przesadną narrację serialową Maślony. To po prostu dwa różne światy, propozycje przygotowane do różnych grup odbiorców. Netflix dał nam produkt ery „post-". „Post-" co? Nie tylko postmodernizm, post-wszystko. Kawulski chciał zrobić film, który z zaciekawieniem obejrzałaby generacja moich rodziców i moja, a także przynajmniej część generacji mojej córki. W tym myśleniu o polskiej klasyce jako wspólnym skarbie jest coś, czego tiktokerzy i dekonstruktorzy nie zrozumieją, bo oni chcą, żeby było mocniej, szybciej i koniecznie inaczej.

Widzę w kinowej „Lalce" trochę spóźnione dzieło dopełniające pierwszą dekadę dziejów III RP, kiedyśmy dostawali „Ogniem i mieczem" czy „Pana Tadeusza", a do dwóch konkurencyjnych wersji „Krzyżaków" przymierzali się niezależnie od siebie Bogusław Linda i Jarosław Żamojda. Dał też Kawalski, budując obsadę pełną gwiazd okazję wspaniałemu pokoleniu polskich aktorów do godnego pożegnania się klasyką i z klasyką. Niech im zdrowie dopisuje, ale przecież za kilka lat już ich z nami zapewne nie będzie. Wolę, by żegnali się z nami Prusem, a nie telenowelami lub politycznymi manifestami z Facebooka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024

„Lalka”... czyli wiele hałasu o rzeczy ważne



Piotr Semka

Jeśli ten serial wywołał aż tyle protestów, to wskutek ogromnej dawki nihilizmu, który zastąpił mądrą obserwację ówczesnego społeczeństwa przez Bolesława Prusa. Dziś obóz postępu sięga po bardziej subtelne środki artystyczne niż w epoce Bieruta, ale łopatologia ideologiczna jest podobna, choć opakowana w bardziej wykwintny celofan

Debata wokół słynnego serialu Netflixa solidnie rozgrzała Polskę. I – jak to często bywa – zaczynają się już narzekania na ten temat. Jedna z publicystek nazwała dyskusję „Lalkageddonem” – to aluzja do określenia „Armageddon”.

Inny z blogerów pyta: „Ciekawe, czy ktoś zbadał w Polsce i policzył, ile relacji – koleżeńskich, przyjacielskich, rodzinnych – popsuło się lub przestało istnieć przez gównoburzę w mediach społecznościowych o politykę, historię czy o »Lalkę«?”.

Jeszcze inny, kpiąc z opinii, że nowa ekranizacja powieści Prusa to porażka, kąśliwie odpowiada: „Naprawdę porażka? Porażka, o której mówią dwie trzecie Polaków?”.

Mnie osobiście ostre dyskusje wokół „Lalki” cieszą. To znaczy, że cała sprawa wywołała jakiś istotny spór o wartości. I od razu zacznę od jednego uściślenia. Wbrew niektórym krytykom serialu nie uważam go za nudny czy źle zrobiony w sensie dramaturgii realizacji filmowej. Nawet gra aktorska w wielu wypadkach jest całkiem ciekawa. Tyle że nie to jest istotą problemu. Jego problemem jest ideologizacja, i to natrętna. A ponieważ ten lewicowy lukier został położony na całkiem smaczne ciasteczko, według mnie jest podwójnie toksyczny. Dodatkowo rozumiem obawy rodziców, że właśnie dlatego iż serial jest wciągający i ma wartką akcję, młodzi chętnie go obejrzą, ale wyjdą z tego z przekonaniem, że znają treść „Lalki”, oglądając serial, który nie ma zbyt wiele wspólnego z literackim pierwowzorem.

I tu znowu obrońcy serialu triumfują. Jeden z prześmiewców pisze: „Dobrze byłoby też, aby ludzie mieli chociaż minimum wiedzy i inteligencji, aby rozumieć, na czym polegają różnice między literaturą a adaptacjami ekranowymi. Jeśli ktoś nie wie, no to pozostaje tylko współczuć”. Ten ton tradycyjnej już salonowej wyższości dominuje zresztą w publicystyce obrońców serialu. Ale przecież nie o to idzie, że ktoś ośmielił się strawestować dzieło literatury. Andrzej Wajda przeniósł na ekran „Ziemię obiecaną” i stworzył dzieło kongenialne do powieści Władysława Reymonta. I mało kto protestował.

I nie chodzi tu nawet o zwykłe anachronizmy – autorzy nowej „Lalki” przenieśli akcję, którą Prus umieścił w końcu lat 70. XIX w., do końca tego stulecia, gdy już pojawiają się pierwsze automobile, a w debacie publicznej słychać już kwestię emancypacji kobiet. Tak samo nie są najistotniejsze przykłady ewidentnego braku wiedzy o tamtej epoce, jak np. uczynienie z pojedynku Wokulskiego z Krzeszowskim niemal publicznego pikniku z udziałem wysztafirowanych dam.

PANŚWINIZM STOSOWANY

Jeśli ten serial wywołał aż tyle protestów, to wskutek ogromnej dawki nihilizmu, który zastąpił mądrą obserwację ówczesnego społeczeństwa przez Bolesława Prusa. Za każdym razem obrońcy „Lalki” mówią: „No to co? Nie było wtedy przekleństw, nie było gwałtów, nie było zdrad, nie było narkotyków?”.

Owszem, były. Ale tak jak dzisiaj ograniczane były przez zdrowy rozsądek, obyczaj, lęk przed organami ścigania czy po prostu przez ludzką dobroć. I te ograniczenia wynikały zazwyczaj

eprasa.pl 65c5a5f024



Magdalena Cielecka jako Kazimiera Wąsowska z Sandrą Drzymalską, serialową Izabelą Łęcką FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

ze zdrowego rozsądku ludzi, którzy wtedy żyli. Przecież Prus nie stworzył wygładzonej, wysłodzonej wycinanki na temat Warszawy z przełomu lat 1877 i 1878. Zauważa i głupotę arystokracji, jej chciwość i prostytucję, i nędzę, i okrucieństwo, i wiarołomstwo. Ale zachowuje jakieś proporcje. Drapieżność w biznesach Wokulskiego równoważy wrażliwością kupca wobec nędzy, która prowadzi go na Powiśle i każe próbować wyrwać jedną z prostytutek z upadku.

W świecie autora scenariusza serialu Pawła Demirskiego i reżysera Pawła Maślony nie ma miejsca dla żadnych pozytywnych uczuć z wyjątkiem dwóch postaci przedstawionych jako prawdziwe anioły bez najmniejszej skazy, czyli domniemanej Elizy Orzeszkowej jako protofeministki i lekarki doktor Zofii jako pionierki kobiecej emancypacji. A reszta jest antypatyczna. I oczywiście maskująca rzekomą ogładą głęboką amoralność. Prowadzi to do mało wiarygodnych projekcji. Aby zdemaskować rzekomą dwulicowość panny do towarzystwa Izabeli o imieniu Florentyna, autorzy scenariusza przedstawiają ją jako skąpiradło, które aby płacić mniej służącej dla osobistego obsługiwania „Beli", sugeruje jej, że może po godzinach dorabiać jako prostytutka. Oczywiste, że nikt w tamtych czasach nie zgodziłby się na takie dorabianie. Ludzie baliby się choćby tego, że któryś z męskich gościu domu, gdyby rozpoznał w służącej kobietę, którą posiadł parę dni wcześniej, rozgłosiłby to i sprowadziłby na dom państwa Łęckich śmieszność. Arystokraci trzymali się wówczas bardzo często reguł i zasad niekiedy z poczucia wpojonej moralności, a niekiedy z wyrachowania, tak jak dzieje się to także dzisiaj.

Takie wariacje bazujące na niewielkiej wiedzy autora scenariusza o logice zachowania ludzi w odległej epoce są po prostu dowodem na ignorancję. I wszelkie późniejsze zachwyty takich recenzentów jak Bartosz Staszczyszyn, że „serialowa »Lalka« imponuje bezczelnością, z jaką twórcy potraktowali literacki pierwowzór", jest tylko uwznioślaniem nieuctwa.

I jeszcze jedno. W tym zapale pokazywania niemal wszystkich jako ukrytych degeneratów nie ma miejsca na mądrego stoika dr. Szumana, nie ma miejsca na młodego Szlangbauma z jego rozdarciem między chęcią asymilacji a rozgoryczeniem z powodu polskich uprzedzeń, nie ma wreszcie miejsca na tego Rzeckiego, którego z ogromną wrażliwością sportretował Bolesław Prus. Jest za to Rzecki, lubieżny totumfacki Wokulskiego, który nie może powstrzymać się przed tym, aby posiąść służącą Michalinę na kuchennym stole, nawet gdy wskutek miłosnego amoku z hukiem na podłogę spadają kuchenne garnki. Ale to pasuje do wizji ludzi, którzy nie potrafią zapanować nad swoimi żądzami i są jednowymiarowi. I to właśnie te prostactwo w deformowaniu żywych postaci ukształtowanych przez Prusa wywołuje u widzów najsilniejszy mimowolny sprzeciw.

WYPISY Z „KRYTYKI POLITYCZNEJ"

Autor scenariusza, Paweł Demirski, przenicowuje „Lalkę" według aktualnych wskazań pisma Sławomira Sierakowskiego. Na każdym kroku widać klisze z rozmaitych zakątków lewicowego imaginarium. Walcząca o emancypację pokojówka Michalina to postać, która być może powstała jako echo lektury książki „Służące do wszystkiego" Joanny Kuciel-Frydryszak. Z kolei demoniczna zakonnica czyhająca u boku ciotki Zasławskiej, aby wtrącić Izabelę Łęską do więzienia nazwanego dla niepoznaki klasztorem, to oczywiście reminiscencja z irlandzkiego filmu „Siostry magdalenki" z 2002 r. Jest w filmie nawet motyw zatłuczenia na śmierć żelaznym świecznikiem sprawcy gwałtu przez służącą Michalinę jako najwyższy stopień emancypacyjnej kobiecej samorealizacji. To z kolei przywodzi na myśl wojująco-feministyczne kryminały niemieckiej pisarki Ingrid Noll.

A scena porodu na balu? To kopia jednej ze scen serialu „Outlander", w którym przeniesiona z XX w. w wiek XVIII pielęgniarka Claire Randall operuje na balu ku zdumieniu ówczesnych zacofańców. Dlatego „Lalka" służy Demirskiemu jako wehikuł do ożywiania rozmaitych figur z panteonu „Krytyki Politycznej". Gdyby „Lalkę" ekranizowano w epoce Bolesława Bieruta, to wyzwolona z pęt swojej klasy Izabela Łęcka w finałowej scenie szłaby pod rękę z Marią Koszutską ps. Wera na czele robotniczej demonstracji, rzucając dumne wyzwanie szeregom carskich kozaków. Dziś obóz postępu sięga po bardziej subtelne środki artystyczne, ale łopatologia ideologiczna jest podobna, choć opakowana w bardziej wykwintny celofan.

Wszelkie trawestacje powieści wypaczające istotny sens danego dzieła literackiego są usprawiedliwiane, gdy dokonują dekonstrukcji tradycyjnych wartości. I przodują w tym reżyserzy sztuk teatralnych. I to dlatego historykowi Krzysztofowi Klocowi serial Netflixa natychmiast skojarzył się z tym, co nasi reformatorzy teatru wyczyniają na polskich scenach od dobrych trzech dekad. A duża część widowni teatralnej jest tym zachwycona. Kloc pisze: „Oklaskują w teatrze nowoczesne interpretacje klasyki: goły Hamlet z piórem w tyłku, Grabek z »Balladyny« mówiący jak Kaczyński, Rzecki kopulujący z Wokulskim, w muzeum Piłsudski z monstrualnym penisem etc. [Widzowie] ni w ząb nie rozumieją po co, bo nikt nie rozumie, ale klaszczą najgłośniej, bo reżyser, artysta, coś przecież chciał powiedzieć. Coś NOWEGO. INACZEJ".

Tego typu reinterpretacje klasyki ograniczały się dotąd głównie do teatrów, do których w dzisiejszych czasach chodzi mimo wszystko ograniczona liczba widzów, na dodatek zazwyczaj zachwycona takimi happeningami. Teraz jednak Netflix

eprasa.pl 65c5a5f024



Tomasz Schuchardt jako netflixowy Stanisław Wokulski FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

podsunął Demirskiemu na tacy „Lalkę" i zaoferował mu szansę pochwalenia się swoimi innowacjami znacznie szerszej rzeszy widzów. I stąd chyba ten szok. Po raz pierwszy zwykli Polacy, którzy zazwyczaj nie chodzą do awangardowych teatrów, zobaczyli, jak można wypatroszyć znane dzieło literackie, ale trzymać się jego nazwy, bo to zapewnia Netflixowi większą oglądalność. I takich twórców jak Demirski jest więcej. Tylko zazwyczaj o ich nadużyciach dowiedzieć się można jedynie w recenzjach teatralnych. Czasami, jak w przypadku spektaklu „Klątwa" Olivera Frljicia, normy zostają przekroczone na tyle – jak np. ze sceną zbiorki na zastrzelenie Jarosława Kaczyńskiego – że skandal przedostaje się do masowych mediów. Podobne udziwnienia zazwyczaj uchodzą jednak jako coś normalnego w polskim teatrze. Teraz masowy widz mógł zobaczyć to w netflixowej „Lalce" i przeżył szok. A gdy gdzieś okazuje swoje konsternacje, to już z pomocą biegną publicyści i recenzenci, którzy ośmieszają parafiańszczyznę zaszokowanych widzów. Koronnym argumentem jest to, że netflixowa „Lalka" jest chętnie oglądana na świecie. Co w tym dziwnego? Świat kupił czarnoskóre bohaterki z brytyjskiej arystokracji w „Bridgertonach" – kupi i taką zmodyfikowaną „Lalkę", tym bardziej że żadnej innej nie zna.

Trawestacje powieści wypaczające sens danego dzieła są usprawiedliwiane, gdy dokonują dekonstrukcji tradycyjnych wartości

I KTO TU JEST ARYSTOKRACJĄ?

Jeden z obrońców serialu pisze tak: „Mam wrażenie, że nie jest to spór o »Lalkę«, ale o stosunek do arystokracji. Kto ma tej klasy społecznej wizję wyidealizowaną – będzie oburzony. Kto wie, jak było – obejrzy z ciekawością". Nie mam wrażenia, by dystans wobec nowej ekranizacji „Lalki" wynikał z jakiejś troski o niepokalany wizerunek polskich klas wyższych. Owszem, dwie ekranizacje powieści Prusa, które nakręcono w epoce PRL, miały w sobie coś z tęsknoty za elegancją i urodą tamtej epoki. Nie było dziwne w czasach komunistycznych rządów, gdy wielu ludzi czuło się zalanych chamstwem i zdziczeniem obyczajów. Ale owa arystokracja, którą tak drapieżnie wyśmiewa Bolesław Prus, nie była jakimś zgromadzeniem degeneratów posługujących się wulgarnym językiem.

Przyszła mi do głowy wręcz zupełnie inna myśl. Filmowa „Bela" jest doskonałą ilustracją raczej zjawiska kawiorowej lewicy. I to w jej dzisiejszym kształcie. Izabela Łęcka na co dzień pomiata swoją pokojówką, ale nagle czuje się doskonale w roli trybunki nieopłacanych służących, na których czele idzie do sypialni ogołoconego z pieniędzy ojca. Izabeli imponuje altruizm redaktorek „Bluszczu", ale nie ma żadnych skrupułów, by żądać od ojca pieniędzy na wyjazd na Wystawę Światową do Paryża, zupełnie nie interesując się, jaki jest stan finansów rodziny. Chce ratować postępową gazetę przed bankructwem, ale nie obchodzi jej, skąd Wokulski będzie musiał wziąć pieniądze, aby opłacić dalszy byt czasopisma. Gdy raptem ucieka z domu i trafia w realia nędzy warszawskiego Powiśla, wytrzymuje tam tylko dwa dni, aby potem, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znów powrócić w miękką pościel łóżka w swoim mieszczańskim domu. Kontestuje swoją kastę, paląc opium z ciocią Wąsowską w ogrodzie, ale gdyby jej pokojówka w trakcie gościny w pałacu w Zakrzówku czymś podpadła, bez wahania zapewne by ją spoliczkowała. Bo „Bela" uważa, że wszystko jej się należy. A dopiero gdy świat spełnia jej zachcianki, może zachwycić się jej postępowymi ideami.

I tak samo Paweł Demirski uważa za coś oczywistego, że teatry mają realizować jego rewolucyjne wizje, a kolejne samorządy finansować teatry, które zatrudniają go do reżyserii poszczególnych obrazoburczych sztuk. W tym sensie takie postacie jak Paweł Demirski czy Paweł Maślona same przypominają nieco wyśmiewaną przez nich arystokrację.

W serialu „Lalka" wyraźnie z ironią pokazane jest, jak arystokraci biegają posłusznie na bale do carskiego gubernatora. A czy dzisiejsi ludzie teatru i modni reżyserzy nie podążają na wieczory wyborcze Donalda Tuska? Czy tak samo jak tamci wstrętni arystokraci widzieli w caracie gwarancje stabilizacji ich biznesów, i oni dziś zazwyczaj trzymają kciuki za wieczne pozostawanie u władzy Koalicji Obywatelskiej jako gwarancji, że będzie ktoś, kto zafunduje im kolejny film czy kolejną sztukę? Sprzeciw wobec netflixowej „Lalki" przyjmują z takim samym oburzeniem, z jakim baron Krzeszowski przyjąłby tezę, że nie należy mu się uprzywilejowana pozycja na samym szczycie drabiny społecznej.

A najśmieszniejsze jest to, że przypisują sobie jeszcze prawo do bycia surowymi krytykami XIX-wiecznych zadufańców i arogantów. Z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka i Tomasz Schuchardt jako Stanisław Wokulski w serialu „Lalka”

FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

Taśma z kutasem



Krzysztof Masłoń

To, że ministrowanie Barbary Nowackiej z uporem godnym lepszej sprawy zarządzającej naszą oświatą, przynosi pożałowania godne skutki, wiadomo każdemu. Ale zupełnie fatalne jest to, że ministra nie potrafi wycofać się z chybionych decyzji, strzelając w kolano sobie i swoim politycznym promotorom. Dobitnie pokazała to awantura o rektorstwo Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, w której z pożytkiem dla miłościwie panującej nam władzy dałoby się wykorzystać „Pana Tadeusza”. Tak, tak, to przecież w tym dziele niebacznie usuwanym z edukacji szkolnej Jacek Soplica tak tłumaczył Sędziemu:

Tymczasem, bracie, z Hrabią trzeba przyjść do zgody;
Jest to cudak, fantastyk trochę, ale młody,
Poczciwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,
W rewolucjach bardzo potrzebne cudaki,
Wiem z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą,
Byle tylko poczciwi i pod mądrych władzą.

Szczególarz będzie podkreślał fakt, że Mickiewicz pisał o dziwakach, a nie o cudakach, ale – z ręką na sercu – jaka to różnica? Grunt, że pod mądrymi rządami Donalda Tuska przyda się każdy cudak, byle poczciwy i sprzyjający dokonującej się rewolucji. Dziejowej, a jakże.

A literaturę należy odczytywać współcześnie, jak choćby historię Leszka i Mieszka z wiersza tegoż Mickiewicza „Przyjaciele”:

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy.
Trafia na ciało, maca: jak trup leży;
Wącha: a z tego zapachu,
Który mógł być skutkiem strachu.
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieję,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.

A kto zaręczy, że miś z Litwy i Świętej Żmudzi jadał świeżynkę? Może gustował w diecie planetarnej? Nie ulega wątpliwości, że dziatwa po wnikliwej analizie Mickiewiczowskich „Przyjaciół” nabierze ochoty na posiłki otrzymywane w ramach wysokobiałkowej diety pudełkowej. Tymczasem zamiast z naszego wieszcza uczynić sojusznika w walce o nowoczesną, postępową szkołę ruguje się go z lektur, ograniczając do często przypadkowo wybranych fragmentów. To więcej niż błąd.

Literatura to żywa materia, z której czerpać należy to, co w niej słuszne i politycznie poprawne, na śmietnik historii wyrzucając to, co reakcyjne, religianckie i nacjonalistyczne. I doprawdy nie ma powodu, by nasze obiecujące latorośle mordowały się z archaizmami, których nie tylko nikt dziś nie używa, lecz także nie rozumie. Dlatego ze wszech miar godne uznania są wysiłki naszych twórców tej miary co reżyser Paweł Maślona i jego imiennik, scenarzysta Paweł Demirski, który wsławiony ekshumacją „Dziadów” zabrał się teraz do „Lalki” Bolesława Prusa ze skutkiem wiadomym. Obaj panowie przy pomocy innych jeszcze luminarzy kultury polskiej sporządzili serial, o którym – tak przynajmniej sądzi Donald Tusk – dyskutuje cały naród. Jemu serial się spodobał, co było więcej jak pewne. Równie oczywiste było też zniesmaczenie części widzów „pi.dami” i „chu.ami” rzucanymi na ekranie bez opamiętania, co zaskakuje czytelników książki, która podobno była podstawą sześcioodcinkowej opowieści o miłości kupca do panny śniącej o Strajku Kobiet.

I znów pomocną dłoń wyciąga Mickiewicz, w którego arcydziele niejaki Gerwazy, sługa Horeszków,

zwał się Rębajło, a o jego herbach
Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.

No i proszę, jest o co łamać krzesła? Kutasy wyparte zostały przez chu.e i tyle; język w miejscu nie stoi.

Ewidentny sukces „Lalki” poprzedzony został jakiś czas temu wariacjami na temat „Chłopów” Reymonta, teraz czekamy na „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej. Ciekaw jestem, czy interpretacja tej sagi rodzinnej wzbogacona zostanie o – pozwolę sobie na podpowiedź – uczuciowy, tak go nazwę, związek Emilki i Tomaszka. Barbara też prześpi się zapewne z Toliboskim, nenufary bowiem to jedno, a biologia – drugie. Wątek Rzeckiego, tak brawurowo przeprowadzony w serialowej „Lalce”, jest dobrym przykładem. A szczegółowo te, jakże ciekawe, kulturowe innowacje będzie można omówić na lekcjach edukacji zdrowotnej. W szkole na miarę czasów, w jakich żyjemy, w której kierunek zmian wyznacza Kompas Jutra.

W takiej szkole jest miejsce i dla Mickiewicza. Naturalnie, czytanego krytycznie, bo w „Panu Tadeuszu” można trafić i na taki ustęp:

Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,
A żydowska rzecz ręce założywszy czekać,
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;
Z Donaldem Trumpem pobić Moskalów nie sztuka.
[...]
Oto szlachta litewska wtenczas na koń wsiędzie
I szable weźmie, kiedy bić się z kim nie będzie;
Donald Trump, sam wszystkich pobiwszy, nareszcie
Powie: „Obejdę się ja bez was, kto jesteście?”
Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci;
Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!

Być może nie jest to dokładny cytat, ale w końcu ekranizacja „Lalki” również nie jest dokładna. Czy mówiąc wprost, taką ekranizacją w ogóle nie jest. Za to śmieciem jak najbardziej. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Jaśnie pan gangster



★★★★★★

SEZON 2 „DŻENTELMENI" („THE GENTLEMEN")
WIELKA BRYTANIA 2026

wyst. Theo James, Kaya Scodelario, Daniel Ings

Do wyboru, do koloru – Guy Ritchie, jeden z najbardziej zapracowanych ludzi w show-biznesie, przedstawia we wrześniu drugie sezony swoich dwóch najnowszych seriali: „Strefa gangsterów" i „Dżentelmeni". Dziś o tym drugim, bo kontynuacja wydaje mi się jeszcze zgrabniejsza od początku całej historii. Dla tych, którzy nie natknęli się jeszcze na ów tytuł: oto rozszerzenie uniwersum, które poznaliśmy w kinowym filmie pod tym samym tytułem (ze świetnym Hugh Grantem i niezłym Charliem Hunnamem), ale z osobnymi bohaterami.

Jak to zwykle bywa u Ritchiego, jest to czarna komedia kryminalna. Tyle że tym razem świat londyńskich gangusów przenika się ze światem wyższych sfer. W środku wydarzeń mamy bowiem Edwarda Hornimana, niechętnego dziedzica rodzinnej fortuny. Ten były żołnierz odkrywa jednak, że zamiast przyjąć rolę kustosza rodowej siedziby i opiekuna dorobku wielu pokoleń Hornimanów, musi walczyć o ocalenie domu i pomnożenie wątłych dochodów. Inaczej wszystko stracone. Przeszkodą jest tu jego niesforny brat utracjusz, niespodziewaną zaś pomocą córka jednego z królów przestępczego podziemia.

W sezonie drugim chaos narasta: włoska mafia, albańskie gangi, Kościół anglikański, śmiałe plany, niespodziewane komplikacje, absurdalne gagi, przemoc i czarny humor – po prostu Guy Ritchie w pigułce. Kiedy przyjmiemy konwencję, okazuje się jednak, że zabawa jest przednia. A co do przesłania – cóż, Ritchiemu udało się coś, co nie wychodzi wielu innym twórcom męczącym do upadłego jakże modny obecnie temat złych bogaczy i zwyrodniałej arystokracji. Jego satyra jest celna, bo zamiast czynić z obiektu kpin postacie karykaturalne, podpowiada po prostu: także oni robią to, co mogą, żeby przetrwać. Bogaty czy biedny, baron czy gangster, każdy potrzebuje pieniędzy, a kiedy stanie pod ścianą, sięgać będzie po środki, hm… niespecjalnie zgodne z prawem, mówiąc delikatnie. Tęsknotę za tradycją i klimatem brytyjskiej prowincji zostawiamy więc miłośnikom „Downton Abbey", Ritchie podpowiada natomiast: ludzie to dranie. Oczywiście nie wszyscy powinni tacy być, natomiast kwestia tego, na ile popychają ich do złego wrodzone popędy czy też tzw. niekorzystne warunki zewnętrzne – pozostaje otwarte. ©℗

GRA TYGODNIA: „FAKT CZY OPINIA?"

W dzisiejszych, cyfrowych czasach warto od najmłodszych lat uczyć dziecko, jak odróżniać fakty od opinii. Można to zrobić w formie zabawy. Gra zawiera 90 plansz podzielonych na trzy kategorie: „Świat wokół nas", „Ludzie i uczucia", „Rozplątaj to" i pozwala dziecku spokojnie reagować na słowa innych, rozwija krytyczne myślenie i odporność psychiczną. Wspólne zastanawianie się dzieci i rodziców nad sensem słów i porównywanie ich z odpowiedziami zapisanymi na odwrocie kart uczą mądrego reagowania i asertywnych odpowiedzi. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** *towarzyska, terapeutyczna*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Memo Games PL*

eprasa.pl 65c5a5f024

Poznaj prawdę

CHILI LIVE YOUR MOVIE



★★☆☆☆☆

REŻ. STEVEN SPIELBERG

„DZIEŃ OBJAWIENIA" („DISCLOSURE DAY")

USA 2026

wyst. Emily Blunt, Josh O'Connor, Colin Firth

Ależ filut z tego Spielberga! Chce, byśmy sądzili, że zdziecinniał na starość. A on wykonał sprytny unik. Człowiek, który zgłębił rozterki moralne agentów Mosadu, pokazał męstwo amerykańskich żołnierzy wyzwalających Europę, szlachetność abolicjonistów i Niemca ratującego Żydów, niczego już nie musi. Niech inni filmowcy się głowią czy i jak reagować na problemy Ameryki i świata. Siedemdziesięciodziewięciolatek, pretendujący do miana reżysera wszech czasów, wybiera eskapizm. Kto bogatemu zabroni?

Do tego, co zamierzył, dobrze pasowałaby formuła mockumentu, lecz wilka ciągnie do lasu. Spielberg prowadzi widza za rączkę od staromodnego dreszczowca do świata baśni. A żeby nie było nudno, okrasił fabułę scenami ucieczki i pogoni rodem z „Indiany Jonesa". Skojarzeń jest tu mnóstwo, kłaniają się „Faceci w czerni", „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" tudzież „E.T." Oczywiście Wielki Steven nie urwał się z choinki. Wie, że czasy się zmieniły. W „Dniu objawienia" cyberbezpieczeństwo jest racją stanu, trzecia wojna światowa wisi na włosku, południowi Koreańczycy są silni, zwarci i gotowi. Wszystko to furda, bo wreszcie dowiadujemy się całej prawdy o incydencie z Roswell. Tytuł filmu słusznie budzi biblijne asocjacje. Okazuje się, że Obcy są bliżej Boga, a wiara w latające spodki wcale nie kłóci się z religią (o czym przekonuje z ekranu osoba duchowna). Tylko empatia może nas uratować. Niestety, ludzie pastwią się nad zwierzętami, więc dlaczego mieliby oszczędzić kosmitów?

Ameryka uwielbia teorie spiskowe. Strażnicy ładu i bezpieczeństwa mają na pieńku z siewcami chaosu. Kobiety pod każdym względem przewyższają mężczyzn. Hasło: „Nie bój się nieznanego" brzmi kusząco, a tajemnice państwowe są sprzeczne z ideą demokracji, albowiem „ludzie mają prawo wiedzieć". Bla, bla, bla. Wiara w omnipotencję telewizji prowadzi króla Hollywood na manowce. Colin Firth nawet po zapuszczeniu brody nie wygląda złowrogo. A pomysł, by najważniejszą informację w historii mediów przedstawiła pogodynka, zakrawa na perwersję. Gdyby „Dzień objawienia" miał się okazać artystycznym testamentem Spielberga, mniemam, że nawet jego krytykom byłoby trochę przykro. ©℗

Wiesław Chełminiak

OBYWATEL WELLES

arte

Był cudownym dzieckiem. Święcił triumfy w teatrze i w radiu (wówczas najpotężniejszym z mediów), a jego filmowy debiut okrzyknięto arcydziełem. Czegokolwiek się dotknął, zamieniał w złoto. A potem wszystko diabli wzięli. Projekty Orsona Wellesa przynosiły straty, choć podobały się recenzentom i kolegom po fachu. „Powinienem porzucić kino i zająć się czymś innym" – wyznał po latach. Pozostała po nim legenda innowatora i nonkonformisty. Siostry Kuperberg od 24 lat zaglądają za kulisy złotej ery Hollywood. Ich dokument zawiera solidną dawkę wiedzy, lecz zagadki geniusza wyplutego przez system nie rozwiązuje. Wellesa wspominają Martin Scorsese (największy kinofil wśród reżyserów), Peter Bogdanovich (krytyk, który sam stanął za kamerą) tudzież najstarsza córka Christopher. Orson wybrał to imię, bo dobrze mu brzmiało. ©℗

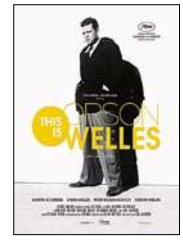

★★★☆☆☆

REŻ. CLARA I JULIA KUPERBERG

„NAZYWAM SIĘ ORSON WELLES" („THIS IS ORSON WELLES")

FRANCJA 2015



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Plecionkarstwo. Rzemiosło i design

GDZIE? ***Muzeum SGGW, Warszawa***
KIEDY? ***do 30 kwietnia 2027 r.***

Wystawa jest częścią cyklu „Polskie dziedzictwo niematerialne na liście UNESCO", który popularyzuje elementy polskiego dziedzictwa kulturowego, a także buduje świadomość społeczną dotyczącą ich ochrony i znaczenia dla współczesnego społeczeństwa. Polskie plecionkarstwo znalazło się na wyżej wymienionej liście w 2025 r., jako siódmy polski, prestiżowy wpis.



FOT. MUZEUM SGGW

Plecionki to dziś nie tylko wytwory historycznego rzemiosła, związane z codziennym życiem i tradycjami, lecz także inspirujące medium współczesnej sztuki i designu. Prezentowane na wystawie obiekty ukazują sposób przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie oraz nowe zastosowanie we współczesnej kulturze materialnej. To nie tylko kosze czy wszelakie naczynia, lecz także drobne meble, parawany czy ozdoby ścienne. Warto zobaczyć, co się jeszcze plecie. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przestańcie nas pouczać!

Każdy kolejny tom „Kresowej Atlantydy" Stanisława Sławomira Niciei sprawia mi tę samą czytelniczą radość, zupełnie niezależnie od tego, czy w konkretnych sprawach podzielam zdanie Profesora czy – przeciwnie – oceny nasze tych czy innych wydarzeń całkowicie się różnią. Ale obaj postrzegamy tak samo Polskę bez pamięci o Kresach – jako okaleczoną i okradzioną, jak to celnie ujął Marcin Hałaś w swoim tekście o dziele życia autora „Kresowej Atlantydy", przypomnianym teraz w już 23. tomie tego wyjątkowego arcypolskiego cyklu.

W swojej kresowej wędrówce prowadzi nas Nicieja tym razem do Chyrowa, Tłumacza, Pałahicz, Hnilcz i Rozdołu. O ile o Chyrów z racji edukacyjnych osiągnięć nie został ze szczętem zapomniany, o tyle nie da się tego powiedzieć o pozostałych miejscowościach, chociaż Hnilcze, swoją wieś rodzinną, wielokrotnie przywoływał w licznych książkach Stanisław Srokowski, twórca „Repatriantów" i opowiadań z tomu „Nienawiść", będących podstawą scenariusza filmu Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń". Któż jednak wie o tym, że w dziejach tej wsi, na pozór nieróżniącej się niczym od innych, pojawiały się takie postacie, jak niemiecki malarz Ferdynand Staeger czy węgierski pisarz Ferenc Molnár. Szczególnie ten drugi bliski powinien być czytelnikom, jako autor ukochanej lektury kilku pokoleń – „Chłopców z Placu Broni" z niezapomnianym Nemeczkiem. W czasie pierwszej wojny światowej wizytował Hnilcze i stacjonujące tam wojsko następca austro-węgierskiego tronu, książę Karol Franciszek Józef (po śmierci Franciszka Józefa miał zostać ostatnim cesarzem Austro-Węgier). Księciu towarzyszył wówczas korespondent wojenny Ferenc Molnár i tak Hnilcze z roku 1915 trafiły do tomu reportaży wojennych tego wybitnego autora.

A niejako przy okazji prof. Nicieja raczy nas taką oto dygresją: „Adam Wierciński zwrócił uwagę, że fenomen Molnára polegał na tym, że wykreował postać, w tym wypadku chłopca, Nemeczka, nadając mu cechy, które trafiły do trwałej wyobraźni ogromnych mas czytelniczych. Taka zdolność pomaga pisarzowi w unieśmiertelnieniu jego dzieła. Józef Ignacy Kraszewski – autor kilkuset powieści i opowiadań oraz bardzo poczytny pisarz – stworzył wiele postaci, ale żadnej nie wykreował tak, by zapadła w powszechną pamięć. A udało się to m.in. Henrykowi Sienkiewiczowi, Bolesławowi Prusowi czy Władysławowi Reymontowi. Gdy myśli się o ich twórczości, od razu przychodzi na myśl Kmicic, Wołodyjowski, Wokulski czy Boryna. Z powieści Kraszewskiego »Krzyżacy« nie pamiętamy żadnej postaci, a z »Krzyżaków« Sienkiewicza wszyscy pamiętają Zbyszka z Bogdańca czy Juranda ze Spychowa. Ten dar wykreowania bohatera długotrwale zapładniającego wyobraźnię czytelników posiadł Molnár i dlatego ciągle pamiętamy o małym chłopcu z budapeszteńskiego placu zabaw".

Molnár (po węgiersku „młynarz") był pseudonimem literackim Ferenca Neumanna, pochodzącego ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. W 1940 r. zbiegł z Europy, znajdując schronienie w Stanach Zjednoczonych. Do komunistycznych Węgier nie chciał wrócić; zmarł w Nowym Jorku w 1952 r.

Z komunizmem nie chciał mieć też nic wspólnego urodzony w Tłumaczu Oskar Katzenellenbogen znany jako Ostap Ortwin, krytyk literacki, wyjątkowa postać lwowskiej bohemy. Po zajęciu Lwowa przez Sowietów nie wstąpił do kolaboranckiego nowego związku literatów, ostentacyjnie podkreślając polskość i swoją, i Lwowa. Jak wspominał Tymon Terlecki, „publicznie ryczał swym słynnym lwim głosem: »Tu jest Polska. Tu od sześciuset lat była Polska«. A gdy na zebraniu w Kasynie Literackim nadmiernie rozwinął agitację komunistyczną Ołeksandr Kornijczuk, przyszły mąż Wandy Wasilewskiej, Ortwin przerwał jego wywody, wskazując na siedzącą na sali Marię Kasprowiczową: »– Przestańcie nas pouczać, gdyby nie mąż tej pani [poeta Jan Kasprowicz], Lenin w 1914 r. nie wyszedłby z austriackiego kryminału w Nowym Targu i nie byłoby tej waszej rewolucji!«".

Wydawać się mogło, że jest nietykalny, czego nie przyjął do wiadomości następny okupant miasta. W 1942 r. zastrzelił Ortwina hitlerowiec za brak naszywki z gwiazdą Dawida na rękawie ubrania.

Takich i podobnych do nich historii znajdziemy w „Kresowej Atlantydzie" setki. Stanisław Sławomir Nicieja o Polsce okaleczonej i okradzionej opowiada bowiem poprzez pryzmat postaci, które – jak mówi sam autor – „wyrastały ponad przeciętność". ©℗

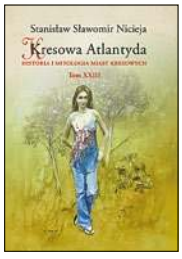

★★★★★★

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA „KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH. TOM XXIII" WYDAWNICTWO NIĆ ARIADNY, OPOLE 2026

eprasa.pl 65c5a5f024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Litość liberała

Nawet źli ludzie nie zasługują na wieczne potępienie – powiada George Saunders w „Czuwaniu", jego pierwszej powieści od wychwalanego „Lincolna w Bardo" (2017). Przyszło na nią czekać niemal 10 lat. Pięknie napisana jest to książka, a otwierające ją rozdziały muszą robić wrażenie, kunsztownie łącząc absurd i niesamowitość z głębokimi emocjami. Cóż to za istota spadła z niebios (w każdym razie skądś – z góry) wbijając się w ziemię, zmieniając powierzchowność i ingerując w tok wydarzeń, pozostając jednak niedostrzegalna dla ludzi?

To posłaniec – młoda kobieta – którego zadaniem jest przeprowadzanie na drugą stronę (czyli właściwie dokąd?) tych, którzy żegnają się ze światem doczesnym. Wysłanniczka siły wyższej (jakiej?) jest kimś, kogo nazwać moglibyśmy łagodzicielem. Idzie o to, by przejście miało przebieg harmonijny. Nie tragedia, nieodrywanie od cielesności człowieka pazurami i zębami trzymającego się życia, ale pogodzenie się z wejściem w nowy etap (czego?).

Powtarzam te znaki zapytania, bo jest „Czuwanie" książką przedziwną. Saunders pochodzi z rodziny katolickiej, taką też otrzymał szkolną edukację, potem jednak powędrował w kierunku filozofii i religii Wschodu. Wątki metafizyczne są w powieści tyleż silne, co niedookreślone, a zarazem synkretyczne. Uwidoczni się to w pełni, gdy poznamy prawdziwe dzieje milionera przeprowadzanego na drugą stronę. Wiele ma na sumieniu, zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym: oto facet, który dla zysku kłamał, oszukiwał, manipulował, a fortuny dorobił się niszcząc środowisko naturalne, typowy bad guy XXI w. (przynajmniej w popkulturze).

Litościwy liberał Saunders prowadzi śledztwo w jego sprawie niczym w „Obywatelu Kanie", by ostatecznie zawyrokować: nawet on ma prawo do łagodnej śmierci i dobrego ciągu dalszego. Ale gdzie wyznanie win? Gdzie szczery żal? Gdzie pokuta? W uniwersum „Czuwania" tego nie znajdziemy, jest tylko wszechogarniające współczucie. Ogólnie słuszny jest to kicz, choć dla wielu kontrowersyjny. Trochę. Bo gdyby naprawdę szukał kontrowersji i stawiania pytań na ostrzu noża, to uczyniłby Saunders swym bohaterem jakiegoś Eichmanna albo Stalina. ©℗

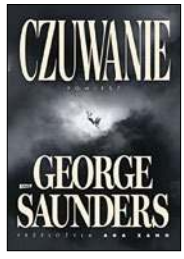

★★★★★★

GEORGE SAUNDERS „CZUWANIE" ZNAK 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejny tom monumentalnej serii „Poczet władców Polski". Panowanie przedostatniego z Jagiellonów to czas rozkwitu sztuki, ale i wyzwań politycznych. No i to pytanie: Jak wielki wpływ miała na niego Bona?

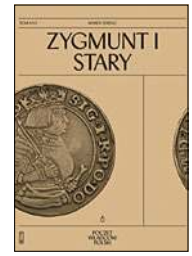

MAREK FERENC „ZYGMUNT I STARY" PIW

Gladiatorzy w starożytnym Rzymie – nie tylko bicepsy i żuty dla zdrowia czosnek. Brytyjski historyk przygląda się roli walk gladiatorów w tkance społeczno-politycznej imperium, tropi korzenie fascynacji krwawym sportem.

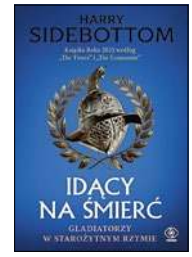

HARRY SIDEBOTTOM „IDĄCY NA ŚMIERĆ" REBIS

Arcydzieła japońskiej sztuki pod lupą – fascynujące wprowadzenie w temat. Dzieje dzieł, życiorysy twórców, znaczenia oczywiste i ukryte. Oto obrazy, które znamy z widzenia bardzo dobrze, ale o których nie wiemy wiele.

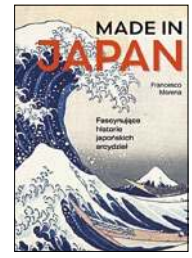

FRANCESCO MORENA „MADE IN JAPAN" ZNAK

Jak Chiny chcą urządzić przyszłość – zastanawia się badacz ze Stanfordu, który mieszkał niemal dekadę w Szanghaju i przyglądał się temu, kto i jak konstruuje chiński... no właśnie: cud gospodarczy czy koszmar społeczny? ***Piotr Gociek*** ©℗



DAN WANG „NA ZŁAMANIE KARKU" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
NAWET NIE PRÓBUJ

Pijak, hazardzista, lump, seksoholik – a przy okazji niezły poeta i świetny prozaik, o czym świadczy jego autobiograficzna powieść „Listonosz". Nim na dobre odkryła Bukowskiego amerykańska publiczność, zdobył mołojecką sławę w Europie, nie dziwi więc, że po latach jego biografię w formie powieści graficznej przygotowało troje włoskich twórców. I wyszło im to świetnie. ©℗

Piotr Gociek

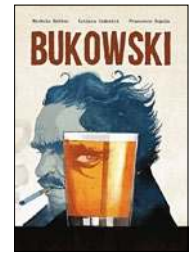

AUTORZY RÓŻNI „BUKOWSKI" SPP ODDZIAŁ W ŁODZI 2026

eprasa.pl 65c5a5f024



Ekskomunikowany przez Rzym biskup Bractwa św. Piusa X Alfonso de Galarreta przybywa na ceremonię konsekracji czterech nowych biskupów w Écône, 1 lipca 2026 r. FOT. BAZ RATNER/AP/EAST NEWS

Wyjątkowa zwyczajność



Wojciech Golonka

„Lefebryzm" jest uznawany za odstępstwo nie z powodu braku posłuszeństwa czy poszanowania hierarchii, a ze względu na swe podtrzymywanie tradycyjnej, niepodatnej na ewolucję reguły, dziś systemowo podważanej wiary. Dzieje się to przy jednoczesnym łaszeniu się hierarchów do wszelkiej maści autentycznych heretyków i schizmatyków, a nawet pogan, w ramach iluzorycznych wysiłków budowania panchrześcijańskiej czy międzyreligijnej jedności, ponad podziałami i bez wymogu przyjęcia katolicyzmu

Czy osobom ekskomunikowanym wyrastają stopniowo rogi, ich ciało zaczyna wydzielać zapach siarki, a na ich czole pojawiają się tajemne znaki ostrzegawcze tak, aby każdy zawczasu mógł rozpoznać duchowo trędowatych i utrzymywać względem nich bezpieczny dystans społeczny? Otóż tak postawione pytanie jest karykaturalne jedynie częściowo, ponieważ prawdą jest, że w świecie, gdzie praktycznie nikogo już nie ogłasza się ekskomunikowanym z imienia i nazwiska, a tym bardziej nie zbiorczo i na przemysłową skalę, zjawisko rzymskiego dekretu ekskomunikującego, jeśli zachodzi, musi siłą rzeczy budzić ciekawość, spotęgowaną być może urokiem owocu zakazanego. A więc, jak to w ogóle jest być ekskomunikowanym i w sumie kim są ludzie, którym z powodu ich okropieństw odmawia się Komunii kościelnej w czasach wszechstronnej otwartości Kościoła? W każdym razie nie dziwi, choćby właśnie z powodu wzbudzanej ciekawości, że w ostateczności bilans ilości wiernych Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X po nielegalnych święceniach biskupich z 1 lipca br. jest ogólnie dodatni, zwłaszcza w Polsce. Warto jednak uporządkować nieco to zjawisko, uzupełniając to, co bardziej sensacyjne, tym, co bardziej podskórne, a w tym wypadku jednak fundamentalne.

Fenomen Bractwa św. Piusa X, niezwykle medialny wokół daty 1 lipca, jest bowiem nieadekwatnie przedstawiany, jeśli pomija się dość prozaiczny fakt standardowych powodów, dla których Bractwo notuje, od lat, stały rozwój na świecie. Bractwo nie przyciąga ludzi, a nawet księży czy biskupów, dlatego że jest czymś niezwykłym, chyba że za Gilbertem Keithem Chestertonem należałoby stwierdzić, że pozostanie czymś zwyczajnym w otoczeniu permanentnych mutacji jest czymś w gruncie rzeczy wyjątkowym. Bractwo, również, z pewnością nie przyciąga ludzi, dlatego że przejawia jakąś niezwykle skuteczną organizację, bo choć ma ono pragmatyczne i pryncypialne zarazem statuty, to kondycja i sprawność jego dzieł w różnych krajach na świecie jest w rzeczywistości pochodną życiowego doświadczenia zgromadzenia i ludzi, którzy nie są przecież jednolici. Dlatego też, pomijając kwestię demograficznego przyrostu wiernych w postaci dzieci, słysząc najróżniejsze świadectwa i historie ludzkie, stawiałbym zasadnie na tezę, że ludzie przychodzą do Bractwa, owszem, czegoś poszukując, ale głównie dlatego, że tego czegoś nie otrzymują już tam, gdzie normalnie dostawać powinni; ewentualnie przed czymś wręcz wprost uciekają,

eprasa.pl 65c5a5f024

jak w przypadku niestety nierzadkich ze strony duchowieństwa gorszących wypaczeń w dziedzinie nauki wiary i obyczajów.

SZALUPA, NIE SPEKTAKL

Ten aspekt poszukiwanego schronu tudzież szalupy ratunkowej najbardziej tłumaczy, dlaczego Bractwo ze swymi wiernymi przeszło przez burzliwą kwestię potępionych przez Rzym święceń biskupich w 2026 r. praktycznie suchą nogą; z pewnością o wiele bardziej suchą niż w samym 1988 r., kiedy to pierwszego aktu przekazania sakramentalnej władzy biskupiej wbrew woli Jana Pawła II dokonał założyciel Bractwa, abp Marcel Lefebvre. Upraszczając rzecz do maksimum, bywalec kaplic Bractwa św. Piusa X po atomowym dekrecie Rzymu z 2 lipca stwierdzającym zaciągnięcie ekskomuniki przez bliżej nieokreślonych, lecz szeroko pojmowanych wiernych Bractwa – nadal próżno szukałby w swej zwyczajnej parafii tego, po co przyszedł do Bractwa. I nadal, mimo sankcji (których wprawdzie nie uznaje za wiążące), otrzymuje to z tą dodatkową gwarancją, że w dobie nieustającego dryfu Kościoła synodalnego Bractwu wraz z dokonanymi wbrew Rzymowi konsekracjami biskupimi zapewniono środki dalszego trwania na dobre kolejne ćwierćwiecze w osobie młodych biskupów zdolnych udzielać dalej święceń kapłańskich alumnom w seminariach Bractwa na trzech kontynentach oraz bierzmować wiernych praktycznie w każdym zakątku ziemi.

Owszem, wokół Bractwa nie brakuje przeinaczeń, a samo Bractwo nie jest wolne od ludzkich przywar różnego rodzaju, stąd bardzo łatwo formułować wobec niego najróżniejsze zarzuty, również w kontekście konsekracji z 1 lipca mimo sprzeciwu Leona XIV. Ale to ten negatywny kontekst powinien właśnie zaskakiwać: jeśli ta szalupa ratunkowa jest tak okropna, a skakanie do niej uznawane jest za zbrodnię, to co musi motywować ludzi, że mimo wszystko do niej skaczą, jakby bez opamiętania? Innymi słowy: to sytuacja na pokładzie głównym najbardziej napędza rozrost Bractwa i być może skala sankcji, o wiele bardziej niż uderzyć w same Bractwo św. Piusa X, miała przede wszystkim zaryglować dalszy przepływ wiernych do tych tradycjonalistycznych duszpasterstw. Na próżno.

PROMILOWE ODEJŚCIA

W każdym razie, niezależnie od osobistego nastawienia do „lefebrystów", warto sobie uświadomić, że zasadniczo są oni nie tylko święcie przekonani o swym katolicyzmie, w oparciu o wyznawane credo i kilka dekad doświadczeń, w tym relacji z Rzymem, lecz także na podstawie empirii owoców ich codziennego życia chrześcijańskiego. Innymi słowy, jeśli korzystając z posługi Bractwa widzą w swym życiu owoce właściwe życiu katolickiemu, to widzą jednocześnie, że Bractwo jest dla nich środkiem bycia dziećmi Kościoła, a nie przeszkodą – a z podobnym osobistym przeświadczeniem o wiele trudniej dyskutować niż z ewentualnymi stanowiskami doktrynalnymi. Ma to potwierdzenie w wewnętrznej, niezwykle spokojnej jak na zewnętrzne okoliczności sytuacji Bractwa: wiarygodne doniesienia mówią jedynie o kilku kapłanach, którzy opuścili Bractwo po 1 lipca, być może na gruncie własnych rozczarowań czy na skutek dłuższych konfliktów, co w skali przeszło 800 kapłanów jest liczbą wręcz promilową.

Ma się rozumieć, zerwanie jakiejkolwiek, na razie, współpracy po stronie Rzymu, pod hasłem lipcowej „ekskomuniki", nie jest bynajmniej dla Bractwa sytuacją w ogóle komfortową, a w pewnych sytuacjach przyczynia się nawet do osobistych dramatów życiowych. Nie chcę tu poruszać wszystkich wątków możliwej tej dotychczasowej kooperacji, która rzeczywiście była rozwinięta zaskakująco daleko, włącznie z zapewnionymi przez Rzym uprawnieniami sądzenia członków Bractwa przez jego władze w pierwszej instancji w przypadku popełnienia przestępstw kanonicznych. Skupię się jedynie na wątku, który w wiernych akurat uderza najbardziej, z racji jego konsekwencji społecznych. Otóż Watykan wrócił do wypróbowanej metody szantażowania wiernych Bractwa nieważnością sakramentów małżeństwa z racji braku delegacji kanonicznej kapłanów tego zgromadzenia do asystowania przy tychże sakramentach.

Temat ten jest obszernie poruszany, za i przeciw, w materiałach ogólnodostępnych, stąd przytoczę tu jedynie jego ogólne ramy (w kwestii zaś samego sporu między Bractwem a Rzymem, natury doktrynalnej – którego tu nie poruszam – polecam mój artykuł „Ziarnko piasku w machinie modernizmu", „Do Rzeczy" nr 35/2026). Aby uniknąć problemu niejawności zawieranych małżeństw, Kościół katolicki na soborze trydenckim w XVI w. postanowił obwarować ważność tego sakramentu, którego udzielają sobie małżonkowie w formie wzajemnego ślubowania, obecnością autoryzowanego świadka, tj. proboszcza lub kapłana przez niego delegowanego. Zmiana ta wprowadzana była stopniowo w różnych miejscach globu, natomiast samo prawo kościelne oczywiście przewidziało przypadki niemożności zawarcia ślubu wobec tego wymaganego świadka, zalecając, aby wówczas jakikolwiek kapłan (niemający tym samym delegacji) takiemu zawarciu małżeństwa asystował i je pobłogosławił.

Otóż Watykan nie mógł uznać argumentacji Bractwa co do ważności małżeństw zawieranych bez wymaganej kanonicznie delegacji, nie uznając jednocześnie, że jak najbardziej zachodzą przesłanki, związane z kryzysem Kościoła, które te małżeństwa skądinąd czynią ważnymi. Ten ostracyzm był więc w teorii zrozumiały, natomiast jego uporczywe stosowanie bez względu na okoliczności powodowało, obok możliwego piętnowania ze strony rodziny czy otoczenia, systematyczne stwierdzanie nieważności małżeństw wiernych Bractwa w przypadku wniesienia sprawy przez jednego z małżonków przed sąd biskupi danej diecezji z możliwością zawierania nowych związków sakramentalnych, zakrawających w praktyce o bigamię.

Przełomu w tej kwestii dokonał papież Franciszek, który z posoborowych papieży najbardziej znał Bractwo bezpośrednio i od środka – bo chciał je poznać. Wprowadził on zatem procedurę mającą przeciąć wszelkie spekulacje wokół ważności tych ślubów, a sam ich raczej nie żywił. W praktyce wierni Bractwa mieli pozostać przy okazji zawierania sakramentu małżeństwa pod opieką swych duszpasterzy, pozostawiając ludziom Kościoła kwestię omówienia stosownych delegacji, a nawet możliwości użyczania kościołów do odprawiania Mszy św. za nowożeńców. Proceder ten był mniej lub bardziej udany w zależności od kraju i biskupa miejsca, natomiast w pewnych krajach, jak we Francji, stał się quasiau-

eprasa.pl 65c5a5f024

tomatyczny, z przypadkami udzielania takiej delegacji na stałe włącznie. Otóż papież Leon XIV ani oficjalnie nie wycofał, ani nie upoważnił nikogo do wycofania tej papieskiej procedury, jednak na podstawie treści dekretu kard. Victora Fernándeza z 2 lipca br., odgórnie kasującego możliwość ważnych małżeństw w Bractwie, lwia część biskupów na świecie, poza dość interesującymi wyjątkami, na razie zarzuciła tę dotychczasową współpracę, która w praktyce oznacza powrót do poprzedniego status quo, choć w nieco nowych okolicznościach. Prawdą jest, że wierni, decydując się obecnie na zawarcie takiego ślubu przy Bractwie, nadal mogą być piętnowani przez swe otoczenie, które nie podziela ich światopoglądu, za życie w grzechu. Tym razem dzieje się to jednak w niezwykle specyficznym kontekście eklezjalnym, bo przecież pozwala się dziś przyjmować sakramenty rozwodnikom w nowych związkach (zatem cudzołożnikom), a nawet gejowskim konkubinatom, które kapłani winni nawet błogosławić.

Chcę przez to powiedzieć, że Watykan doprowadził tym samym do sytuacji iście aberracyjnych, co sprawia, że postronni, nieuprzedzeni obserwatorzy dość łatwo mogą dostrzec dysproporcje czy wręcz niedorzeczność podejmowanych sankcji, przynajmniej względem szeregowych wiernych. Albowiem znowu nie tak trudno zauważyć, że „lefebryzm" jest uznawany za odstępstwo nie z powodu braku posłuszeństwa czy poszanowania hierarchii, a ze względu na swe podtrzymywanie tradycyjnej, niepodatnej na ewolucję reguły wiary (dziś systemowo podważanej) i jest tak naprawdę jedynym piętnowanym surowo i na poważnie w Kościele odstępstwem, przy jednoczesnym łaszeniu się hierarchów do wszelkiej maści autentycznych heretyków i schizmatyków, a nawet pogan, w ramach iluzorycznych wysiłków budowania panchrześcijańskiej czy międzyreligijnej jedności, ponad podziałami i bez wymogu przyjęcia katolicyzmu. W tych okolicznościach powaga deklarowanej ekskomuniki, od której zresztą odwołanie jest na etapie rozpatrywania w Rzymie, może jedynie ulec znaczącej dewaluacji.

Dewaluacja ta nie dotyczy jednak na razie kurii diecezjalnych, które na ten moment kurczowo trzymają się wytycznych kard. Fernándeza. Różna była dotychczas współpraca między Bractwem a ośrodkami pielgrzymkowymi na świecie, natomiast w przypadku sanktuarium w Lourdes ta współpraca na przestrzeni ostatnich 20 lat była po prostu wzorowa. Sanktuarium umożliwiało corocznej, trzydniowej pielgrzymce Bractwa zasadniczo pełny dostęp do swej infrastruktury, w tym możliwość naprawdę doniosłej procesji z udziałem chorych, podczas której ci ostatni, na swych rozpoznawalnych niebieskich wózkach, otrzymywali indywidualne błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Ma się rozumieć, w ramach swej gościnności sanktuarium otrzymywało składkę z codziennych Mszy św., na których gromadziło się po kilka tysięcy wiernych Bractwa. Bardziej jednak niż z powodu oczywistych strat finansowych tegoroczna decyzja biskupa diecezji Tarbes i Lourdes jawi się jako niezrozumiała, dlatego że np. anglikanie, a nawet muzułmanie mają bezproblemowy dostęp do sanktuarium w Lourdes, by modlić się tam „po swojemu". Podobny ostracyzm w ostatnim czasie okazały sanktuaria w Mariazell czy w Asyżu, nie pozwalając na wejście zorganizowanych pielgrzymek Bractwa.

Abstrahując od sporów doktrynalnych, duża część uprzedzeń wobec Bractwa św. Piusa X wynika z nieznajomości przez hierarchów tego dzieła od środka

MURY, NIE ROGI

Wracając do zadanego na początku pytania, z międzynarodowych serwisów informacyjnych Bractwa (np. z portalu fsspx.news) wynika, że w różnych częściach globu wyrastają nie tyle ludziom rogi, ile mury świątynne z ziemi według projektów, które budzą podziw. Okolice Caen w Normandii, Salzburg w Austrii, Charlotte w Karolinie Północnej, Bismarck w Dakocie, Front Royal w Wirginii, Jacksonville na Florydzie, a także w Estonii, w Hiszpanii czy we Włoszech, nie mówiąc o miejscach, gdzie w ostatnich latach kościoły już wzniesiono – wiadomości o budowach lub odnowieniu kościołów Bractwa są regularne, a ten rozwój dotyczy, choć nieco skromniej, także Polski.

Liczne powstawanie nowych kościołów jest akurat bardzo wymownym wskaźnikiem. Po pierwsze, wynika ono z tego, że biskupi wolą zazwyczaj sprzedać swe puste kościoły na cele świeckie, niż użyczyć je Bractwu, choć są od tej reguły chlubne wyjątki. Po drugie, budowa kościoła wynika z potrzeb rozrastającej się wspólnoty. Po trzecie, budowanie kościołów jest niemożliwe bez wzmożonego wysiłku finansowego wiernych – a ten najwyraźniej jest faktem. Po czwarte, aby konsekrować kościół… potrzebni są biskupi. Innymi słowy, na pytanie, jak wierni Bractwa św. Piusa X odnajdują się po święceniach biskupich z 1 lipca i towarzyszących im karach kościelnych, odpowiedź brzmi nieco banalnie – działalność duszpasterska odbywa się jak dotychczas z widocznym rozwojem, dotknięta jednak ludzkimi przykrościami, których nikt nie szukał dla nich samych, a które – o to przynajmniej niejednokrotnie apelują sami przełożeni – są ofiarowywane cierpliwie w intencji samego Kościoła. Statystyki tych duszpasterstw bywają zresztą spektakularne: w ukończonym w 2023 r. kościele Niepokalanej w St. Marys (Kansas) w ciągu trzech lat odbyło się aż 468 chrztów, 330 dzieci przystąpiło do Pierwszej Komunii, 407 osób do bierzmowania i 99 par zawarło ślub! Czemu ma służyć „ekskomunika" tak owocnych wspólnot?

Abstrahując od sporów doktrynalnych, duża część uprzedzeń wobec Bractwa św. Piusa X wynika z nieznajomości tego dzieła od środka przez hierarchów, skutkując niezrozumieniem, a dziś piętnowaniem tych duszpasterstw przez Rzym i większość kurii na świecie. Wierni Bractwa nie zamierzają jednak ani gdziekolwiek zniknąć, ani zrywać z ich strony łączności z hierarchią katolicką na świecie. Podstawowe pytanie nie brzmi zatem, co się stanie z „lefebrystami", ale jak swe relacje z Bractwem postrzega hierarchia w dalszej przyszłości? Co w przypadku Bractwa Leon XIV miał dokładnie na myśli, mówiąc: „Trzeba nam iść naprzód"? Gdzie tak naprawdę wybiera się jeszcze łódź Kościoła synodalnego, zrywając coraz bardziej z Tradycją katolicką, której szalupa Bractwa jest jedynie świadkiem i orędownikiem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

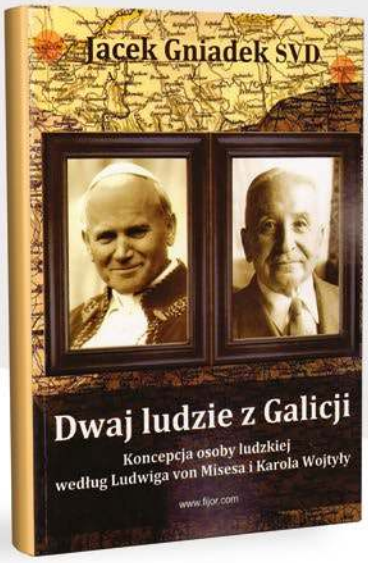

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 65c5a5f024

Leon XIV i liturgiczni barbarzyńcy

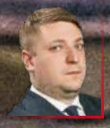

Paweł Chmielewski

Papież Leon XIV uważa, że posoborowa reforma liturgiczna była Kościołowi potrzebna i chciał jej sam Duch Święty. To oznacza utrwalenie obecnego stanu katolickiej liturgii

FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

W grudniu 2025 r. minęła 60. rocznica zakończenia Soboru Watykańskiego II. Jako że wokół tego zgromadzenia wciąż toczą się zacięte spory, papież Leon XIV postanowił wygłosić specjalny cykl katechez, autorytatywnie podsumowując dziedzictwo soborowe. Operację rozpoczął 7 stycznia; odtąd w każdą środę – o ile tylko na przeszkodzie nie stoją jakieś święta czy podróże – mówi właśnie na temat Vaticanum II. Papież zajął się przy tej okazji także liturgią.

Sobór Watykański II dokument na temat liturgii przyjął już 4 grudnia 1963 r. – był to pierwszy oficjalnie ogłoszony na tym soborze tekst. Nosi tytuł zgodnie ze zwyczajem wzięty od swoich pierwszych słów, czyli „Sacrosanctum concilium". O liturgii dyskutowano w Kościele długo przed soborem. Jeszcze w XIX w. narodził się fenomen, który przeszedł do historii pod nazwą ruchu liturgicznego. Jego zasadniczą intencją była taka odnowa katolickich obrzędów, która pozwoliłaby na bardziej świadome uczestnictwo wiernych – w części za sprawą drobnych korekt w porządku samych obrzędów, ale nade wszystko za sprawą lepszego wykształcenia liturgicznego katolików. Na temat „Sacrosanctum concilium" wylano morze atramentu. Historycy i publicyści spierają się, czego tak naprawdę chcieli ojcowie soborowi. Czy ich intencją była głęboka i radykalna reforma liturgii? A może chcieli tylko delikatnych zmian, stawiając raczej na organiczny, spokojny rozwój? Tekst dokumentu, jak wiele innych dzieł soboru, jest bardzo trudny do jednoznacznej interpretacji. Nosi na sobie piętno sporów i napięć, dlatego można go odczytywać na różne sposoby.

OSIEM KATECHEZ ŚRODOWYCH

Jedno można jednak powiedzieć z całą pewnością: konkretna reforma posoborowa, której dokonał papież Paweł VI, a którą w szczegółach opracowywała komisja arcybiskupa Annibale Bugniniego (później oskarżanego o przynależność do masonerii) – ta konkretna reforma różniła się od tej, o której mogli myśleć uczestnicy soboru. Podczas głosowania z 4 grudnia 1963 r. „Sacrosanctum concilium" poparło 2147 biskupów, a tylko czterech było przeciw. Gdyby głosujący wiedzieli, do czego doprowadzi ich aprobata, być może nie udzieliliby tak tłumnie swojego poparcia temu tekstowi. Najbardziej znany przykład: konstytucja soborowa mówi, że łacina powinna pozostać właściwym językiem liturgii w Kościele zachodnim. Stało się jednak zupełnie inaczej; przykładów na podobny rozdźwięk między tekstem „Sacrosanctum…" a reformą Pawła VI jest znacznie więcej. W 1967 r. zebrał się w Rzymie synod biskupów, podczas którego odprawiono „eksperymentalną" Mszę Świętą, z głębokimi zmianami zapowiadającymi to, co miało wkrótce stać się powszechne. Celebrował ją sam abp Annibale Bugnini. Wkrótce przeprowadzono głosowanie wśród biskupów nad kształtem tej Mszy Świętej. Wynik był bardzo podzielony; znacznej części zmiany w ogóle się nie podobały. W 1969 r. dwóch prominentnych kardynałów,

eprasa.pl 65c5a5f024

Alfredo Ottaviani oraz Antonio Bacci, przesłało Ojcu Świętemu słynny tekst, znany jako „Krótka analiza krytyczna Novus Ordo Missae", w którym negatywnie ocenili liczne zmiany. Piszę o tym, by pokazać, że niezależnie od naszej oceny nowej Mszy, jedno pozostaje faktem: między wyobrażeniem wielu ojców soborowych głosujących za „Sacrosanctum concilium" a tym, co zrobił papież Paweł VI, istnieje znacząca różnica.

Niestety, w nauczaniu papieża Leona XIV nie ma po tym nawet śladu. Ojciec Święty liturgicznemu dokumentowi Soboru Watykańskiego II poświęcił aż osiem katechez środowych. Pierwszą z nich wygłosił 20 maja, ostatnią 26 sierpnia. Zasadnicza teza, którą podaje wierzącym papież, jest następująca: reforma liturgiczna była konieczna i chciana przez papieży, których wspierał w tym dziele Duch Święty; jeżeli coś w niej zgrzyta, to są to wyłącznie nadużycia liturgiczne, które polegają na odchodzeniu od tekstów normatywnych i z tym trzeba zerwać; nie ma jednak innej drogi dla Kościoła XXI w., niż pozostać wiernym reformie liturgicznej – i właśnie Novus Ordo Missae ma być w Kościele właściwą, powszechną formą liturgii.

Jak to możliwe, że jakikolwiek papież po pontyfikacie Benedykta XVI rzeczywiście tak rozkłada akcenty? 7 lipca 2007 r. papież Ratzinger ogłosił przecież dokument „Summorum pontificum", umożliwiając katolikom swobodne korzystanie z ksiąg liturgicznych sprzed Soboru Watykańskiego II. W liście do biskupów, który Benedykt dołączył do tego tekstu, tłumaczył, że obrzędy mszalne, które przez tyle wieków towarzyszyły chrześcijanom i rodziły wielu świętych, nie mogą zostać nagle odrzucone, jakbyśmy uznali je za coś przestarzałego i dziś już nieadekwatnego. Wprost przeciwnie, należy uznać je za wiecznotrwały skarb Kościoła, wart tego, by go przechowywać i przekazywać dalej.

Papież z Niemiec nie chciał w ten sposób relatywizować prawomocności reformy liturgicznej ani też zarzucać jej jakichś fundamentalnych błędów; uważał jednak, że porządek Mszy Świętej ustalony przez Pawła VI i Annibale Bugniniego nie musi być wcale ostatecznym i najdoskonalszym wyrazem woli Soboru Watykańskiego II. Ratzinger sądził, że w przyszłości możliwe będzie „przenikanie się" obu form rytu – to znaczy, że Msza trydencka przyjmie jakieś usprawnienia właściwe nowej liturgii, ale zarazem nowa Msza Święta będzie kształtować się w ścisłym kontakcie z wielowiekową tradycją, przyjmując niejako stare obrzędy za wzorzec, w ramach którego powinna być odprawiana. Wydaje się, że właśnie ta wizja Benedykta XVI naprawdę dobrze odpowiada ogólnemu nastawieniu ojców soborowych. Leon XIV mówi jednak o liturgii tak, jakby pontyfikat Benedykta XVI nie zawierał w ogóle tego wątku. Wprawdzie w katechezach odwoływał się do nauczania Józefa Ratzingera, ale nie podjął reformatorskiej idei z „Summorum pontificum" tego papieża.

Być może Ojciec Święty kieruje się specyficznym pojmowaniem wierności wobec linii poprzednika. W 2021 r. Franciszek ogłosił „Traditionis custodes", odwołując zarządzenia Benedykta XVI. Stwierdził, że tylko i wyłącznie nowe księgi liturgiczne są wyrazem rytu rzymskiego, co w praktyce oznacza, że Msza trydencka zostaje sprowadzona do roli jakiegoś dziwacznego reliktu przeszłości, od strony formalnej zawieszonego w próżni. Jeżeliby Leon odwołał się do „Summorum…" Benedykta, musiałby zaprzeczyć „Traditionis…" Argentyńczyka. Papież Prevost, jak sam wielokrotnie podkreślał, chce być tymczasem głosicielem wewnętrznego pokoju. Unika antagonizowania, stara się nie wywoływać większych emocji. Da się bronić tezy, że właśnie dlatego w kwestii liturgii dokonuje swoistego „resetu", uznając, że trzeba zaakceptować status quo. W praktyce oznacza to jednak przyznanie racji Franciszkowi w kontrze do Benedykta.

Rozumiem tę pragmatyczną postawę, ale podobnie jak wielu innych katolików, którzy wysoko sobie cenią obrzędy Mszy trydenckiej, nie mogę uznać jej za zadowalającą. Gdyby wypowiedziom Leona XIV towarzyszyła sytuacja, w której sprawowanie tradycyjnej liturgii było rzeczą relatywnie łatwą i rozpowszechnioną, problem nie byłby może aż tak istotny: wierni mieliby przecież dostęp do nowej i starej liturgii, mogliby wybierać to, co w ich przekonaniu stanowi lepszą formę uczczenia Pana Boga i co silniej karmi ich pobożność. Takiego wyboru dziś jednak nie ma, bo miejsc celebracji Mszy trydenckiej jest po prostu bardzo niewiele. Dlatego znaczna część katolików o tradycyjnej wrażliwości liturgicznej uczestniczy w nowej Mszy Świętej, nierzadko z ciężkim sercem, modląc się o to, by mieli w przyszłości realny dostęp do tradycyjnej liturgii. Biorąc pod uwagę bardzo ścisłe przylgnięcie przez Leona XIV do reformy liturgicznej, na to się jednak nie zanosi.

LITURGIA DLA ŚWIATA PRZEORANEGO PRZEZ REWOLUCJĘ

Ktoś mógłby powiedzieć, że to problemy wydumane. W końcu na świecie żyje ponad 1,4 mld katolików i lwia część z nich uczestniczy w nowej liturgii. Nawet jeżeli w krajach zachodnich ci ludzie wyznają często liberalną wersję wiary, to przecież np. w Afryce jest zupełnie inaczej. Wierny idzie tam na nową Mszę Świętą – w dodatku w barwnym wydaniu afrykańskim – a jednocześnie gorąco wierzy w realną obecność Chrystusa w Eucharystii, sakramentalność małżeństwa, prawo naturalne. Innymi słowy, powiedziałby krytyk, nowa liturgia może służyć uświęceniu i nie ma o co się kłócić.

Cóż, jest prawdą, że nowa Msza Święta to codzienność dla setek milionów dobrych katolików na całym świecie. Problem polega na tym, że jesteśmy łacińskimi Europejczykami, a nie Afrykanami czy Azjatami. Nikt nie zarzuca błędów katolickiej liturgii wschodu – ale nie chcielibyśmy przecież być zmuszani do uczestnictwa w grekokatolickiej Mszy Świętej, bo to nie jest nasza kultura. My, ludzie Zachodu – prawdziwego Zachodu, wyrosłego z Rzymu i Aten – mamy wszelkie prawo do zachowania wielowiekowej liturgicznej tradycji, z całym jej bogactwem i pięknem. Oczekiwanie, że wszyscy rzymscy katolicy z optymizmem rzucą się w wir uproszczonej i zubożonej nowej liturgii, choć na wyciągnięcie ręki mają wspaniałe dziedzictwo Mszy trydenckiej, jest po prostu zwykłym barbarzyństwem. Niechby Novus Ordo Missae był prawomocną liturgią; jest to jednak liturgia dla świata przeoranego przez rewolucję, a nie liturgia tych, którzy chcą oddychać duchem łacińskiej chrześcijańskiej cywilizacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 65c5a5f024

Antyfaszyzm nie zastąpi nam Polski



Paweł Witaszek

Polacy, a także Ukraińcy mają prawo być „faszystami". W odróżnieniu od komunizmu i nazizmu faszyzm nie był systemem ludobójczym. A UPA przeciwstawiała się rosyjskiemu imperializmowi i komunistycznej ideologii. Ta postawa Ukraińców może budzić naszą sympatię na równi z sympatią dla innych narodów naszego regionu. W żadnym wypadku nie można jej jednak rozciągać na antypolskie i ludobójcze działania UPA

Obóz Donalda Tuska od lat odwołuje się do narracji żydokomuny, charakterystycznej dla okresu instalacji w Polsce sowieckich porządków, która rozpoczęła się w okresie drugiej wojny światowej i była kontynuowana w okresie powojennym. Dzisiaj jest to całkowicie zapoznane, ale trzeba wiedzieć, że w propagandzie Kominternu walkę z Polską realizowano pod hasłem zastąpienia Polski „starej" „Polską nową" – sprawiedliwą i nowoczesną. „Nowa Polska" miała być demokratyczna w odróżnieniu od starej – faszystowskiej. W narracji tej faszyzmem było wszystko, co przeciwstawiało się komunizmowi i broniło polskiej niepodległości. Demokracją nazywano zaś nie system wyłaniania władzy, tylko system poglądów: demokratycznych, czyli „postępowych", a więc antyreakcyjnych i antyfaszystowskich. W tym myśleniu demokracja polegała więc na rządach demokratów-antyfaszystów w oderwaniu od tego, czy większość życzyła sobie takich rządów. W warunkach bezpośrednio powojennych nieuniknione było ograniczenie biernego prawa wyborczego do „partii demokratycznych" (postanowienia w Jałcie, luty roku 1945), a gdy i przez to sito przedarły się elementy uznane za reakcyjne – sfałszowanie wyniku wyborów (styczeń roku 1947).

POTĘPIĆ DMOWSKIEGO

Dokładnie te same wątki mogliśmy odnaleźć w ostatnich latach – z jednej strony postulaty delegalizacji „faszystów" (wrogów demokracji), z drugiej kwestionowanie werdyktu większościowego, który dopuścił do ich rządów. Tak jak w latach 40. nazywano się „obozem demokracji", później dodając „walczącej" (tu, nie wiem dlaczego, przypomina mi się hasło: „PPR walczy" – wkuwane do głów w szkołach i za pomocą filmów). Można zauważyć jeszcze jedną analogię: PiS jest kopią Mikołajczykowskiego PSL – formacji, która jest w swoim mniemaniu „szczerze demokratyczna" – odcina się od faszystów (wówczas od Narodowych Sił Zbrojnych, dziś od Grzegorza Brauna), a jednocześnie stara się zbierać („zagospodarowywać") głosy wyborcze polskiej reakcji i nie jest akceptowana przez jeszcze bardziej szczerych demokratów.

Walka z antysemityzmem doprowadza do odrzucenia perspektywy polskiej, a przyjęcia żydowskiej

Tak samo jak u zarania PRL, tak i teraz główną osią, wokół której rozstrzyga się spór pomiędzy „demokracją" a „reakcją", jest kwestia antysemityzmu. Faszyzm równa się antysemityzm, a demokracja go zwalcza. W propagandzie PPR-owskiej „ciemiężenie mniejszości narodowych" obnażało zło „starej" Polski, dając uzasadnienie, dlaczego należy ją zniszczyć, a po sprawiedliwej korekcie granic i wypędzeniu Niemców (uprawnionym – gdyż byli faszystami) polski nacjonalizm (równający się faszyzmowi) kierować się mógł już tylko przeciwko Żydom. I to należało napiętnować.

Narracja anyfaszystowska ujawniła się w ostatnich dniach w wypowiedzi wicepremiera Radosława Sikorskiego. Krytykę Ukraińskiej Powstańczej Armii ustawił on na osi demokracja – faszyzm. UPA była zła, bo odwoływała się do faszyzmu. Po takim stwierdzeniu logiczne wydaje się zakwestionowanie, jednym ciągiem, polskiego „faszyzmu". Padło na Romana Dmowskiego. Dyskusja poszła w stronę roztrząsania, czy Dmowski był faszystą czy nie, co sądził na temat Benita Mussoliniego itd.

Tymczasem logikę Sikorskiego należy zaatakować w zupełnie innym punkcie: Polacy, a także Ukraińcy, jeżeli chcą, to mają prawo być „faszystami". Co by nie powiedzieć o faszyzmie (w pełni zgadzam się z krytyką tego systemu przez papieża Piusa XI), to – w odróżnieniu od komunizmu i nazizmu – nie był to system, ani w teorii, ani w praktyce, ludobójczy. Z naszej, polskiej perspektywy, warto przypomnieć, że Mussolini nie poparł ataku Adolfa Hitlera na Polskę, krytykował niemiecką skłonność do okrucieństwa, wstawił się za krakowskimi profesorami – ratując ich znaczną część przed śmiercią w niemieckich obozach, umożliwił transfer polskich elit politycznych i wojskowych z okupowanego kraju do Francji (który w dużej części odbywał się przez Włochy). Ponadto Polskę bardzo życzliwie traktowały „faszystowskie" Węgry, a także inna ikona „międzynarodowego faszyzmu" – gen. Francisco Franco.

DLACZEGO WSPÓŁPRACOWALI Z HITLEREM

Większość krajów naszego regionu znalazła się w czasie wojny w sojuszu

eprasa.pl 65c5a5f024

z Hitlerem. Wynikało to przede wszystkim z rozpoznania zagrożenia komunistycznego. Te decyzje, odmienne od decyzji Polski, powinny być traktowane ze zrozumieniem. W konsekwencji zarzut, że UPA współpracowała z Hitlerem nie powinien być formułowany tak, jak najczęściej bywa. Tym, czego nie możemy zaakceptować, jest „zakres" tej współpracy, a nie sam jej fakt. Nie możemy zaakceptować antypolskiego wymiaru tej współpracy i stosowanych metod. Inaczej będziemy traktować żołnierzy połączonej z sojuszem z Hitlerem armii węgierskiej, walczących na froncie wschodnim Włochów czy Hiszpanów, nawet Łotyszy broniących się przed Józefem Stalinem do maja 1945 r. w mundurach Waffen-SS, a zupełnie inaczej mordujące masowo polską ludność w ramach czystek etnicznych formacje UPA.

Przeciwstawianie się Ukraińców rosyjskiemu imperializmowi i komunistycznej ideologii powinno budzić naszą sympatię na równi z sympatią dla innych narodów naszego regionu. Nie może jednak rozciągać się na antypolskie i ludobójcze działania UPA. Podobnie jak nie możemy zaakceptować pochwalania walczących także z komunizmem oddziałów RONA, które uczestniczyły w mordowaniu ludności Warszawy w sierpniu roku 1944.

TOLERANCYJNY ŚWIAT

Taka jest polska perspektywa. Jest naturalne, że z perspektywy żydowskiej sprawy wyglądają zupełnie inaczej: wymordowanie kilku milionów Żydów przez Hitlera, a kilkuset tysięcy przez Ukraińców, nie jest istotnie gorsze od getta ławkowego w polskich uczelniach przed wojną. Zabicie Żyda – antypolskiego pachołka Kominternu – nie różni się istotowo od zagazowania Żyda w obozie zagłady. Jest tylko różnica statystyczna, a tę łatwo można załatwić stwierdzeniem, że wynika ona jedynie z tego, że „Dmowskiemu nie udało się zrealizować jego planu". W innej, modnej ostatnio wersji, zatytułowanej „ku czemu zmierzała (faszystowska) Polska" możemy usłyszeć, że wrzesień roku 1939 był dla Polski dobrodziejstwem, gdyż zatrzymał rozwój polskiego antysemityzmu, zdejmując odium wymordowania Żydów z Polaków. W tej perspektywie Narodowe Siły Zbrojne, walczące o wolną Polskę przeciwko Sowietom i żydokomunie nie różnią się od UPA walczącej przeciwko Sowietom i Polsce. Nie różnią się, bo jedni i drudzy wyznawali „plemienny nacjonalizm" i wykluczali mniejszości narodowe. Dla Polaka to oburzające brednie, dla anty-antysemity niezwykłe mądrości. Walka z antysemityzmem doprowadza do odrzucenia perspektywy polskiej, a przyjęcia żydowskiej.

I tu natrafiamy na paradoks, który mądrale traktują bardziej jako coś zobowiązującego – „znak czasu". W dzisiejszym, tolerancyjnym świecie, gdzie rzekomo wartością nadrzędną jest to, żeby każdy mógł mieć takie poglądy, jakie chce, przyjmowanie perspektywy polskiej, a odrzucanie perspektywy żydowskiej budzi oburzenie – jest moralnie naganne. Bo perspektywa polska jest faszystowska, a perspektywa żydowska – demokratyczna. Demokratyczna, czyli jedynie słuszna. Słuszna, więc przyjmowana przez niemałą część elit współczesnej Rzeczypospolitej Polskiej.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 65c5a5f024



Krystian Kratiuk

Przemilczany fenomen

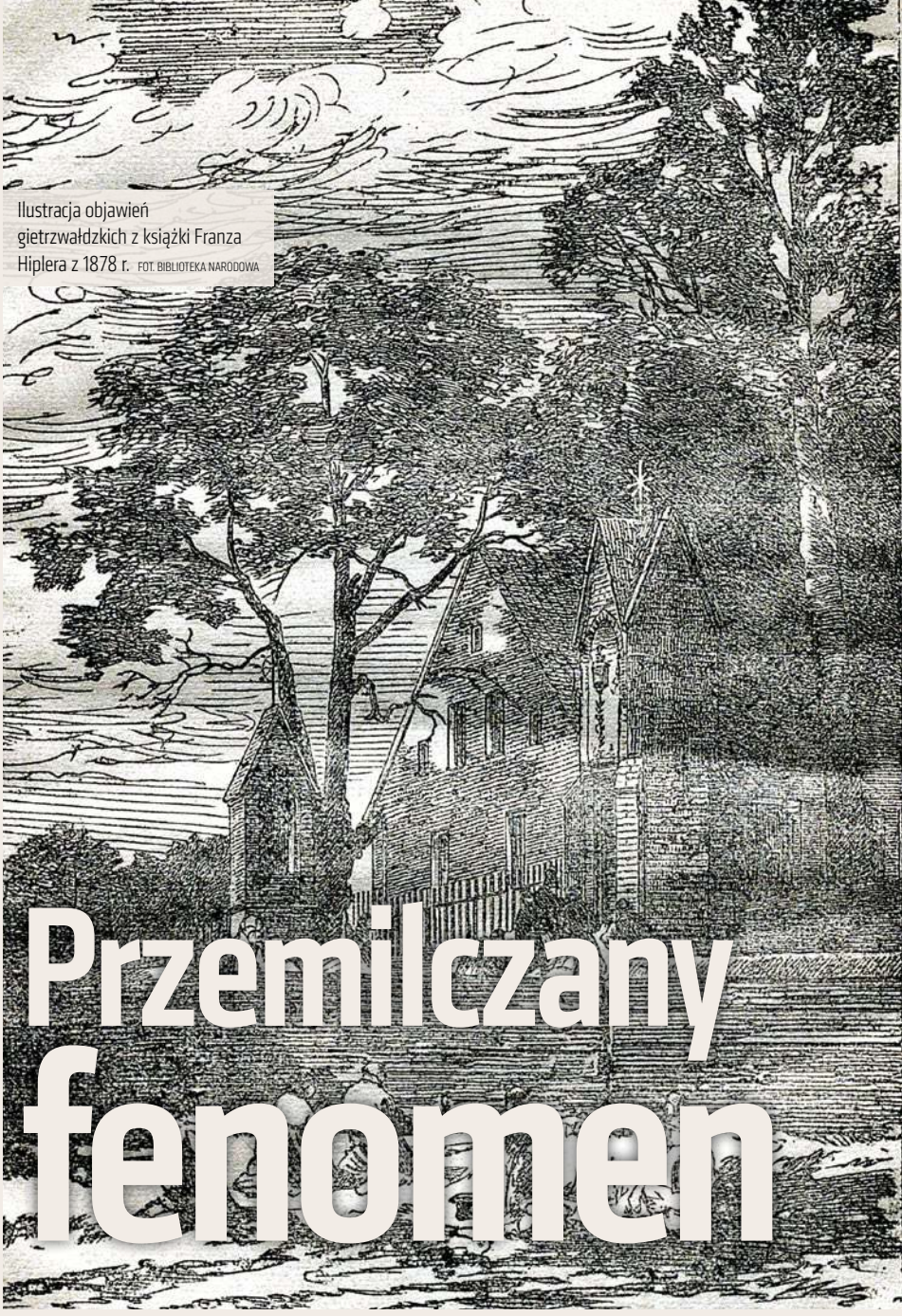

Ilustracja objawień gietrzwałdzkich z książki Franza Hiplera z 1878 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Gdy jeden miliarder stawia w polu monumentalną figurę Matki Bożej, rozpisują się o tym media jak kraj długi i szeroki. Gdy jednak od całkiem niedawna setki tysięcy ludzi rokrocznie zmierzają do jednego miejsca, polskojęzyczne media milczą. Dlaczego?

Papież Leon XIV musiał być solidnie zaskoczony, gdy w ciągu zaledwie kilku tygodni roku 2025 otrzymał aż cztery zaproszenia do Polski, potwierdzone jeszcze piątym – parę miesięcy później. Ojca Świętego zaprosił najpierw ustępujący prezydent Andrzej Duda, kilka tygodni później prezydent Karol Nawrocki, a w tym czasie również biskup warmiński i kustosz sanktuarium w Gietrzwałdzie. W roku 2026 swoje zaproszenie dorzucił premier Tusk. Jak głoszą watykańskie korytarze, papież przyjechać chce, ale nie w roku wyborczym 2027, a rok później, aby nie pozwolić wmanewrować autorytetu Stolicy Apostolskiej w kampanię wyborczą. A zapraszany był na rok 2027 nie z powodu pośpiechu, ale w związku z niezwykle ważnym wydarzeniem religijnym, a mianowicie 150. rocznicą objawień gietrzwałdzkich. O których Polacy wciąż wiedzą niewiele, choć sytuacja ta zmienia się niezwykle dynamicznie – dowodzi tego choćby ostatnia decyzja Sejmu. Otóż posłowie ogłosili rok 2027 Rokiem Nauki, Rokiem Konstytucji z 1997 r., Rokiem Andrzeja Boboli, a także Rokiem Objawień Matki Bożej Gietrzwałdzkiej.

A przecież jeszcze 10 lat temu słowo „Gietrzwałd" było stosunkowo mało znane nawet wśród osób mocno religijnych. O Częstochowie wiedzą Polacy wszystkich pokoleń, niezależnie od poglądów politycznych, o Licheniu również słyszał każdy – często za sprawą wyśmiewania tamtejszego sanktuarium. O Gietrzwałdzie wiedzą wyłącznie specjaliści i dosłownie garstka pobożnych.

Sytuacja zaczęła się zmieniać w roku 2018, kiedy to w Gietrzwałdzie podpisano Akt Konfederacji Gietrzwałdzkiej sygnowany przez kilkudziesięciu liderów rozmaitych środowisk konserwatywnych, dziś związanych głównie z Konfederacją Korony Polskiej oraz Konfederacją Wolność i Niepodległość. W tym czasie zaczęły powstawać książki i filmy dokumentalne o tamtejszych, odkrywanych na nowo objawieniach, a zainteresowanie katolików zaczęło wzrastać jeszcze bardziej po wyborach parlamentarnych i prezydenckich lat 2019 i 2020. Paradoksalnie przyłożyły się do tego liberalno-lewicowe media, które zaczęły podśmiechiwać się z polityków składających podpisy pod Aktem z roku 2018. Deklarowali w nim bowiem zobowiązanie do obrony katolickiej wiary, życia i rodziny, polskiej kultury i dziedzictwa, własności, wolności oraz niepodległości państwa i polskiej racji stanu, odwołując się do przesłania objawień gietrzwałdzkich.

Ale samo sanktuarium z politykami nie chce mieć wiele do czynienia (zarówno tamtymi od Aktu, jak i innymi, którzy w ostatnich latach pojawiają się tam bardzo często) – misją tego miejsca jest bowiem promocja objawień maryjnych z 1877 r. I wydaje się, że promocja ta idzie

eprasa.pl 65c5a5f024

coraz lepiej. Według stron samorządowych województwa warmińsko-mazurskiego już w roku 2020 maleńką miejscowość odwiedziło 300 tys. osób, w samorządowym dokumencie z 2023 r. pojawia się szacunek ok. 900 tys. pielgrzymów rocznie. Księża kanonicy posługujący w sanktuarium są znacznie bardziej powściągliwi w informowaniu o tak wysokiej liczbie pielgrzymów, ale potwierdzają, że zainteresowanie i ruch pielgrzymkowy w kierunku Gietrzwałdu zwiększają się bardzo szybko.

I słusznie – objawienia w warmińskiej wsi są bowiem jedynymi objawieniami Matki Bożej w Polsce, które cieszą się oficjalnym zatwierdzeniem ze strony Kościoła.

Mimo że wydarzenia z Gietrzwałdu są jedynymi objawieniami Matki Bożej w Polsce, które cieszą się oficjalnym zatwierdzeniem ze strony Kościoła i zawierają konkretny program dla całego narodu, przez tak wiele lat pamiętało o nich niewielu Polaków

CO SIĘ TAM WYDARZYŁO?

W 1877 r. Gietrzwałd leżał w zaborze pruskim. Trwały nasilone kulturkampf i germanizacja – państwo pruskie ograniczało wpływ Kościoła katolickiego, podporządkowywało sobie szkolnictwo, ingerowało w życie duchowieństwa i wypierało język polski z przestrzeni publicznej. Właśnie w takiej rzeczywistości 27 czerwca 13-letnia Justyna Szafryńska, wracając po egzaminie przed Pierwszą Komunią Świętą, zobaczyła na klonie stojącym przy plebanii niezwykłą jasność i postać pięknej Pani. Następnego dnia widzenie się powtórzyło, a wkrótce do Justyny dołączyła 12-letnia Barbara Samulowska.

W kolejnych dniach dziewczynki widziały Maryję wielokrotnie, początkowo otoczoną aniołami i zasiadającą na tronie. 30 czerwca, na polecenie niemieckiego proboszcza ks. Augustyna Weichsela, zapytały Ją, czego żąda. Usłyszały odpowiedź wypowiedzianą po polsku: „Żądam, abyście codziennie odmawiali Różaniec". Dzień później Justyna zapytała, kim jest ukazująca się Pani, i otrzymała odpowiedź: „Jam jest Najświętsza Maryja Panna, niepokalanie poczęta". Fakt, że Maryja mówiła do polskich dzieci po polsku w czasach germanizacji, nadawał wydarzeniom także szczególne znaczenie narodowe.

Wieść o objawieniach szybko rozeszła się po Warmii i innych ziemiach polskich, a do Gietrzwałdu zaczęły przybywać coraz większe tłumy pielgrzymów. Za pośrednictwem dziewcząt ludzie zadawali Matce Bożej pytania o chorych, przyszłość Kościoła, kapłanów, nawrócenie i życie moralne. Maryja wzywała przede wszystkim do Różańca, pokuty, modlitwy, posłuszeństwa Kościołowi i trzeźwości. Na pytanie, czy polski Kościół odzyska wolność, odpowiedziała: „Wnet będzie uwolniony", a pytana, czy do opustoszałych parafii wrócą kapłani, odpowiedziała: „Tak, ale jeśli ludzie będą się gorliwie modlić na różańcu i pokutować".

Objawienia trwały do 8 września 1877 r., czyli do święta Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Tego dnia Maryja, widząc smutek dziewczynek, powiedziała im: „Nie smućcie się, ja zawsze będę z wami". Pobłogosławiła także źródełko znajdujące się niedaleko kościoła, które odtąd stało się jednym z najważniejszych miejsc gietrzwałdzkiego sanktuarium. Wydarzenia z lata 1877 r. pozostawiły więc po sobie nie tylko zapis licznych objawień i odpowiedzi Maryi, lecz także bardzo konkretny program religijny: codzienny Różaniec, pokutę, wierność Mszy Świętej, Kościołowi i życiu moralnemu.

ODBUDOWA MORALNA

Nie były to bardzo spektakularne objawienia. Może właśnie dlatego przez tak wiele lat o Gietrzwałdzie pamiętało tak niewielu Polaków. Wszak w treści objawień nie ma wielkich wizji przyszłości świata, rozbudowanych proroctw, opisów katastrof ani tajemnic, które przez dziesięciolecia miały rozpalać wyobraźnię wiernych. Nie ma dramatycznego obrazu piekła znanego z Fatimy, nie ma wielkich zapowiedzi dziejowych ani rozbudowanej symboliki, z jaką spotykamy się w niektórych innych objawieniach. W Gietrzwałdzie Maryja przychodzi niejako w sprawie codziennego życia zwykłych ludzi i odpowiada na ich bardzo zwyczajne pytania: o zdrowie, modlitwę, kapłanów, nawrócenie, pokutę, klasztor, rodzinne problemy. Jej polecenia są krótkie i stanowcze, a przy tym konkretne i nadzwyczaj praktyczne.



Matka Boska w Gietrzwałdzie. Ilustracja z książki S. Romana i A. Samulowskiego z 1878 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Profesor Grzegorz Kucharczyk w wyprodukowanym przez Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi filmie „Gietrzwałd. Bądźcie Polakami" tłumaczy jednak, że w objawieniach tych Matka Boża nie przekazała Polakom jedynie zbioru pobożnych wskazówek dotyczących życia prywatnego; można bowiem w Jej słowach zobaczyć konkretny program dla całego narodu. Uczony ujmuje go wręcz jako „program dojścia do niepodległości poprzez walkę z grzechem" – zarówno grzechem osobistym, jak i społecznym. Oto przecież Różaniec, prawdomówność, trzeźwość, pokuta, posłuszeństwo Kościołowi i moralne uporządkowanie życia nie są tu sprawami oderwanymi od losów wspólnoty – np. pijaństwo niszczy nie tylko konkretnego człowieka, lecz także rodzinę. A i kłamstwo, rozwiązłość czy niewierność obowiązkom osłabiają całe społeczeństwo. Dlatego droga do wolności politycznej zaczyna się od odzyskania wolności duchowej. Zdaniem Kucharczyka Gietrzwałd wpisuje się tym samym w ważny nurt polskiej myśli XIX w., według którego zanim naród odzyska państwo, musi najpierw podnieść się moralnie ze swoich grzechów.

eprasa.pl 65c5a5f024

Co niezwykle ciekawe, kilkadziesiąt lat później tę samą logikę odnajdziemy w Jasnogórskich Ślubach Narodu Polskiego z 1956 r., napisanych przez kard. Stefana Wyszyńskiego, a następnie rozwiniętych w program Wielkiej Nowenny. Profesor Kucharczyk zwraca uwagę, że choć język jest już inny, to strategia pozostaje właściwie ta sama: odnowienie Polski poprzez odnowienie moralne Polaków. Istota gietrzwałdzkiego orędzia brzmi: podnosząc się z grzechów osobistych i społecznych, możecie przejść przez „morze niewoli zaborów". Kilkadziesiąt lat później Śluby Jasnogórskie złożone Maryi miały prowadzić naród przez kolejne „morze czerwone" niewoli, znów poprzez moralną odbudowę społeczeństwa.

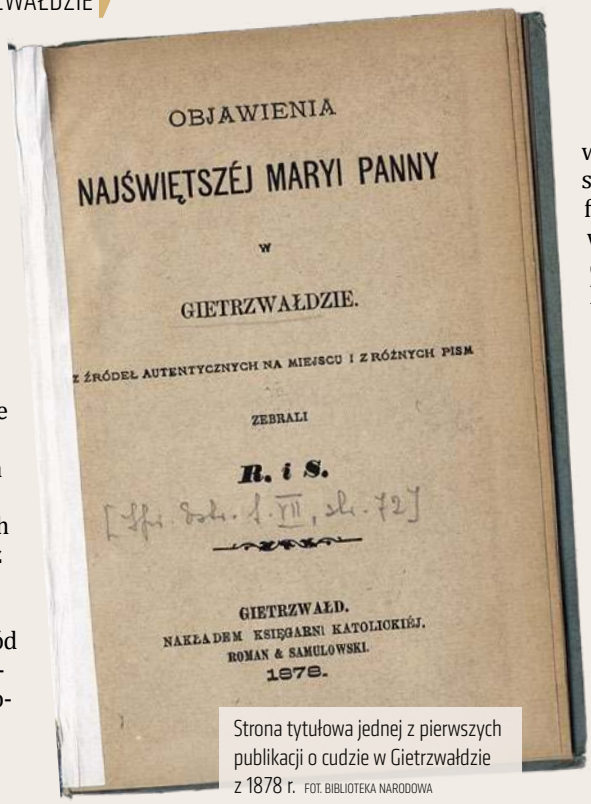
OBJAWIENIA

NAJŚWIĘTSZÉJ MARYI PANNY

W

GIETRZWAŁDZIE.

Z ŹRÓDEŁ AUTENTYCZNYCH NA MIEJSCU I Z RÓŻNYCH PISM

ZEBRALI

R. i S.

GIETRZWAŁD.
NAKŁADEM KSIĘGARNI KATOLICKIEJ.
ROMAN & SAMULOWSKI.
1878.

Strona tytułowa jednej z pierwszych publikacji o cudzie w Gietrzwałdzie z 1878 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

WIĘCEJ NIŻ SŁOWA

Kilka miesięcy temu pół polskiego Internetu – oczywiście ta postępowa połowa – natrząsało się z wypowiedzi posłanki Marii Kurowskiej, która zwróciła uwagę, że Matka Boża w Gietrzwałdzie mówiła po polsku. Słowa pani poseł wycinano z kontekstu, powstawały na ich temat nawet żenujące skecze kabaretowe. A przecież posłanka słusznie przypomniała z sejmowej mównicy, że fakt posługiwania się językiem polskim przez Maryję w czasie zaboru pruskiego i silnej germanizacji „dodał Polakom wielkiego ducha".

Chociaż objawienia maryjne, te zaakceptowane przez Kościół, niosą ze sobą zwykle przesłanie uniwersalne, skierowane do całego świata, to zjawienie się Matki Bożej w Gietrzwałdzie może być odczytywane również jako przesłanie konkretnie dla Polaków. Owszem, jest w nim sporo treści, które mogą inspirować katolików na całym świecie, ale jest też niemało gestów bardzo ważnych dla nas. Przemawianie w języku polskim w dniach, w którym w szkołach i urzędach nie wolno było tego robić, jest tylko jednym z takich znaków.

Nie bez znaczenia może być również sposób, w jaki Matka Boża ukazała się w pierwszych dniach objawień. Widzące oglądały Ją „siedzącą na wspaniałym tronie, otoczoną aniołami, z królewskimi insygniami". Taki obraz trudno odczytywać wyłącznie jako element niezwykłej oprawy – w polskiej tradycji Maryja od stuleci była przecież czczona jako Królowa Korony Polskiej, a świadomość Jej królewskiej opieki nad Polską miała ogromne znaczenie dla zachowania zarówno katolicyzmu, jak i narodowej tożsamości. W takim kontekście tron towarzyszący Maryi w Gietrzwałdzie może być rozumiany jako potwierdzenie związku Królowej z narodem, który chce Ją tak nazywać, nawet gdy stracił własne państwo.

Nie sposób nie zauważyć, że choć istnieje cała masa podobieństw między różnymi objawieniami Maryi w różnych miejscach świata, to są również różnice. Jedną z nich jest właśnie to, że Matka Boża w Gietrzwałdzie zjawia się na tronie – jako Królowa – i że przychodzi do miejsca, w którym jest już czczona, do parafii pod wezwaniem… Jej Narodzin. Objawiając się w innych miejscach świata, Maryja dopiero prosi o zbudowanie świątyni i nie objawia się przy parafii, ale w górach, w grocie czy innych miejscach. A w warmińskich objawieniach jest niejako u siebie.

OBJAWIENIA BEZ REKLAMY

Wokół Gietrzwałdu – jak i wokół innych objawień na całym świecie – narosły już rozmaite legendy i teorie spiskowe. Tak jak istnieją środowiska, które sugerują np., że trzecia tajemnica fatimska nigdy nie została ujawniona w całości, są też środowiska głoszące, że o objawieniach gietrzwałdzkich nie wiemy jeszcze wszystkiego, gdyż rzekomo dokumenty na ich temat mieli skonfiskować wycofujący się z Warmii Niemcy. Księża opiekujący się sanktuarium zaprzeczają takim rewelacjom, ale sam fakt, że one pojawiają się w przestrzeni publicznej, również świadczy o rosnącym zainteresowaniu fenomenem Gietrzwałdu.

Na pielgrzymujących tam coraz tłumniej wiernych czeka kościół o pięknej, neogotyckiej sylwetce, zachowujący zarazem ślady dawnej warmińskiej architektury gotyckiej. Szczególnie mocno zaznaczyły się w nim elementy wprowadzone podczas XIX-wiecznej rozbudowy, które nadały świątyni smukłość i strzelistość. Czerwona cegła, wysoka wieża, ostrołukowe formy i położenie pośród zieleni sprawiają, że sanktuarium łączy w sobie coś z monumentalności z kameralnością dawnego wiejskiego kościoła, który przez pokolenia pozostawał naturalnym centrum życia miejscowych katolików. Gietrzwałd leży pośród warmińskich pól, łąk i lasów, a spokojny krajobraz dodatkowo sprzyja modlitwie i kontemplacji.

O gietrzwałdzkim fenomenie, o rosnącej skali zainteresowania nim główne media jednak nie informują – mimo że przecież pozostają niezwykle zainteresowane polskim Kościołem i religijnością Polaków. Być może szansą na dostrzeżenie tego miejsca będą obchody 150. rocznicy objawień w roku 2027, a być może dopiero wizyta Leona XIV rok później.

Ale może to właśnie dobrze, że główne media – przecież podłe i antychrześcijańskie – w ogóle nie interesują się tym pięknym i cichym miejscem, które mimo tego każdego roku odwiedza coraz większa rzesza Polaków? Fenomenem pielgrzymkowym skrytym daleko od Warszawy, Krakowa czy Częstochowy, który dziś wcale już nie potrzebuje promocji, bo promuje się sam.

Z nienachalną pomocą z Nieba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 65c5a5f024



KOMUCHOŻERCA

Liczby

LESZEK ŻEBROWSKI

Jakie były prawdziwe zasoby ludzkie Polskiego Państwa Podziemnego? Z każdym rokiem, w miarę oddalania się od okresu okupacji, puchną one niemiłosiernie i końca tego procederu nie widać. Już nigdy nie da się ich w miarę dokładnie policzyć, z braku twardych danych (liczenia stanów i raportów na dany dzień). Ale sporo wiemy i nie jest to wiedza zgodna z hagiograficzną propagandą. Wywiad niemiecki szacował, że AK mogła liczyć od 100 do 200 tys. żołnierzy. Wyżsi oficerowie Komendy Głównej, w tym gen. Stanisław Tatar i płk Janusz Bokszczanin podawali, że mogło to być ok. 250 tys., ale te dane już wtedy były kwestionowane jako zawyżone.

Inspektorzy terenowi, w tym ppłk Józef Rokicki „Michał", wskazywali na fakt masowego zawyżania stanów w obwodach, bo każdy komendant chciał mieć więcej wojska, niż faktycznie miał. Najwięcej problemów przysporzyło jednak scalenie BCh z AK. Wystąpiło bowiem zjawisko wyciągania ludzi z AK („chłopi") i ponowne wcielanie ich w szeregi AK. Świadczą o tym masowe raporty inspektorów i dowódców obwodów AK, negliżujące ten proceder. Do tego historycy AK notorycznie pomijają raport z 3 stycznia 1945 r., w którym jest mowa o tym, że scalone z AK siły NOW i NSZ to razem połowa sił AK!

Ostatni raport Delegatury Rządu z 9 lutego 1945 r. stwierdza, że w AK było ok. 250 tys. ludzi.

Rozpasanie przyniosła powojenna emigracja londyńska. Wyżsi oficerowie AK prześcigali się w pompowaniu stanów tej organizacji ponad granice wytrzymałości, tworząc post factum swe wyimaginowane zaplecze wojskowe. W referacie wygłoszonym w Londynie w 1947 r. („Zarys rozwoju Armii Krajowej") płk Kazimierz Iranek-Osmecki przyjął arbitralnie, że AK liczyła 380 tys. ludzi i jest to wielkość, której bezkrytycznie trzymają się historycy tej organizacji. Ale mimo to trwały i trwają nadal próby dalszego zawyżania tych stanów. W brytyjskim „Daily Telegraph" polski korespondent Zygmunt Lityński poszedł jeszcze dalej. Według niego w „Polskiej Armii Krajowej" (użył takiej nazwy) było aż 500 tys. ludzi, którzy wiązali walką 19 dywizji niemieckich w okupowanej Polsce, do tego oddzielnie 300 tys. ludzi „z formacji specjalnych, takich jak Policja, SS i tzw. Bahnschutz"!

Gdyby to była chociaż częściowo prawda, faktycznie, bylibyśmy ogromną potęgą, ale aż tak dobrze nie było. A później w Polsce Ludowej pękły wszystkie bariery. Ponieważ tzw. ZBoWiD płacił za uprawnienia kombatanckie (wystarczało załatwić sobie dwóch świadków), a po 1990 r. było jeszcze łatwiej, kto żyw zostawał kombatantem, a właściwie kombatańcem. To była hiperinflacja. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Dybuk"

SŁAWOMIR KOPER

Wprawdzie na ziemiach polskich filmy w jidysz kręcono jeszcze przed pierwszą wojną światową, ale później unikano tematu. Sytuacja zmieniła się, gdy do Polski zaczęli zjeżdżać żydowscy filmowcy emigrujący z hitlerowskich Niemiec. Produkcje „Za grzechy", „Mateczka" czy „Judeł gra na skrzypcach" cieszyły się ogromnym powodzeniem i chętnie oglądano je również za granicą.

Na początku 1937 r. najbardziej kasowy polski reżyser, Michał Waszyński, dostał ofertę nakręcenia filmu dla wytwórni Feniks. Miała to być ekranizacja głośnego dramatu „Dybuk" żydowskiego pisarza Szymona An-skiego, a produkcja miała uratować wytwórnię przed bankructwem. Feniks miał bowiem 280 tys. zł długu, a banki odmawiały kredytu. Gdy jednak okazało się, że nawiązano współpracę z Waszyńskim, firma dostała 100 tys. zł pożyczki. W świecie finansowym Waszyński uchodził bowiem za gwarancję sukcesu. Wprawdzie pochodził z rodziny żydowskiej, ale odcinał się od korzeni i na pokaz zachowywał się jak rasowy Polak katolik.

Tradycja własnego narodu wciąż w nim jednak tkwiła i ekranizując dramat An-skiego, chciał zmierzyć się z własnymi demonami. Wydaje się bowiem, że część jego osobowości tak naprawdę nigdy nie opuściła sztetlu w Kowlu, gdzie się urodził. Jednak pracując z aktorami teatrów żydowskich, korzystał z pomocy tłumaczy, udając, że nie zna jidysz.

Film nie był wyłącznie ilustracją przesądów kultury żydowskiej kresowych miasteczek Rzeczypospolitej. Sztetl Waszyńskiego miał mistyczny wymiar tamtejszej społeczności, jej oczekiwań, lęków i obsesji. Zapewne też fobii samego reżysera i być może dlatego żydowskie miasteczko na ekranie sprawiało wrażenie cmentarza.

Obraz spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, a gdy w Sfinksie, jednym z największych stołecznych kin, rozpoczęto wyświetlanie z polskimi napisami, przez trzy miesiące brakowało wolnych miejsc. Jeszcze większy sukces „Dybuk" odniósł we Francji i w USA. Filmu nie mógł zignorować minister propagandy III Rzeszy, Joseph Goebbels. Czuły na wszystko, co dotyczyło wrogów świata aryjskiego, podzielił się wrażeniami z partyjnymi towarzyszami. „Pokaz filmu »Dybuk« w wąskim gronie – mówił – potwierdził słuszność mojego przekonania, że rasa żydowska jest najniebezpieczniejsza i że nie można jej okazywać słabości i współczucia. Tej hołoty trzeba się pozbyć raz i na zawsze".

Goebbels znał się na kinie i kiedyś po obejrzeniu „Pancernika »Potiomkina«" Eisensteina uznał, że po jego projekcji można stać się prawdziwym bolszewikiem. Oba obrazy do dziś znajdują się w każdym poważnym leksykonie sztuki filmowej na poczesnym miejscu… ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

Ukształtować Episkopat po swojemu



Rafał Łatka

Kardynał Stefan Wyszyński liczył, że śmierć Józefa Stalina spowoduje zmniejszenie antykościelnej ofensywy władz. Tak się jednak nie stało i prymas przystąpił do stanowczej obrony niezależności Kościoła. W kazaniu wygłoszonym w Warszawie 4 kwietnia 1953 r. wyraził się jednoznacznie, że tam, gdzie kapłaństwo jest w niewoli, nie ma wolności sumienia, a wszelkie próby uzależnienia duchownych od władzy państwowej są zamachem na podstawowe wolności człowieka



Kardynał Stefan Wyszyński podczas obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski w Opolu i Kamieniu Śląskim, 14 sierpnia 1966 r. FOT. NAC

Komuniści w całym bloku wschodnim znajdującym się pod dominacją Związku Sowieckiego wytrwale dążyli do pełnego podporządkowania sobie Kościołów i związków wyznaniowych. Wynikało to z braku jakiejkolwiek tolerancji dla instytucji niezależnych od ich władzy oraz z chęci kształtowania ludzkich postaw, stworzenia „nowego człowieka". Jednym z kluczowych narzędzi ubezwłasnowolnia duchowieństwa było przejęcie kontroli nad kościelną hierarchią i przy jej użyciu stworzenie Kościoła podporządkowanego państwu. Działano tu zgodnie ze słynną dewizą Józefa Stalina: „Nie sztuką jest zamknąć prymasa, sztuką jest mieć swojego prymasa". W taki zresztą sposób ukształtowano Cerkiew prawosławną w państwie sowieckim, dzięki ścisłej kontroli stała się ona narzędziem politycznym w rękach komunistów. Analogiczne cele przyświecały także polskim towarzyszom i o tym, jak te próby wyglądały i czy były one skuteczne, będzie właśnie poniższy artykuł.

KLUCZOWE RUCHY KARD. HLONDA

Władze Polski „ludowej" w pierwszych latach swoich rządów wstrzymywały się z antykościelną ofensywą. Wynikało to z dwóch głównych czynników: konieczności zniszczenia podziemia niepodległościowego oraz ustabilizowania swojej władzy. Dopiero po zrealizowaniu tych dwóch celów zamierzano przejść do niszczenia Kościoła. Zrobiono wszak jeden ważny wyjątek i już w 1945 r. komuniści jednostronnie zerwali konkordat między Polską a Stolicą Apostolską (winiąc zresztą za to Watykan). Nie przewidzieli jednak jednej ważnej dla siebie konsekwencji, czyli utraty wpływu na nominacje biskupie, gdyż takie uprawnienia dawała wspomniana umowa ze Stolicą Apostolską (i w kilku przynajmniej przypadkach władze sanacyjne z niej skorzystały w latach 1926–1939).

eprasa.pl 65c5a5f024

Sytuację szybko i sprawnie wykorzystał kard. August Hlond, który w ciągu trzech lat nie tylko dokonał reorganizacji administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych (powołując administratorów apostolskich bez konsultacji z władzami w 1945 r.), lecz także doprowadził do obsadzenia wielu wakujących stolic biskupich oraz uporządkowania struktur Kościoła w centralnej i wschodniej Polsce. W latach 1946–1948 prymas Polski konsekrował 10 nowych biskupów: Stefana Wyszyńskiego, Wacława Majewskiego, Zygmunta Choromańskiego, Franciszka Korszyńskiego, Ignacego Świrskiego, Kazimierza Józefa Kowalskiego, Lucjana Bernackiego, Michała Klepacza, Mariana Jankowskiego oraz Władysława Suszyńskiego. Nie trzeba dodawać, że wielu z nich, a szczególnie Wyszyński, Choromański i Klepacz, odegrało potem niezwykle ważne role w polskim Kościele. Kardynał Hlond w swoich działaniach korzystał z szerokich uprawnień specjalnych udzielonych przez Stolicę Apostolską w 1945 r. Prymas Polski powołał także do życia Komisję Główną Episkopatu Polski oraz stopniowo wypracowywał jedność w działaniu polskich biskupów. Było to szczególnie istotne w zakresie stosunku do komunistycznego państwa i wobec jego wielu wrogich wobec Kościoła działań.

PIERWSZE LATA DZIAŁALNOŚCI PRYMASA WYSZYŃSKIEGO

13 października 1948 r. kard. Hlond nagle zachorował. Choroba szybko postępowała i dziewięć dni później prymas zmarł. Jego następcą Stolica Apostolska nominowała bp. Stefana Wyszyńskiego. Stało się tak zgodnie z ostatnią wolą kard. Hlonda – informacje w tej sprawie przekazał do Watykanu ks. Antoni Baraniak (w przyszłości również kluczowa postać dla Kościoła w Polsce). Stało się to bez wpływu komunistów. Nowy młody prymas kontynuował w swoich działania linię swojego poprzednika, korzystając również z uprawnień specjalnych otrzymanych z Watykanu. Tak też było w kwestii nominacji biskupich. Zgodnie z ustaleniami bp. Jana Kopca abp Wyszyński miał już wpływ na powołanie na biskupa łomżyńskiego ks. Czesława Falkowskiego, do czego doszło 24 lutego 1949 r. (zaledwie trzy tygodnie po ingresie prymasowskim do Gniezna). W kolejnych dwóch latach Prymas Tysiąclecia przeprowadził jeszcze dwie ważne nominacje biskupie, dla ks. Piotra Kałwy jako ordynariusza lubelskiego (czerwiec 1949 r.) i dla ks. Zdzisława Golińskiego, który został biskupem częstochowskim (w 1951 r.).

Władze Polski „ludowej" nie zamierzały jednakże ułatwiać w żaden sposób działania abp. Wyszyńskiego w zakresie kościelnych nominacji. Z tego względu bp Antoni Pawłowski, kreowany w 1950 r. na ordynariusza włocławskiego, sakrę biskupią mógł przyjąć dopiero dwa lata później. W 1951 r. komuniści usunęli administratorów apostolskich na Ziemiach Zachodnich i Północnych (mianowanych przez kard. Hlonda sześć lat wcześniej) i zmusili miejscowe kapituły do wyboru na wikariuszy kapitulnych duchownych spolegliwych wobec władz np. ks. Kazimierza Lagosza we Wrocławiu. Działo się to zgodnie z obłudną maksymą kierownika Urzędu do spraw Wyznań Antoniego Bidy, że „tymczasowość watykańska zostanie zastąpiona tymczasowością naszą". Prymas w obawie o schizmę w polskim Kościele zdecydował się zaakceptować tę sytuację, choć bez wątpienia nie była to łatwa decyzja.

Rządzący Polską „ludową" bynajmniej się tym ustępstwem abp. Wyszyńskiego nie zadowolili. Świadczą o tym wyraźnie: niedopuszczenie do funkcji o. Wojciecha Turowskiego, mianowanego w 1951 r. koadiutorem w diecezji częstochowskiej; wypędzenie z diecezji katowickiej trzech biskupów rok później (bp. Stanisława Adamskiego i jego sufraganów); internowanie abp. Eugeniusza Baziaka – ordynariusza krakowskiego oraz bp. Stanisława Rosponda i wreszcie aresztowanie i proces ordynariusza kieleckiego bp. Czesława Kaczmarka (skazanego w 1953 r.). Prymas szedł na pewne ustępstwa w tych sprawach, uważając, że mimo tych wrogich działań komunistów uda mu się wypracować swego rodzaju modus vivendi z rządzącymi Polską „ludową". Wszelkie złudzenia w tym zakresie stracił jednak w lutym 1953 r., gdy komuniści zdecydowali się wydać dekret o obsadzie stanowisk kościelnych, uzależniający każdą nominację od biskupa do wikariusza w parafii od zgody władz PRL. Kardynał Wyszyński liczył, że śmierć Józefa Stalina spowoduje zmniejszenie antykościelnej ofensywy władz.

Tak się jednak nie stało i prymas przystąpił do stanowczej obrony niezależności Kościoła. W kazaniu wygłoszonym w Warszawie 4 kwietnia 1953 r. wyraził się jednoznacznie, że tam, gdzie kapłaństwo jest w niewoli, nie ma wolności sumienia, a wszelkie próby uzależnienia duchownych od władzy państwowej są zamachem na podstawowe wolności człowieka. W dalszej części wystąpienia stwierdził, że Kościół „musi bronić i bronić będzie – nawet do oddania własnej krwi – wolności kapłaństwa Chrystusowego, bo ta obrona oznacza obronę wolności waszego sumienia, bo ta obrona oznacza zarazem obronę głębin kultury ducha". W tym samym duchu przygotował podpisany przez wszystkich biskupów memoriał skierowany do rządu PRL w maju 1953 r., nazywany trafnie „Non possumus". Uchwalono go 8 maja w czasie obrad Episkopatu w Krakowie w przededniu 700-lecia kanonizacji św. Stanisława (10 maja). Zatem ani data, ani miejsce nie były przypadkowe. W dokumencie wyliczono najważniejsze bezprawne ograniczenia i represje wymierzone w działalność Kościoła, czego kulminacją był dekret o obsadzie stanowisk kościelnych. W konkluzji dokumentu podkreślano jednoznacznie: „A gdyby zdarzyć się miało, że czynniki zewnętrzne będą nam uniemożliwiały powoływanie na stanowiska duchowne ludzi właściwych i kompetentnych, jesteśmy zdecydowani nie obsadzać ich raczej wcale, niż oddawać religijne rządy dusz w ręce niegodne. Kto by zaś odważył się przyjąć jakiekolwiek stanowisko kościelne skądinąd, wiedzieć powinien, że popada tym samym w ciężką kościelną karę klątwy […]. Rzeczy Bożych na ołtarzach cesarza składać nam nie wolno. Non possumus".

Decyzja o wysłaniu przez Episkopat memoriału do władz, działania prymasa podtrzymujące twarde stanowisko wobec kolejnych żądań władz oraz brak zgody na potępienie skazanego w procesie pokazowym bp. Kaczmarka doprowadziły ostatecznie do internowania kard. Wyszyńskiego. Prymas został pozbawiony wolności w nocy z 25 na 26 września 1953 r. i przebywał w izolacji do października 1956 r. W tym czasie pozostali biskupi działali w zastraszeniu i stosowali

eprasa.pl 65c5a5f024

bierny opór, jeśli chodzi o stosowanie dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych (np. nie podejmując decyzji dotyczących obsady parafii, jak czynił bp Jan Kanty Lorek). Były jednak też takie kurie diecezjalne – jak np. wrocławska czy katowicka znajdujące się po usunięciu prawowitych biskupów pod właściwie pełną kontrolą władz – gdzie awanse otrzymywali „księża patrioci".

ZASADA „TERNO"

Kardynał Wyszyński internowanie opuścił w październiku 1956 r. Stało się to na jego warunkach, a władze spełniły najważniejsze przedstawione przez niego postulaty. Wśród nich dwa dotyczyły biskupów: powrót do diecezji wszystkich ordynariuszy usuniętych przez komunistów (co stało się w okresie od października 1956 do stycznia 1957 r.) oraz zniesienie dekretu z lutego 1953 r. o obsadzie stanowisk kościelnych. Wspomniany akt prawny zastąpiono znacznie łagodniejszym dekretem z 31 grudnia 1956 r. W zakresie nominacji biskupich wprowadzał on procedurę „terno", która polegała na milczącej zgodzie władz na jednego z trzech kandydatów prezentowanych im przez kard. Wyszyńskiego. Po opinii wyrażonej w ciągu miesiąca przez Urząd do spraw Wyznań następowało już oficjalne powołanie na funkcje biskupią przez Stolicę Apostolską.

Dekret z 31 grudnia 1956 r. wprowadzał w zakresie nominacji biskupich procedurę „terno", która polegała na milczącej zgodzie władz na jednego z trzech kandydatów prezentowanych im przez kard. Wyszyńskiego

Wspomniana procedura funkcjonowała w latach 1956–1978. Dzięki temu kompromisowi – jak wynika z ustaleń bp. Kopca – prymas przeprowadził aż 120 nominacji biskupich w ciągu wspomnianych 23 lat. Pierwsze z nich nastąpiły 12 grudnia 1956 r. i dotyczyły rządców diecezji na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Wśród kolejnych z nich jako najważniejsze można wymienić np. mianowanie ks. Karola Wojtyły biskupem pomocniczym krakowskim w 1958 r., a sześć lat później arcybiskupem metropolitą krakowskim; kreowanie arcybiskupem poznańskim bp. Antoniego Baraniaka w 1957 r.; nominacje na biskupa pomocniczego w Warszawie ks. Bronisława Dąbrowskiego w 1961 r. czy też ks. Ignacego Tokarczuka na ordynariusza przemyskiego w 1965 r. Prymasowi wśród tych 120 nominacji zdarzyły się tylko trzy błędne decyzje, wskazanie ks. Bogdana Sikorskiego na ordynariusza płockiego w 1964 r., ks. Bolesława Pylaka na biskupa lubelskiego w 1996 r. oraz ks. Henryka Gulbinowicza na administratora apostolskiego w Białymstoku (w 1970 r.), a następnie na metropolitę wrocławskiego (pod koniec 1975 r.). Każdy z tych hierarchów miał na koncie problemy obyczajowe oraz prezentował spolegliwą wobec władz postawę. W przypadku bp./abp. Gulbinowicza były to jeszcze tajne rozmowy z funkcjonariuszami SB trwające 16 lat (w latach 1969–1985). Metropolita wrocławski zmienił swoją postawę na przełomie lat 1980–1981 i wsparł Solidarność, ale rozmowy z bezpieką przerwał dopiero po swojej nominacji kardynalskiej.

WYKORZYSTAĆ PAPIEŻA POLAKA

Komuniści z punktu widzenia swoich interesów popełnili co najmniej dwa fundamentalne błędy, gdy zgodzili się na to, by metropolitą krakowski został późniejszy papież bp Wojtyła oraz gdy nie zdążyli wyrazić sprzeciwu przy nominacji ks. Tokarczuka, który jako ordynariusz zasłynął najbardziej antykomunistycznym stanowiskiem i zdecydowaną walką o nowe kościoły w diecezji przemyskiej. Władze PRL kilkukrotnie próbowały łamać zasadę „terna", próbując czy to opóźniać nominacje biskupie dla duchownych ocenianych przez nie jako wrogich, czy też narzucać swoich kandydatów. Tak było w kwestii następcy bp. Kaczmarka w Kielcach bp. Jana Jaroszewicza, który mógł swoją funkcję objąć dopiero cztery lata po śmierci swojego poprzednika (czyli w 1967 r.). Kolejny przykład to niemal półtoraroczne opóźnienie zgody na nominację bp. Jerzego Stroby na metropolitę poznańskiego (lata 1977–1978). I wreszcie najbardziej spektakularny przykład, którym był spór państwo – Kościół o nominację metropolity wrocławskiego po śmierci kard. Bolesława Kominka trwający ponad dwa lata. Komuniści nie tylko odrzucili dwa kolejne „terna" przedstawione przez kard. Wyszyńskiego, lecz także przedstawili swoich kandydatów. Ostatecznie konflikt zakończyła zgoda władz na nominacje bp. Gulbinowicza, którego oceniano jako spolegliwego i – co najważniejsze – prowadzącego za plecami Episkopatu Polski tajny dialog z SB.

Umowa dotycząca realizacji procedury „terno" skończyła się, gdy kard. Karol Wojtyła został papieżem. Jako pierwszego z jej pominięciem wybrano następcę Ojca Świętego na metropolii krakowskiej ks. Franciszka Macharskiego (stało się to 31 grudnia 1978 r.). Władzom tylko zakomunikowano ten fakt i komunistom pozostało to milcząco zaakceptować, gdyż po tym, gdy Polak został papieżem, na forum KC PZPR przyjęto pragmatyczną strategię wykorzystywania osoby papieża do poprawy wizerunku Polski „ludowej" za granicą. Bardzo szybko, bo już w 1979 r. doszło do kolejnej ważnej nominacji biskupiej zrealizowanej bez udziału władz PRL. 3 marca 1979 r. ordynariuszem warmińskim został ks. Józef Glemp, wcześniej odrzucony przez komunistów jako kandydat na metropolitę wrocławskiego (w roku 1975) i arcybiskupa poznańskiego (w roku 1977), późniejszy prymas Polski. Nominacja abp. Macharskiego zakończyła możliwości wpływania przez władze PRL na obsadę stanowisk biskupich i mimo że system komunistyczny istniał jeszcze w Polsce dekadę, to biskupi byli już w pełni suwerennie wskazywani na swoje funkcje przez Watykan. Warto w tym miejscu dodać, że konkordat zawarty między Stolicą Apostolską a rządem III RP w roku 1993, a następnie ratyfikowany i ogłoszony w 1998 r., przywrócił wpływ władz na nominacje biskupie w Polsce.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i politologiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 65c5a5f024

AWARIA CZUJNIKA

Chwile grozy przeżyli pasażerowie karuzeli Predator – jednej z wielu atrakcji Oktoberfestu w Monachium. W pewnym momencie koło się zatrzymało. Około 40 osób zawisło głową w dół 16 metrów nad ziemią. Nerwowy śmiech przerodził się w panikę. Nie obyło się bez wymiotów. Tymczasem pracownicy obiektu desperacko grzebali w skrzynce elektrycznej. Okazało się, że przyczyną incydentu była awaria czujnika. Gdy służby ratunkowe przybyły na miejsce, pasażerowie byli już na dole.



FOT. PREDATOR KAISER - TOP STAR TOUR/FACEBOOK

W KOMINIARKACH

Właściciel sklepu w Bournemouth (Anglia) od lat publikuje w mediach społecznościowych nagrania, na których zarejestrowane są przypadki kradzieży w jego lokalu. Około połowy złapanych złodziei wraca potem, by przeprosić i zapłacić. Ostatnio jednak sprzedawcę zszokował – również zarejestrowany – przypadek małych dzieci w czarnych kominiarkach, które najpierw ukradły towary ze sklepu, a potem zaniosły je swoim rodzicom. Ci zaś za ten czyn je pochwalili. Wyglądało to tak, że dzieci zostały przez rodziców do kradzieży „wyszkolone".

BEZ BUTÓW

Ramabai Ranveer, 47-letnia wdowa z Maharasztry w Indiach, wygrała boso trzykilometrowy bieg charytatywny Amrit Daud. Kobieta nie przeszła żadnego treningu. Nie miała odpowiednich butów, więc pobiegła w klapkach. Gdy te jej spadały, zdjęła je, podciągnęła sari i ruszyła, żeby znaleźć się na mecie pierwsza w kategorii wiekowej 30–60 lat. Nagroda równowartości ok. 30 dol. miała jedynej żywicielce rodziny pomóc w zakupie książek i materiałów do nauki dla dwóch córek.

BIJATYKA

Do dramatycznej bójki doszło na pokładzie samolotu lecącego ze Srihotto (Bangladesz) do Londynu. Zaczęło się od kłótni dwóch pasażerów, której przyczyna pozostaje nieznana. Kiedy bijatyka już trwała, inne osoby (zarówno mężczyźni, jak i kobiety) wyskoczyły z foteli, żeby ją przerwać. Na pokładzie maszyny były dzieci, na których oczach dramat się rozgrywał. Wreszcie do akcji wkroczyła załoga samolotu i dopiero wtedy udało się sytuację opanować.

TRUCIZNA

W Hamburgu aresztowano 42-letnią kobietę pod zarzutem usiłowania morderstwa. Wcześniej, na początku czerwca, wysłała ona pocztą do 20-letniego syna mężczyzny, z którym była związana w przeszłości, paczkę z czekoladkami. Tyle że słodycze były nasączone mocno toksyczną substancją – azotanem talu. Na szczęście młody człowiek uznał przesyłkę za podejrzaną i wezwał policję. Groźna trucizna została zabezpieczona w specjalnym pojemniku przez straż pożarną. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Mercedes do zamknięcia?

Mercedes-Benz. Jedna z najbardziej rozpoznawalnych niemieckich marek, którą za luksus i prestiż cenili już Adolf Hitler i Hermann Göring, wpadła w poważne tarapaty.

Przedstawiciele spółki wprost ogłosili w ubiegłym tygodniu, że produkcja w Niemczech nie jest konkurencyjna, biorąc pod uwagę standardy międzynarodowe. Szef produkcji Michael Schiebe ostrzegł zaś, że dwóm fabrykom koncernu w Niemczech – montowni samochodów oraz zakładowi wytwarzającemu układy napędowe – grozi zamknięcie, jeśli zarząd nie dojdzie do porozumienia ze związkowcami. Chodzi nie tylko o płace (menedżerowie chcą wydłużenia czasu pracy z 35 do 38 godzin tygodniowo bez zwiększania wynagrodzeń), lecz także o wydajność (zarząd mówi wprost, że niemieccy pracownicy muszą produkować więcej w tym samym czasie, bo np. w zakładzie w Kecskemét na Węgrzech koszty są o ok. 70 proc. niższe).

Zapowiedź dotycząca możliwości zamknięcia fabryk zbiegła się – zapewne nie przez przypadek – z wielkim protestem pracowników przemysłu motoryzacyjnego w Niemczech. Przeciwko kolejnym cięciom zatrudnienia i niemieckiej polityce przemysłowej protestowali zatrudnieni w takich spółkach jak Mercedes-Benz, BMW, Volkswagen czy Bosch.

Niemiecki przemysł dobijają rosnąca konkurencja ze strony Chin, słaby popyt krajowy oraz amerykańskie cła. O skali kryzysu może świadczyć fakt, że od stycznia akcje Mercedes-Benz i Volkswagena już straciły ponad 30 proc. Volkswagen jest wart najmniej od 16 lat, przez co właśnie wyrzucono go z prestiżowego paneuropejskiego indeksu giełdowego Euro Stoxx 50. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



Maciej Pieczyński

Ukraińcy za pokojem

Nie wszyscy nad Dnieprem są gotowi bronić kraju za wszelką cenę. Coraz donośniej wybrzmiewa głos ukraińskich influencerów, popierających pokój, nawet jeśli będzie on oznaczać ustępstwa wobec Rosji

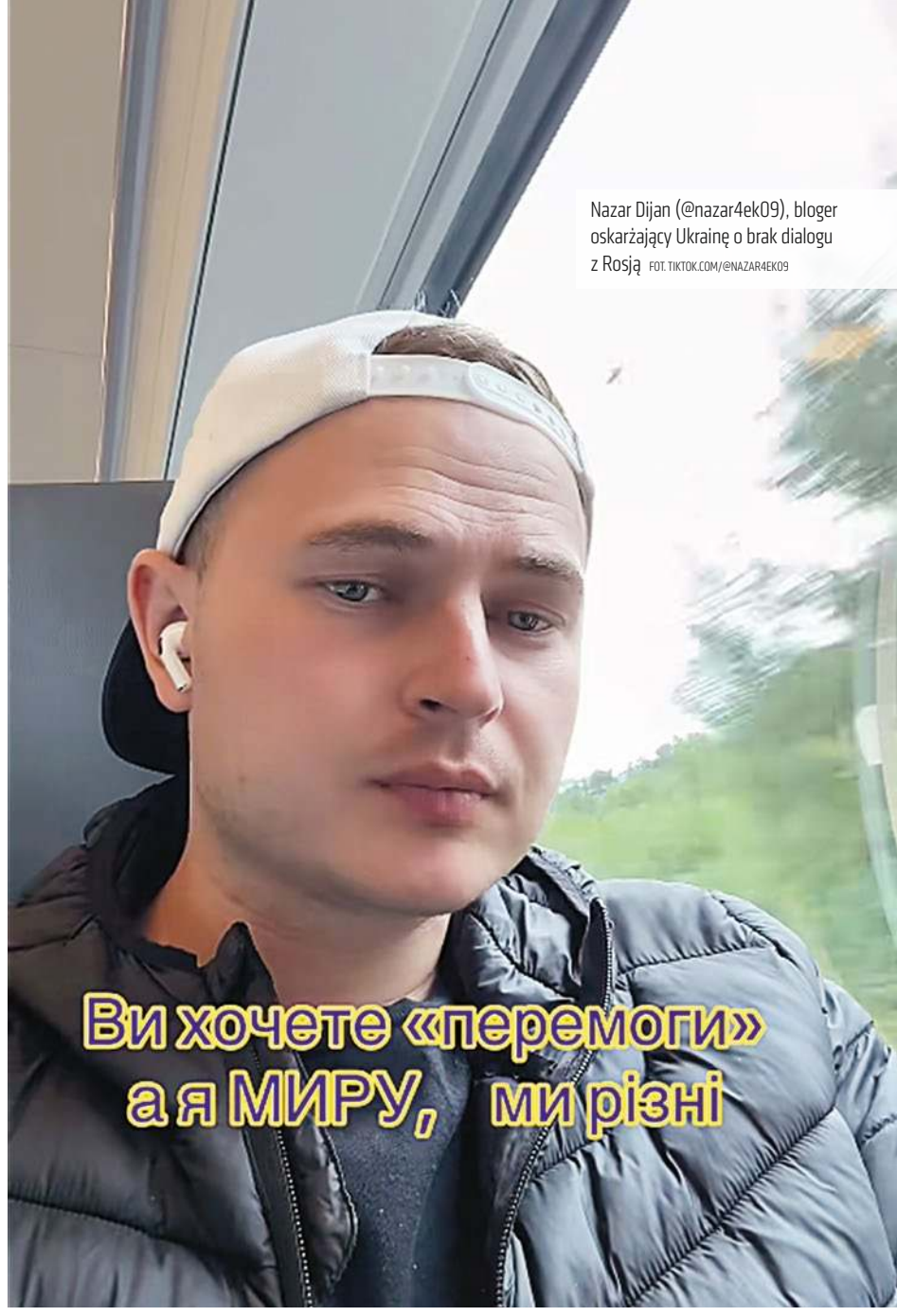

Nazar Dijan (@nazar4ek09), bloger oskarżający Ukrainę o brak dialogu z Rosją FOT. TIKTOK.COM/@NAZAR4EK09

Na Ukrainie rośnie niezadowolenie z rządów Zełenskiego. Tego rodzaju nastroje często łączą się z postulatem podjęcia rozmów z Moskwą, a w efekcie – zgodą na oddanie ziemi za pokój. Najbardziej znanymi rzecznikami takiej postawy są byli współpracownicy Zełenskiego – Julia Mendel i Ołeksij Arestowycz, ostro krytykowani przez mainstream ukraińskiej opinii publicznej. Jednak do tych dwóch nazwisk niezadowolenie ze sposobu prowadzenia wojny się bynajmniej nie ogranicza. Ukraiński Internet pełen jest blogerów, którzy nie zajmują się na co dzień polityką, a jednak propagują wśród swoich fanów poglądy antywojenne.

„Potrzebny jest pokój, trzeba zatrzymać wojnę" – z takim hasłem pod koniec sierpnia do swoich obserwujących na TikToku zwrócił się Nazar Dijan, prowadzący konto o nazwie NazarCzek (nick @nazar4ek09). W tym samym nagraniu bloger oskarżył rządzących Ukrainą o świadome uchylanie się od dialogu z Federacją Rosyjską. Nawiązując do rozpowszechnionego przekonania, w którego myśl „z władzami moskiewskimi nie można się dogadać", zadaje retoryczne pytanie: „A próbowaliście? Próbowaliście prawdziwych, realnych negocjacji, żeby nie dopuścili do tego wszystkiego?". W lipcu 2026 r. we Lwowie doszło do ulicznych starć między funkcjonariuszami TCK a mieszkańcami miasta, sprzeciwiającymi się przymusowej mobilizacji. Co więcej, Dijan powiedział, że demonstrujący młodzi mężczyźni „nawet tych TCK-owców tam nie pozabijali na miejscu, chociaż powinni byli i mieliby rację". Nagranie z pochwałą linczu zdobyło w krótkim czasie 502 tys.

eprasa.pl 65c5a5f024

wyświetleń. W kolejnym filmiku Dijan kontynuował tę myśl, nazywając uczestników zajść „bohaterami". Tym razem ze słabszym skutkiem. Drugie nagranie zdobyło „jedynie" 112 tys. wyświetleń. To i tak bardzo dużo w kraju, który – jeśli wierzyć oficjalnej narracji jego rządzących – jest monolitem. Co ciekawe, Dijan jest krytyczny nie tylko wobec Wołodymyra Zełenskiego i jego ekipy, lecz także wobec samego społeczeństwa. „Nie jesteście narodem miłującym wolność" – wytykał swoim rodakom bloger. W ten sposób chciał ich jednak zmobilizować, aby pokazali, jak bardzo się mylili, i jednak wyszli na ulicę.

Jego popularność szybko rośnie. Wyniki antywojennego blogera skrupulatnie odnotowuje ukraiński portal Texty.org.ua, zajmujący się m.in. analizą tamtejszych mediów społecznościowych. W tygodniu między 6 a 12 lipca Dijana obserwowało na TikToku ok. 71 tys. osób. W tym czasie bloger nagrał sześć krótkich filmów poświęconych tematyce przymusowej mobilizacji, zarazem wzywających Ukraińców do oporu. Łącznie zebrały one ok. 756 tys. wyświetleń. Już pod koniec sierpnia Dijan mógł się pochwalić liczbą 538 tys. obserwujących. Widać wyraźnie, że w ukraińskim Internecie istnieje coraz większe zapotrzebowanie na tego rodzaju przekaz.

KRYTYKA UKRAIŃSKICH WŁADZ

A przecież Nazar Dijan nie jest rosyjskojęzycznym „żdunem" z Donbasu, czekającym na „wyzwolenie" przez Rosję. Nie jest też wieloletnim wyborcą ugrupowań typu Partia Regionów, z rozrzewnieniem wspominającym czasy Związku Sowieckiego. O jego życiu prywatnym wiadomo niewiele. A jednak wystarczająco dużo, by skonstatować, że nie jest to typowy zwolennik porozumienia z Moskwą. Przede wszystkim swoje antywojenne tiktoki Nazar nagrywa po ukraińsku. Nie pochodzi z rosyjskojęzycznego południa czy wschodu, tylko z obwodu lwowskiego. Jak przyznaje sam Dijan, w jego przypadku niechęć do TCK wynika z własnego doświadczenia. Sam w 2024 r. miał zostać „porwany" przez funkcjonariuszy tej służby.

Co ciekawe, NazarCzek krytykuje ukraińskie władze nie tylko za mobilizację czy niechęć do zawarcia pokoju z Rosją, lecz także za eskalowanie napięć w relacjach z Warszawą. Komentując skandal wokół odebrania Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego, bloger ironicznie proponował, by w ramach pocieszenia ustanowić, specjalnie dla ukraińskiego prezydenta, Order Zielonego Koguta [nawiązanie do nazwiska – przyp. red.] z podpisem: „Bo nie uciekł" [ukr. bo ne wtik – popularny na Ukrainie żart, oparty na stwierdzeniu, że odmowa ucieczki z kraju na początku wojny to jedyna zasługa głowy państwa – przyp. red.]. Dijan sugerował też ukraińskim władzom, że powinny być konsekwentne w swojej dumie i oddać Polsce wszystkie otrzymane od niej pieniądze. W jeszcze innym nagraniu połączył trzy wątki: historię ukraińskiego pogranicznika, który strzelał do uciekającego przez granicę na paralotni ukraińskiego mężczyzny; wezwanie do oddania pieniędzy Polakom oraz awanturę o Order Orła Białego. W gorzkim podsumowaniu stwierdza: „Otoczyliśmy się już nieprzyjaznymi krajami, a jeszcze chcemy się popisywać. Może jednak coś jest z nami nie tak, skoro wszyscy są źli".

„Jeśli istnieje teraz możliwość porozumienia pokojowego, żeby choć przez pół roku pożyć w spokoju, to trzeba to zrobić"

ZIEMIE ZA ŻYCIE

Nazar Dijan nie jest jedynym influencerem z zachodniej, czyli teoretycznie bardziej „patriotycznej" Ukrainy, który krytykuje działania swoich władz i opowiada się za rozmowami z Rosją. „Jak wy, ku.wa, męczycie z tymi swoimi ziemiami. Ile istnień zabrała już ta wojna, ilu rodziców pochowało swoje dzieci… Nie wiem, skąd macie czelność jeszcze mówić o jakichś ziemiach" – oburzała się w listopadzie 2025 r. Bońka, tiktokerka z Iwano-Frankiwska. Miała wtedy 746 tys. obserwujących. W cytowanym nagraniu młoda dziewczyna wzywała do zawarcia pokoju z Rosją. Pod filmikiem rozgorzała dyskusja między zwolennikami a przeciwnikami rozmów z Moskwą. W kolejnym tiktoku Bońka powtórzyła i rozwinęła swoją argumentację: „Najważniejsze jest teraz dla nas ratowanie życia ludzkiego. Żeby chłopcy i dziewczęta, którzy bronią naszego kraju, mogli wrócić żywi do domów, do swoich rodzin, żeby dzieci i cywile nie ginęli każdego dnia pod ostrzałem – mówiła influencerka. – Jeśli istnieje teraz możliwość podpisania porozumienia pokojowego, żeby choć przez pół roku czy rok pożyć w spokoju i żeby ludzie mogli zobaczyć swoje rodziny, to trzeba to zrobić. Później oczywiście należy odzyskać nasze ziemie. Mam nadzieję, że będzie można to zrobić drogą dyplomatyczną, żeby Ukraińcy nie ginęli każdego dnia".

„Nasza władza nie chce zakończenia wojny" – twierdzi tiktokerka Jewhenija Karimowa, w świecie off-line agentka nieruchomości z Kijowa. Inaczej niż Bońka i Dijan filmiki nagrywa po rosyjsku. Texty.org.ua odnotowały na początku września pięć nagrań Karimowej (zsumowana oglądalność: ok. 245 tys. odsłon), w których blogerka poruszała temat negocjacji pokojowych. Opowiedziała się w nich za teorią, w myśl której podczas rozmów w Stambule w 2022 r. Zełenski pod presją Wielkiej Brytanii odrzucił zaproponowane przez Rosję warunki zakończenia wojny. „Uważam, że ludzie, którzy zawłaszczyli władzę, odmówili pokoju" – przekonuje Karimowa. Pyta też retorycznie, jakim prawem jedno państwo decyduje za inne państwo, czy ma ono ochotę dalej walczyć.

MŁODZI GNIEWNI

Bloger z Chersonia, na Instagramie funkcjonujący pod nickiem appsurd_ua, nagrywa i publikuje krótkie filmy animowane, krytyczne wobec działań władz. Często mają one charakter gorzkiej satyry. Fabuła jednego z nich jest następująca. Dwóch młodych Ukraińców zamierza uciec z kraju. Spotykają funkcjonariuszy TCK. Na ich służbowym samochodzie do nazwy służby dopisano słowo „nie". Jeden z „uchylantów" daje się więc nabrać, że nie mają do czynienia z funkcjonariuszami, tylko z ludźmi, którzy pomogą im przekroczyć granicę. Ostatecznie obaj niedoszli uciekinierzy zamiast do Europy trafiają na front.

Kilka tygodni temu na Ukrainie zrobiło się głośno o Karinie Marienko. Instagramerka, obserwowana przez

eprasa.pl 65c5a5f024

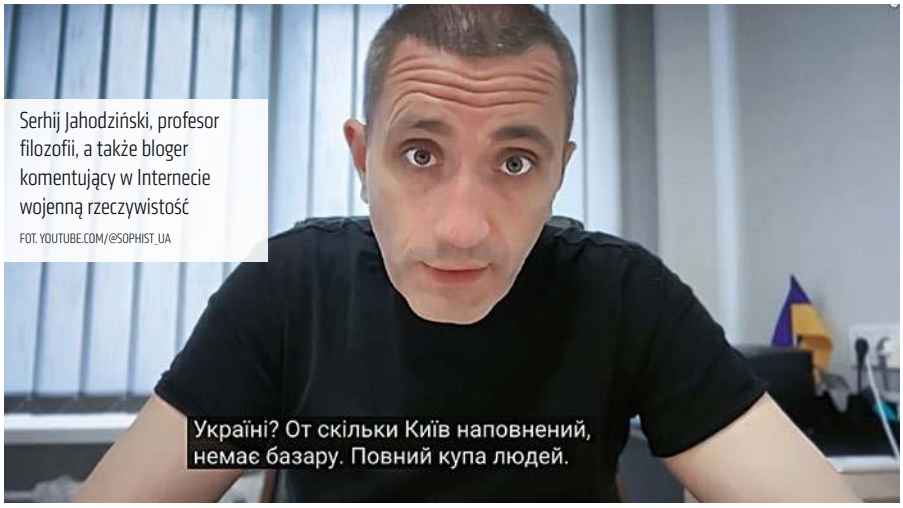

Serhij Jahodziński, profesor filozofii, a także bloger komentujący w Internecie wojenną rzeczywistość

FOT. YOUTUBE.COM/@SOPHIST_UA

82,4 tys. internautów, przedstawia się jako „ikona bezpośredniości". Zgodnie z tą autoprezentacją swoje poglądy na działania władz w Kijowie wyraża w ostrych słowach, przy czym, co istotne, po ukraińsku: „Jestem je.aną zdrajczynią. Ukraińscy patrioci już zdecydowali, gdzie jest moje miejsce. W życiu codziennym rozmawiam po rosyjsku. Krytykuję władzę ukraińską, mówię, że TCK zabija. Nie chcę, by mężczyźni byli napie.dalani, katowani w piwnicach. Mówię o korupcji. A poza tym jestem na tyle bezczelna, że nie przepraszam za swoje poglądy" – ten wideokomentarz blogerki to niemal credo typowego przeciwnika ukraińskich władz.

Podobnym przypadkiem jest instagramer o nicku _toscho_, obserwowany przez ponad 22 tys. osób. W jednym z niedawno opublikowanych nagrań komentuje kolejną optymistyczną wypowiedź Zełenskiego, w której prezydent Ukrainy zapewnia, że ma plan, jak zmusić Putina do zakończenia wojny. Przypomina, że takich planów było już mnóstwo. I żaden z nich nie wypalił. Zełenski, według blogera, podpisał „od chu.a umów" i zawarł „dziesięć tysięcy koalicji", które niczego Ukrainie nie dały. „A gdzie rezultaty? Oto rezultaty: puste półki w sklepach. Raszka [pogardliwie o Rosji – przyp. red.] zbombardowała magazyny i teraz nie ma Silpo [najpopularniejszy ukraiński supermarket – przyp. red.], nie ma towaru. Myślicie, że będzie coraz lepiej?! Nie mamy żadnej obrony przed rakietami balistycznymi, a ten świr (szyzoid), ludożerca, ludobójca (henocydszczyk) świadomie poszedł drogą eskalacji, wiedząc, że nie mamy czym się bronić" – grzmi instagramer, dodając przy tym, że nie jest w stanie powstrzymać swoich negatywnych emocji pod adresem ukraińskiego prezydenta. W tym samym nagraniu przekonuje, że władze w Kijowie zapomniały o swoich żołnierzach, którzy w okopach piją własny mocz (taka informacja pojawiła się w poważnych ukraińskich mediach). A tymczasem Zełenski „z łuku strzela, sztangi podnosi, w ping-ponga gra", a to wszystko w ramach kreowania swojego wizerunku silnego lidera. Instagramer dał do zrozumienia, że prezydent Ukrainy pod tym względem zachowuje się tak samo jak jego rosyjski odpowiednik, prężący muskuły podczas pokazowych treningów sportów walki. „Ta sama dyktatorska chu.nia" – komentuje. Zwalczanie języka rosyjskiego bloger nazywa „językowym debilizmem". A mówi to, co istotne, po ukraińsku. Jednocześnie zaznacza, że osobiście bardzo szanuje żołnierzy. _toscho_ oskarża też władze, że zamiast inwestować w bezpieczeństwo i dobrobyt obywateli, wydają ogromne sumy a to na produkcję nikomu niepotrzebnego patriotycznego filmu o ukraińskim reżyserze Ołeksandrze Dowżence, a to na pogrzeb Jewhena Konowalca.

„UKRAINA NIE JEST TARCZĄ EUROPY"

Powyżej wymienieni blogerzy to młodzi i bardzo popularni influencerzy, znani jednak głównie z tego, że są znani w Internecie. Nieco innym przypadkiem jest Serhij Jahodziński. Zanim podbił świat wirtualny, był znanym i cenionym akademikiem. Profesor filozofii. Prorektor Uniwersytetu Europejskiego w Kijowie. Rocznik 1979. Prowadzi konta na TikToku, Telegramie i YouTube, posługując się nickiem Sophist. Z pozostałymi blogerami łączy go to, że nie jest ekspertem ani od wojskowości, ani od polityki, ani od Rosji. Po prostu komentuje wojenną rzeczywistość, wyrażając osobiste poglądy. 21 września opublikował na Telegramie obszerny manifest, w którym opowiada się za pokojem. Czytamy w nim m.in.: „Ukraina nie jest tarczą Europy. Nie jest instrumentem geopolitycznym. Nie jest terytorium, na którym ktoś może sprawdzać własne strategie". Jahodziński nie apeluje wprost o ustępstwa wobec Rosji. Sugeruje natomiast, że Ukraina, zamiast realizować cudze (czytaj: zachodnie) cele geopolityczne, powinna dążyć przede wszystkim do fizycznego przetrwania – do zachowania biologicznej tkanki narodu.

Na początku września Jahodziński przekonywał wprost: „Można wynegocjować pokój. Naprawdę!". Zestawił ze sobą „dwóch Wołodymyrów/Władimirów" – Putina i Zełenskiego, którzy zamiast „żyć spokojnie", walczą niepotrzebnie o terytoria. Wcześniej, po kolejnych intensywnych bombardowaniach ukraińskich miast, kijowski profesor filozofii konstatował: „Jedno jest jasne. Trzeba rozpocząć proces negocjacyjny. Bez tego to się nie skończy".

„Pokojowi influencerzy" przez mainstreamowe media na Ukrainie przedstawiani są jako – mniej lub bardziej świadome swej roli – tuby propagandowe Kremla. Warto przy tym jednak zaznaczyć dwie rzeczy. Po pierwsze, widać wyraźnie, że w ukraińskim społeczeństwie rośnie zapotrzebowanie na głosy antywojenne czy antyeskalacyjne. Niezależnie od prawdziwych motywacji czy inspiracji blogerów Ukraińcy po prostu coraz chętniej chcą ich słuchać. Tworzy się pewnego rodzaju „drugi obieg" ukraińskiej opinii publicznej, niezależny od mediów tradycyjnych. Po drugie, wrzucenie tych internetowych komentatorów do worka z napisem: „Agenci Putina" jest nie tyle nawet niesprawiedliwe, ile po prostu nieuzasadnione. Większość z nich bowiem potępia Rosję za agresję. Antywojenni influencerzy nie mówią: „Poddajmy się Putinowi, bo on ma rację", tylko: „Nie mamy dłużej ochoty walczyć z agresorem, bo zbyt wiele na tej walce tracimy, a władza nie dba o nas, tylko o swoje portfele. Nie chcemy umierać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Tyraspol (na zdjęciu) to stolica nieuznawanej przez żadne państwo Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej FOT. ADOBE STOCK

Z Kamilem Całusem, ekspertem do spraw Naddniestrza z Ośrodka Studiów Wschodnich
rozmawia Piotr Włoczyk

Naddniestrze: pułapka Stalina i Putina

PIOTR WŁOCZYK: Naddniestrze, quasipaństwo separatystyczne utrzymywane przez Rosję, od ponad trzech dekad odgrywa w tym regionie Europy rolę jątrzącej się „rany". Ukraińcy mogliby w ciągu kilku dni zakończyć historię tego przedziwnego tworu. Dlaczego jeszcze tego nie zrobili?

KAMIL CAŁUS: Gdy kilka lat temu w Kijowie pojawiły się poważne głosy na rzecz siłowego rozwiązania kwestii Naddniestrza, władze mołdawskie były taką perspektywą mocno przestraszone. I przede wszystkim dlatego – z powodu oporu Kiszyniowa – nic się w tej sprawie nie wydarzyło.

Chodziło o naruszenie suwerenności Mołdawii, która uważa Naddniestrze za część własnego terytorium?

Tak, to jest jeden z problemów. W świetle prawa międzynarodowego byłby to przecież atak na Mołdawię. Kolejnym problemem byłyby fale uchodźców z Naddniestrza. Bazy wojskowe, również ta największa, rosyjska, zlokalizowane są w terenie zurbanizowanym. Biedna Mołdawia, gdzie struktury państwowe są dość szczupłe, miałaby bardzo duży problem z „zagospodarowaniem" takiej masy uchodźców.

Poza tym wejście do Naddniestrza armii ukraińskiej i obalenie tamtejszych władz zmusiłoby Mołdawię do zajęcia się tym terenem, czyli do jego szybkiej reintegracji. A Mołdawia nie ma na to ani dokładnego planu, ani zasobów.

Ciężko znaleźć analogiczną sytuację. W przeciwieństwie choćby do Niemiec Zachodnich i NRD w Mołdawii chyba mało kto pali się do zjednoczenia.

Problemem jest to, że to nie są historyczne ziemie mołdawskie i tamtejsza ludność jest w większości obca językowo i etnicznie. W Mołdawii nie ma takiego sentymentu, który choćby widać na Ukrainie względem Krymu. To nie jest tak, że Mołdawianie nienawidzą Naddniestrzan, ale nie ma tam poczucia braterstwa. Dlatego w Mołdawii nie ma żadnej presji, by rozwiązać kwestię Naddniestrza. Władze w Kiszyniowie wiedzą, że generowałoby to masę problemów.

Skąd w ogóle wziął się na mapie Europy ten przedziwny twór, gdzie wszystko wydaje się postawione na głowie?

Naddniestrze to tak naprawdę pułapka zastawiona przez Związek Sowiecki, która zatrzasnęła się na Mołdawii, gdy kraj ten przygotowywał się do ogłoszenia niepodległości. Naddniestrze ogłosiło swoją własną „niepodległość" rok wcześniej, we wrześniu 1990 r. Chociaż Moskwa początkowo nie uznała tego kroku, to Kreml szybko zdał sobie sprawę, że Naddniestrze można świetnie wykorzystać.

Kto zastawił tę pułapkę?

Stalin. Tworząc poszczególne republiki sowieckie, tak wykrajał ich granice, by Moskwa odgrywała rolę arbitra między różnymi grupami etnicznymi. Gdyby na terenie tych republik dochodziło do budzenia się ruchów narodowych, mniejszości postrzegałyby Kreml jako obrońcę swoich interesów. Miało to też utrudnić rozpad ZSRS. I na tej zasadzie powstała

eprasa.pl 65c5a5f024

Mołdawska SRS. Stalin wykroił ją przede wszystkim z ziem, które przed drugą wojną światową należały do Rumunii. Były to historyczne ziemie Hospodarstwa Mołdawskiego, jednego z dwóch głównych podmiotów, które w XIX w. stworzyły państwo rumuńskie. W większości zamieszkiwała je ludność mołdawska, czyli de facto etniczni Rumuni.

Ale w granice sowieckiej Mołdawii Stalin dostawił też skrawek zupełnie innych ziem.

Które nigdy nie należały do Hospodarstwa Mołdawskiego czy Rumunii. Co ważne – miały zupełnie inny skład etniczny. O ile w Mołdawii właściwej mieszkało ok. 70 proc. Mołdawian, o tyle w Naddniestrzu proporcje były odwrotne. Większość stanowili Słowianie, głównie Ukraińcy i Rosjanie. Byli to ludzie mocno zsowietyzowani – przed wojną była to część ZSRS. Jasne było, że jeżeli Mołdawianie chcieliby ogłosić niepodległość lub przyłączyć się do Rumunii, to Naddniestrze będzie swego rodzaju pułapką. Ten mechanizm zadziałał na przełomie lat 80. i 90. Gdy do władzy doszły w Mołdawskiej SRS siły panrumuńskie, rozpoczęły promowanie rumuńskiego odrodzenia narodowego. Mołdawscy „przebudziciele" podkreślali, że są częścią kultury rumuńskiej, czyli zachodniej. Ci ludzie nie chcieli mieć nic wspólnego z Sowietami. Naddniestrze bało się jednak przyłączenia do Rumunii, a w konsekwencji – rumunizacji kulturowej, na czele z językiem.

Kto konkretnie się tego bał?

Główną siłą był tu tzw. czerwony dyrektoriat – szefowie dużych zakładów przemysłowych, którzy najczęściej przyjechali tam z innych rejonów Związku Sowieckiego. W czasach sowieckich skierowanie do pracy w Mołdawii było uważane za los wygrany na loterii.

Dobre wino...

... poza tym przyjemny klimat, bezproblemowi ludzie i całkiem niezłe warunki materialne. Kreml inwestował w Mołdawię, żeby poziom życia nie był tam niższy niż w Rumunii. Czerwoni dyrektorzy wiedzieli, że w nowych warunkach stracą swoją pozycję – nie znali języka i nie byli „stąd". Pamiętajmy, że dyrektorem huty stali w ZSRS nie zostawał byle kto... To byli zaufani ludzie z kontaktami w służbach



Stalin wykroił Mołdawską SRS przede wszystkim z ziem, które przed drugą wojną światową należały do Rumunii FOT. ADOBE STOCK

sowieckich. I to oni zaczęli promować narrację separatystyczną.

Właśnie z czerwonego dyrektoriatu wywodził się Igor Smirnow, który został pierwszym przywódcą tego parapaństwa, tzw. prezydentem Naddniestrza. Dość szybko w latach 90. Moskwa zobaczyła, że to, co się dzieje w Naddniestrzu, można świetnie wykorzystać i w ten sposób utrudnić Mołdawii obranie prozachodniego kursu.

Państwo, które nie kontroluje całego swojego terytorium, nie jest idealnym kandydatem do zachodnich struktur.

Tym bardziej że od samego początku na terytorium Naddniestrza stacjonowały wojska sowieckie. Była to pozostałość XIV armii ZSRS. I to właśnie ta armia w 1992 r. wsparła tzw. gwardię naddniestrzańską, powstrzymując Mołdawian, którzy starali się zakończyć separatyzm. Gdyby nie Rosjanie, ich czołgi i samoloty, Mołdawianie bardzo szybko poradziliby sobie z separatystami.

Dzisiaj rosyjski kontyngent w Naddniestrzu jest jednak cieniem tamtej potęgi.

Obecnie służy tam 1,5 tys. żołnierzy formalnie występujących pod flagą Rosji, choć tak naprawdę większość z nich to lokalni młodzi mężczyźni, oczywiście posiadający paszporty rosyjskie. Jak Mołdawia może integrować się z UE czy NATO, mając rosyjskie wojska na swoim terytorium? To pytanie cały czas stanowi problem dla Kiszyniowa. Kolejnym dużym „plusem" dla Moskwy jest to, że Naddniestrze to doskonała baza wypadowa dla służb rosyjskich. I to nie tylko w kontekście Mołdawii, lecz także Ukrainy, choć od 2022 r. nie jest to już tak proste jak wcześniej.

Dlaczego nawet Rosja nigdy nie uznała Naddniestrza?

Taki krok nic by Rosji nie dał... Uznanie Naddniestrza sprawiłoby, że Moskwa straciłaby swoją „pułapkę". Nie mogłaby już argumentować, że Kiszyniów – podejmując takie czy inne decyzje, np. dotyczące integracji z UE – musi brać pod uwagę opinię i interesy mieszkańców regionu czy jego „władz".

Jak dużym problemem dla władz w Tyraspolu – stolicy tego parapaństwa – jest wojna Rosji z Ukrainą?

To katastrofa. Po pierwsze, od razu po rosyjskiej agresji w lutym 2022 r. Ukraińcy zamknęli granicę. Władze w Kijowie obawiały się, że wojska rosyjskie stacjonujące w Naddniestrzu, jakkolwiek słabe by były, mogłyby zostać wykorzystane do przeprowadzania aktów dywersji od strony południowo-zachodniej. Niedaleko leży przecież Odessa.

Był to poważny problem dla władz w Tyraspolu, ponieważ Naddniestrze dużą część handlu prowadziło z Ukrainą i przez jej terytorium. Poza tym lokalne elity – przy współpracy z ukraińskimi elitami – zarabiały ogromne pieniądze na przemycie.

To zresztą kolejny powód utrzymywania przez Rosję tej jątrzącej się „rany" – to miejsce „promieniowało" zachętami korupcyjnymi dla elit mołdawskich i ukraińskich. Dzięki zamknięciu tego odcinka granicy Mołdawia po raz pierwszy od 1991 r. uzyskała kontrolę nad handlem Naddniestrza. I teraz to Mołdawianie decydują, kto i co wjeżdża do Naddniestrza.

W 2025 r. skończył się darmowy rosyjski gaz. Co to oznacza dla „rządu" w Tyraspolu?

To jest dramat dla naddniestrzańskiego budżetu i generalnie dla całego parapaństwa. Darmowy gaz z Rosji był bowiem fundamentem tamtejszego modelu gospodarczego.

Ukraina ogłosiła w styczniu 2025 r., że nie przedłuża kontraktu na tranzyt gazu z Rosji. Ten krok zdemolował naddniestrzańską gospodarkę. Rocznie trafiało tam ok. 2 mld m3 gazu. Ogromne ilości!

eprasa.pl 65c5a5f024

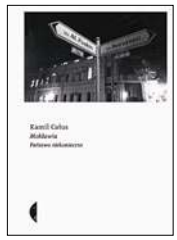

KAMIL CAŁUS „MOŁDAWIA. PAŃSTWO NIEKONIECZNE" CZARNE 2020

Cała Mołdawia „właściwa" zużywa go dwa razy mniej, a trzeba pamiętać, że populacja Naddniestrza to ledwie jakieś 12,5 proc. tej prawobrzeżnej...

W Naddniestrzu znajdował się właściwie cały przemysł ciężki Mołdawskiej SRS; huta stali, cementownia, zakłady zbrojeniowe i potężna elektrownia zasilana gazem. Mołdawia jeszcze niedawno 80 proc. energii elektrycznej zapewniała sobie z elektrowni naddniestrzańskiej, która należy do rosyjskiego koncernu energetycznego. Darmowy rosyjski gaz pozwalał molochom przemysłowym utrzymywać wysoką konkurencyjność. Swoje robiła też bardzo tania siła robocza.

Władze Naddniestrza mogły nie tylko zarabiać na tym krocie, lecz także zapewniać sobie społeczny spokój i poparcie niskimi cenami energii dla mieszkańców.

To było moskiewskie subsydium. Dzięki temu układowi wiadomo było, że lokalne elity polityczno-biznesowe będą wierne Rosji. Był to instrument kontroli – knut i marchewka w jednym.

Odcięcie dostępu do darmowego paliwa sprawiło, że Naddniestrze przeżyło szok. Odpadł kluczowy element pozwalający utrzymywać gospodarkę i spinać budżet, ale było to też zakwestionowanie kontraktu społecznego. Ludzie generalnie godzili się na ten osobliwy system rządów w zamian za dość cieplarniane warunki: niemal darmowy prąd i ogrzewanie w domu.

Jak Moskwa zareagowała na odcięcie dostaw gazu przez Kijów?

Rosja zagrała z Zachodem w „tchórza". Na horyzoncie pojawiło się widmo kryzysu humanitarnego w Naddniestrzu. Kreml liczył na to, że Zachód i Mołdawia wystraszą się destabilizacji sytuacji w regionie i ulegną, dzięki czemu uda się przymusić Ukrainę do powrotu do status quo.

Tak się jednak nie stało. UE zaoferowała wsparcie w zakupie gazu, ale postawiła swoje warunki, m.in. Naddniestrze miało urynkowić sektor energii. Dla Tyraspola nie był to wymarzony „deal", ale lepsze to niż zupełne odcięcie od surowców. Wtedy do gry weszła Rosja, obawiając się utraty wpływów w parapaństwie. Od tego momentu gaz kupuje na rynkach europejskich węgierska firma, która pieniądze na to dostaje z Dubaju od różnych, powiązanych z Kremlem firm słupów. Paliwo trafia następnie przez Mołdawię właściwą do Naddniestrza.

Ale gazu jest dużo mniej niż wcześniej.

Zależnie od okresu jest to 30–60 proc. tego, co Naddniestrze otrzymywało z Rosji przed 2025 r. Ponieważ brakuje gazu, przemysł naddniestrzański wytwarza mniej towarów, a także wpływy do budżetu są dużo mniejsze. Kłopoty finansów publicznych pogłębia jeszcze to, że Mołdawia przerzuciła się na zakup energii elektrycznej z UE. Sytuacja stała się więc na kilku poziomach dramatycznie zła…

… ale od czego jest „Sheriff", który ma przecież bardzo gruby portfel.

I wygląda na to, że sięga do niego, by załatać potężny deficyt, który wynosi od dwóch lat 40–45 proc. Naddniestrzu brakuje połowy budżetu! Cięcia mają swoje granice, a jednak skądś pieniądze się biorą, bo Naddniestrze wciąż jakoś funkcjonuje. Część dorzuca Rosja, ale resztę deficytu finansuje najpewniej właśnie lokalny potentat biznesowy – „Sheriff". Podejrzewam, że Kreml postawił sprawę jasno: przez trzy dekady dostarczaliśmy wam darmowy gaz, dorobiliście się fortuny, więc teraz musicie spłacić dług.

Gdy kilka lat temu odwiedziłem Naddniestrze, wiedziałem o potędze „Sheriffa", ale jednak mocno zaskoczyło mnie, że właściwie na każdym kroku widać tam jakiś biznes prowadzony pod tym szyldem. Poza słynnym klubem sportowym w Naddniestrzu należą do niego również supermarkety, stacje benzynowe, salony samochodowe.

W tym momencie „Sheriff" kontroluje już niemal całe Naddniestrze, poza resortami siłowymi i lokalnym „MSZ", gdzie rządzą ludzie wskazani przez Moskwę.

Historia firmy „Sheriff" mówi właściwie wszystko o tym parapaństwie.

Utworzyło ją dwóch stróżów prawa – Wiktor Guszan i Ilia Kazmały – co tłumaczy nazwę. Guszan, który jest dziś jedynym właścicielem „Sheriffa", zajmował się na początku lat 90. zwalczaniem przestępczości zorganizowanej. Nawiązane wówczas kontakty przydały się, kiedy wraz z upadkiem ZSRS zaczęło mu się walić stare życie. Tak wszedł do biznesu.

Guszan dość szybko stał się „kieszenią" elit politycznych Naddniestrza. Mógł załatwić właściwie wszystko. Ale nie za darmo. W zamian za wsparcie dla „władz" przejmował kolejne elementy lokalnej gospodarki. W ten sposób „Sheriff" stał się monopolistą w najbardziej dochodowych branżach. I powoli zaczął przejmować same elity polityczne Naddniestrza. Od 2016 r. można już powiedzieć, że Guszan sprawuje kontrolę nad Naddniestrzem, bo od tego czasu Wadim Krasnosielski, który wcześniej pracował dla niego, pełni funkcję „prezydenta" Naddniestrza. Już wcześniej partia polityczna kontrolowana przez „Sheriffa" przejęła lokalny „parlament". Na swój sposób Naddniestrze to więc libertariański sen – „państwo" całkowicie kontrolowane przez biznes (śmiech).

Jak długo może jeszcze trwać ta sytuacja zawieszenia?

Trudno powiedzieć. Przedłużająca się wojna Rosji z Ukrainą osłabia to parapaństwo. Jej wynik będzie decydujący. Mołdawianie wiedzą, że jeżeli Ukraina upadnie lub zostanie zdominowana przez Rosję, to oni będą następni na celowniku Kremla.

Kiszyniów chce rozwiązać problem Naddniestrza, ale najchętniej zrobiłby to rękoma UE, do której bardzo chce zresztą dołączyć. Mołdawianie planują to zrobić już w 2030 r., co – ujmijmy to tak – jest celem ekstremalnie wręcz ambitnym.

Rząd oddałby z chęcią kwestię Naddniestrza unijnym urzędnikom, licząc też, że Bruksela wyłoży pieniądze na reintegrację. I trudno się dziwić, bo proces zjednoczeniowy wiąże się z wieloma problemami: co zrobić ze skorumpowaną naddniestrzańską administracją, emerytami, ze służbami specjalnymi? Efekty pułapki zastawionej przez Stalina mogą o sobie dawać znać jeszcze przez dłuższy czas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



***Kamil Całus** – jest głównym specjalistą w zespole Białorusi, Ukrainy i Mołdawii Ośrodka Studiów Wschodnich.*

eprasa.pl 65c5a5f024



Filip Memches

Sukces w cieniu dyktatury



Trzeba docenić czasy, w których najważniejsze europejskie klubowe trofeum w piłce nożnej zdobyła Steaua Bukareszt. Z przyczyn budżetowych i politycznych nie kupowała ona międzynarodowych gwiazd, więc teoretycznie w starciach z potentatami nie miała szans. A jednak się jej udało. Obecnie taki przypadek wydaje się niemożliwy

Ruszyła piąta edycja Ligi Narodów. W trzeciej kolejce tych rozgrywek – 2 października – Polacy na warszawskim stadionie PGE Narodowym zmierzą się z Rumunami. Choć bilans polsko-rumuńskich potyczek na szczeblu jedenastek narodowych wypada zdecydowanie na korzyść piłkarzy z Karpat – 14 zwycięstw, 15 remisów, 7 porażek – to jednak polski reprezentacyjny futbol ma na swoim koncie większe osiągnięcia niż rumuński (Biało-Czerwoni zajęli dwa razy trzecie miejsce na Mundialu, podczas gdy Tricolorii nigdy nie doszli do strefy medalowej ani podczas mistrzostw świata, ani podczas mistrzostw Europy).

Obecnie w rankingu reprezentacji narodowych Polska jest notowana znacznie wyżej niż Rumunia. Niemniej były czasy, w których to piłkarze rumuńscy bardziej się liczyli niż polscy – zarówno jeśli chodzi o futbol reprezentacyjny, jak i klubowy. A temat ten warto poruszyć w kontekście historyczno-politycznym.

Największy sukces rumuńskiej piłki nożnej przypadł dopiero na lata 80. XX w. Chodzi o zdobycie przez Steauę Bukareszt Pucharu Europy Mistrzów Klubowych, czyli zajęcie pierwszego miejsca w rozgrywkach z udziałem najlepszych drużyn klubowych na Starym Kontynencie. Był to format poprzedzający Ligę Mistrzów.

Do lat 80. Rumuni byli najwyżej europejskim średniakiem. Owszem w latach 1930–1938, uczestniczyli w pierwszych trzech mundialach (za każdym razem odpadali w pierwszej fazie), ale potem – aż do roku 1984 – nie było ich na żadnym turnieju mistrzowskim dla reprezentacji narodowych. A w rozgrywkach o europejskie puchary kluby rumuńskie, choć w pojedynczych meczach bywały groźne dla wyżej notowanych przeciwników, to jednak nie zachodziły daleko. Tylko raz – było to w roku 1983 – Universitatea Craiova wywalczyła półfinał w będących poprzednikiem Ligi Europy rozgrywkach o Puchar UEFA. Ekipa z Rumunii zostawiła w tyle m.in. drużyny z Włoch (AC Fiorentina), Francji (Girondins Bordeaux), Niemiec Zachodnich (1. FC Kaiserslautern) i odpadła po wyrównanych pojedynkach z Benfiką Lizbona (padły dwa remisy – 0:0 i 1:1, ale to zespół z Portugalii zdobył bramkę na wyjeździe, co – zgodnie z ówczesnym regulaminem – dało mu awans do finału).

Tymczasem w tym roku przypada 40. rocznica zdobycia przez Steauę najważniejszego trofeum w europejskim klubowym futbolu XX stulecia. I tu jest miejsce na osobiste wspomnienie.

ASPIRACJE SUWERENNOŚCIOWE

W latach 80. wizerunek Rumunii obciążony był w dużym stopniu osobą Nicolae Ceaușescu. W Polsce – abstrahując od tego, co serwowała oficjalna propaganda reżimu PRL – polityk ten uchodził za dyktatora, który pogrążył swoje państwo w głębokim kryzysie gospodarczym. Była to cena, którą zapłaciło ono za próbę całkowitego uregulowania olbrzymiego zagranicznego zadłużenia, jakie zaciągnęło dekadę wcześniej. Co tu dużo mówić, nad Wisłą utrwalał się wtedy stereotyp Rumunii jako kraju biednego i dzikiego, pod względem rozmaitych standardów odległego od wszelkiej cywilizacji. Nie bez znaczenia było to, że do Polski przybywali wówczas stamtąd żebracy. Tyle że nie były to osoby narodowości rumuńskiej, lecz Cyganie. W przypadku tego koczowniczego ludu żebractwo stanowi jeden z tradycyjnych sposobów zarobkowania.

Jednocześnie Ceaușescu utrzymywał umęczone społeczeństwo rumuńskie brutalnie w ryzach przy pomocy okrytej ponurą sławą tajnej służby – Securitate. Można powiedzieć, że państwo rumuńskie stało się skansenem stalinizmu, co szczególnie kontrastowało w drugiej połowie lat 80. z pierestrojką w Związku Sowieckim. Tyle że paradoksalnie świadczyło to o suwerennościowych aspiracjach Ceaușescu. Wspomniana wyżej pożyczka miała umożliwić gospodarcze uniezależnienie się Rumunii od ZSRS. Ceaușescu chciał budować komunizm na własnych warunkach, z uwzględnieniem jej specyfiki jako jedynego kraju romańskiego w Europie Środkowej, i dlatego skądinąd

eprasa.pl 65c5a5f024



Popis bramkarza Steauy Bukareszt Helmutha Duckadama w meczu z Barceloną – pojedynku finałowym o piłkarski Puchar Europy, Sewilla, 7 maja 1986 r. FOT. PETER ROBINSON/PA/PAP

odwoływał się do nacjonalistycznych emocji. A ów trend dawał o sobie znać już w latach 60. Kiedy po wojnie sześciodniowej państwa bloku wschodniego zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem, Rumunia tego kroku zaniechała. Wyłamała się też ona z interwencji wojsk członków Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w roku 1968. Wreszcie gdy w roku 1984 państwa bloku wschodniego zbojkotowały igrzyska olimpijskie w Los Angeles, rumuńscy sportowcy wzięli w nich udział.

LEGENDA O POŁAMANIU RĄK

Wróćmy jednak do europejskiej przygody Steauy. W sezonie 1985–1986 zespół ten jak burza przeszedł przez kolejne rundy rozgrywek o Pucharu Europy. W półfinale zaskoczył wyeliminowaniem Anderlechtu, drużyny należącej wtedy do ścisłej europejskiej czołówki (szczególne wrażenie zrobił sensacyjny pogrom 3:0, który Rumuni zgotowali ekipie z Belgii w Bukareszcie). I tak Steaua dotarła do finału rozgrywek, by zmierzyć się w nim 7 maja 1986 r. na Estadio Ramón Sánchez Pizjuán w Sewilli z Barceloną.

Choć Duma Katalonii nie była jeszcze wówczas tak utytułowana, jak jest dziś (nie miała wtedy na swoim koncie najważniejszego europejskiego klubowego trofeum), to w meczu z rumuńskim zespołem występowała w roli zdecydowanego faworyta. Tymczasem Steaua nieoczekiwanie stawiła dzielnie czoła Barcelonie, dowożąc bezbramkowy remis najpierw do końca regulaminowego czasu gry, a potem do końca dogrywki. I wtedy objawił się prawdziwy bohater meczu, bramkarz rumuńskiej drużyny Helmuth Duckadam. W serii rzutów karnych obronił aż cztery z nich. A że jego koledzy z zespołu strzelili dwie bramki, to Steaua okazała się zwycięzcą pojedynku i Puchar Europy trafił do Bukaresztu. Do dziś na YouTube można znaleźć fragment transmisji z meczu w telewizji rumuńskiej. Obraz znakomitej gry bramkarza Steauy dopełnia głos komentatora, co chwila krzyczącego: „Extraordinare!" („Nadzwyczajne!").

Niedługo po tym zwycięstwie rumuńskiej drużyny Duckadam zniknął z piłkarskiego horyzontu. Okazało się, że w jego krwi wykryto wirusa, co sprawiło, że musiał on przerwać swoją sportową karierę. Pojawiły się jednak też pogłoski, które zrodziły pewną legendę. Według niej Duckadam w dowód uznania za swój wyczyn w Sewilli został obdarowany przez Ramona Mendozę, prezesa Realu Madryt, czyli klubu będącego odwiecznym rywalem Barcelony, Mercedesem. Tymczasem Nicu Ceaușescu – syn przywódcy Rumunii i brat Valentina Ceaușescu, prezesa Steauy – zażądał tego prezentu dla siebie. Duckadam jednak się mu postawił i samochodu nie oddał. W tej sytuacji na krnąbrnego zawodnika nasłano funkcjonariuszy Securitate, którzy połamali mu ręce. Sam Duckadam dementował tę wersję wydarzeń, choć zarazem przyznawał, że jego relacje z Nicu Ceaușescu nie układały się dobrze.

Bohater z Sewilli zmarł w roku 2024. Na marginesie można odnotować, że należał on do Sasów Siedmiogrodzkich, jednej z mniejszości etnicznych w Rumunii.

Steaua zachowywała mocną pozycję na europejskiej klubowej arenie przez całą drugą połowę lat 80. W sezonie 1988–1989 znowu imponowała grą w rozgrywkach o Puchar Europy, odnosząc w nich kilka wysokich zwycięstw i znów dochodząc do finału. Tym razem jednak nie udało się w nim wygrać. Przeciwnikiem Rumunów był AC Milan, który miał w swoim składzie słynne holenderskie trio Frank Rijkaard – Ruud Gullit – Marco van Basten. Steaua przegrała aż 0:4, co zwiastowało kres jej wielkości.

Urok futbolu polega na tym, że Dawid może wygrać z Goliatem

A pół roku później został obalony reżim Ceaușescu. Skądinąd krwawa rewolucja „demokratyczna" w Rumunii została przeprowadzona przez komunistów lojalnych wobec Kremla. Po prostu, kolejny paradoks, wzięli oni przykład ze Związku Sowieckiego, gdzie jego ówczesny przywódca Michaił Gorbaczow system liberalizował.

ODMIENNA PERSPEKTYWA

Choć w latach 90. klubom rumuńskim nie udało się pójść w ślady Steauy, to był to okres, w którym błyszczała reprezentacja narodowa Rumunii – zresztą w odróżnieniu od Biało-Czerwonych. Wyróżniał się w niej pomocnik Gheorghe Hagi. Na Mundialu w USA w roku 1994 Rumuni doszli do ćwierćfinału, w pobitym polu zostawiając Argentyńczyków, których pokonali w jednej ósmej finału 3:2. Ale takie osiągnięcia Tricolorii to już przeszłość.

Muszę przyznać, że gdy w latach 80. byłem licealistą, kibicowanie klubowi z Rumunii wydawało się mojemu pokoleniu obciachem, właśnie ze względu na skojarzenia z Nicolae Ceaușescu. Ale generalnie w Polsce tego rodzaju polityczne czynniki wpływały w ogóle na negatywne nastawienie do drużyn z bloku wschodniego – zarówno klubowych, jak i reprezentacyjnych.

Dziś jednak wypada przyjąć perspektywę odmienną od tej z lat 80. Dążenie przywódcy Rumunii do suwerenności stanowiło wartość samą w sobie. Ale abstrahując od polityki, trzeba docenić czasy, w których Steaua zdobyła najważniejsze europejskie klubowe trofeum. Urok futbolu polega na tym, że Dawid może wygrać z Goliatem. Z przyczyn budżetowych i politycznych Steaua nie kupowała międzynarodowych gwiazd, więc teoretycznie w starciach z potentatami nie miała szans. A jednak się jej udało. Obecnie taki przypadek wydaje się niemożliwy.

Swoją drogą podobną do sukcesu Steauy niespodziankę sprawił, zdobywając Puchar Europy w roku 1991 inny zespół z Europy Środkowej, Crvena Zvezda Belgrad. Ale to już temat na inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Megafuzja w Hollywood odmieni świat



Jacek Przybylski

Transakcja stulecia w Hollywood, czyli fuzja Warner Bros. Discovery i Paramount Skydance, ma zostać sfinalizowana w ciągu najbliższych kilkunastu dni. Warta 111 mld dol. operacja doprowadzi do powstania jednej z największych na świecie grup medialno-rozrywkowych, w której skład wchodzić będą m.in. CNN, HBO, Warner Bros., CBS, Channel 5 w Wielkiej Brytanii oraz TVN i TVN24 w Polsce

Trwająca od kilkunastu miesięcy batalia prawników, inwestorów, polityków i aktywistów to gotowy materiał na scenariusz sagi łączącej bogactwo, intelekt i przebiegłość bohaterów „W garniturach" z politycznymi intrygami „House of Cards" i biznesowymi kulisami świata wielkich mediów z „The Morning Show".

SUKCESJA

Mamy w tej historii najpotężniejszych ludzi świata oraz najbogatszych inwestorów w Stanach Zjednoczonych. Są biznesowe starcia, powiązania rodzinne oraz niezwykle wpływowi znajomi. Dyrektorem generalnym Paramount Skydance, który buduje właśnie medialne imperium, jest mierzący 185 cm wzrostu 43-letni David Ellison. Producent filmowy, były aktor – zagrał w takich filmach jak „Miłego dnia?", „Flyboys – bohaterska eskadra" czy „Przyjaciel czy wróg" – oraz syn miliardera. I to nie jakiegoś tam miliardera (według „Forbesa" w Stanach Zjednoczonych miliarderów jest już blisko tysiąc), ale Larry'ego Ellisona, współzałożyciela i długoletniego dyrektora technologicznego firmy Oracle Corporation, którego fortunę szacuje się obecnie na około 190 mld dol., co daje mu ósme miejsce na liście najbogatszych ludzi świata. Według amerykańskich mediów to m.in. pieniądze, wpływy i kontakty starszego z Ellisonów – wiernego sojusznika prezydenta Donalda Trumpa – sprawiły, że David Ellison nieoczekiwanie pokonał w lutym znacznie większego gracza – Netflixa – w zaciętym wyścigu o przejęcie Warner Bros. Discovery. Netflix w tej rozgrywce długo zdawał się mieć przewagę, aż ogłosił, że… wycofuje się z tej gry.

Według CNN zwrot w sprawie przejęcia WBD miał nastąpić tego samego dnia, w którym widziano, jak dyrektor generalny Netflixa Ted Sarandos po rozmowach w Białym Domu opuszczał prezydencką siedzibę „z ponurym wyrazem twarzy". Tajemnicą poliszynela jest to, że rodzina Ellisonów buduje potężne imperium medialne za wyraźnym przyzwoleniem obecnego przywódcy USA.

W całej tej historii drugoplanowe role grają członkowie zarządu Warner Bros. Discovery na czele z Davidem Zaslavem, który choć w czerwcu 2026 r. na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy WBD

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. ADOBE STOCK/TRAX

poniósł potężną wizerunkową porażkę, to i tak ma za zagwarantowany „złoty spadochron" i ogromne zyski z akcji. W medialno-biznesowo-politycznej sadze koniecznie pojawić się powinien również ekscentryczny wizjoner i pierwszy w historii bilioner. Właśnie do Elona Muska chcą bowiem zwrócić się przedstawiciele Paramount Skydance z propozycją dołączenia do grupy inwestorów, wykładających kapitał na to bezprecedensowe przedsięwzięcie. Dotarcie do ucha najbogatszego człowieka świata nie będzie trudne. Elon Musk to bowiem stary znajomy Larry'ego Ellisona, który nie tylko inwestował w Teslę duże pieniądze, lecz także przez wiele lat zasiadał w radzie dyrektorów tej firmy. Gdyby Musk rzeczywiście stał się współwłaścicielem takich stacji jak CNN czy CBS News, to na korytarzach obu redakcji aż kipiałoby od emocji (i od nieuzasadnionego strachu, bo najbogatszy człowiek świata zapewne nie miałby formalnego wpływu na działanie i obsadę tych stacji). To zresztą uczucia podobne do tych, które wyrażają ponoć niektórzy pracownicy TVN na myśl o tym, że ich stacja miałaby niebawem znaleźć się w rękach sojuszników Donalda Trumpa.

Przejdźmy do akcji. David Ellison jest obecnie o krok od zostania „królem Hollywood", władającym potężnymi studiami filmowymi, platformami streamingowymi i sieciami telewizyjnymi. Paramount Skydance jest obecnie właścicielem m.in. studia Paramount Pictures, stacji CBS, Nickelodeon, MTV oraz platformy Paramount+. Pod kontrolą Warner Bros. Discovery znajdują się z kolei HBO, platforma Max, Warner Bros. Studios, Discovery Channel oraz Cartoon Network, a także CNN oraz – w Polsce – TVN. Nowe imperium pozwoli Ellisonowi zarządzać ponad jedną trzecią największych produkcji kinowych i kontrolować mniej więcej jedną trzecią rynku programów telewizji kablowej.

DWUNASTU GNIEWNYCH LUDZI

Wystarczy obejrzeć pierwszych sto odcinków „Dynastii", aby dowiedzieć się, że wielki biznes to historia wzlotów i upadków. Nie tylko u Carringtonów. W przypadku Ellisonów i ich medialnego imperium wszystko szło już pięknie. Wielka fuzja została zatwierdzona przez 68 organów regulacyjnych, w tym m.in. przez organy regulacyjne administracji Donalda Trumpa oraz Komisję Europejską. Koncern Paramount Skydance uzyskał już nawet zgody regulatorów m.in. w Chinach, Kanadzie i Australii. Aby uniknąć zablokowania przejęcia Warner Bros. Discovery przez rząd Wielkiej Brytanii – zapowiedzianego w lipcu przez brytyjską minister cyfryzacji, kultury, mediów i sportu Lisę Nandy – dyrektor Paramount Skydance David Ellison zgodził się formalnie m.in. na zobowiązania dotyczące niezależności redakcji newsowych, a Lisa Nandy grzecznie ogłosiła w mediach, że nie będzie przeszkadzać miliarderom w realizacji ich marzeń (choć użyła przy tym nieco innych słów).

Na przeszkodzie finalizacji transakcji stanęło jednak 12 prokuratorów generalnych ze stanów rządzonych przez polityków Partii Demokratycznej pod przewodnictwem prokuratora Roba Bonty z Kalifornii oraz… związek zawodowy amerykańskich scenarzystów Writers Guild of America. Teoretycznie prokuratorzy generalni z Arizony, Kalifornii, Kolorado, Connecticut, Massachusetts, Minnesoty, Newady, New Jersey, Nowego Meksyku, Nowego Jorku, Oregonu i stanu Waszyngton próbowali zablokować fuzję, przekonując, że transakcja ograniczy konkurencję na rynku medialnym. Prokuratorzy przekonywali, że połączenie Warner Bros. Discovery i Paramount Skydance naruszy Clayton Act z roku 1914, zakazujący fuzji mogących prowadzić do ograniczenia konkurencji lub powstania monopolu. Stanowi prawnicy utyskiwali, że transakcja stulecia w Hollywood doprowadzi do obniżenia wynagrodzeń w branży filmowej, zmniejszy liczbę etatów w przemyśle rozrywkowym, a także ostrzegali, że fuzja ta sprawi, że Amerykanie będą musieli więcej płacić za bilety do kin oraz za pakiety telewizji kablowych. I co gorsza, w tych droższych kablówkach mieliby mieć mniejszy wybór treści informacyjnych i rozrywkowych, a zwłaszcza mniejszy wybór treści lewicowo-liberalnych.

David Ellison, były aktor, producent i syn miliardera, jest obecnie o krok od zostania „królem Hollywood"

Twórcy nowego imperium medialnego w tej prokuratorskiej wizji nie odpowiadali właściwie tylko za koklusz i gradobicie (choć być może i te zarzuty lewicowi prawnicy dopisaliby w sądowym pozwie, gdyby „Seksmisja" w USA była bardziej popularna).

WYŚCIG Z CZASEM

Tymczasem stawka w tej prawniczo-politycznej rozgrywce była i nadal jest niezwykle wysoka. Trudno bowiem o lepszy przykład na zobrazowanie przysłowia czas to pieniądz. W umowie fuzji pomiędzy Paramount Skydance a Warner Bros. Discovery (WBD) zawarto specjalny mechanizm finansowy zwany ticking fee. To jeden z zapisów, którego celem było zachęcenie akcjonariuszy WBD do zerwania wcześniejszej umowy z Netflixem. Na jego mocy Paramount zgodził się płacić akcjonariuszom WBD 7 mln dol. dziennie (!) za każdy dzień zwłoki w finalizacji transakcji. Termin rozpoczęcia obowiązywania tego kosztownego dla koncernu odliczania

eprasa.pl 65c5a5f024

ustalono na 30 września 2026 r. Od tego dnia grupa Paramount musiałaby płacić ok. 650 mln dol. kwartalnie aż do momentu sfinalizowania transakcji.

Potencjalne koszty mogły być horrendalnie wysokie. Sędzia federalny z Kalifornii wyznaczył bowiem termin rozprawy dopiero na marzec przyszłego roku, a termin oficjalnych negocjacji w sprawie ewentualnej ugody wyznaczono wstępnie na 14 i 15 października. 17 września przedstawiciele Paramount Skydance oficjalnie poinformowali więc biura burmistrz Los Angeles Karen Bass i prokuratora generalnego Kalifornii Roba Bonty, że koncern przygotowuje się do opuszczenia stanu, na wypadek, gdyby nie doszło do szacowanej na 111 mld dol. fuzji z Warner Bros. Discovery.

I wreszcie w poniedziałek 21 września nastąpił przełom. Przedstawiciele Paramount Skydance zawarli niespodziewaną ugodę z Kalifornią i 11 stanami. Zgodnie z nią nowe imperium medialne nie będzie się pozbywać aktywów i będzie kontynuować działalność w Kalifornii. Ugoda przewiduje też wysokie kary, jeśli nowy koncern nie dotrzyma obietnicy wprowadzania do kin 30 premierowych filmów rocznie (mowa o 30 mln dol. za każdy tytuł, którego zabraknie do deklarowanej trzydziestki). Zakłada ona również m.in. utworzenie niezależnych rad redakcyjnych dla stacji telewizyjnych CNN i CBS. W ich skład ma wejść pięcioro aktywnych lub emerytowanych dziennikarzy z co najmniej 10-letnim doświadczeniem. Rada redakcyjna ma ustalać zasady dotyczące rzetelności i niezależności dziennikarskiej i stać na straży ich przestrzegania. Jej członków wybierać będzie jednak zarząd Paramount, co może umożliwić szeroką przebudowę redakcji przejmowanych stacji telewizyjnych (chociaż wcale nie jest pewne, że będzie to dotyczyć zarówno CNN jak i TVN).

Dokładny termin finalizacji fuzji nie został jeszcze ogłoszony. Dyrektor generalny Warner Bros. Discovery David Zaslav oznajmił jednak publicznie, że spodziewa się, iż transakcja dojdzie do skutku najpóźniej na początku października. Sama finalizacja fuzji nie rozwiąże jeszcze wszystkich problemów nowego medialnego imperium. Połączona firma Paramount-Warner Bros. Discovery (WBD) będzie obciążona gigantycznym zadłużeniem netto szacowanym na ok. 80 mld dol. Aby to zadłużenie nie było jeszcze większe, transakcję wspierają m.in. fundusze inwestycyjne z Arabii Saudyjskiej, Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

W Polsce transakcja stulecia w Hollywood budzi emocje ze względu na możliwą zmianę linii TVN i TVN24

EFEKT MOTYLA

W Polsce transakcja stulecia w Hollywood budzi emocje nie tylko z powodu jej skali, lecz także ze względu na lokalny rynek medialny. „Informacyjnie: Paramount usunął ostatnią dużą przeszkodę przed przejęciem Warner Bros. Discovery. Zamknięcie transakcji jest blisko. Już niebawem telewizja TVN będzie miała nowego właściciela" – zauważył na platformie X szef Biura Polityki Międzynarodowej prezydenta Karola Nawrockiego Marcin Przydacz.

„Jak podaje agencja Bloomberga, spółka Paramount Skydance zawarła ugodę z Kalifornią oraz innymi stanami, które dążyły do zablokowania przejęcia WB Discovery przez Paramount. W tłumaczeniu na język prosty: na Wiertniczej panika. Wielkie wietrzenie magazynów się szykuje" – prognozował z kolei na Facebooku poseł PiS Michał Woś. W polskiej memosferze pojawiły się już zdjęcia przestawiające wizje rewolucyjnych zmian personalnych w siedzibie TVN na Wiertniczej.

Nie wiadomo, jak na zmianę właściciela TVN zareaguje premier Donald Tusk. Aby skutki nabycia pośredniego w stosunku do polskiej spółki były uznane za ważne, potrzebne są lokalne zgody regulacyjne, swoje uprawnienia mają w takich sprawach m.in. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, a także Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. W przypadku Grupy TVN konieczna jest też zgoda lub brak sprzeciwu właściwego ministra. Grupa TVN znalazła się bowiem – m.in. obok T-Mobile, Cyfrowego Polsatu i kilkunastu innych firm – w rozporządzeniu wskazującym podmioty podlegające ochronie oraz właściwych dla nich organów kontroli. Projekt tego rozporządzenia przyjęto w grudniu 2024 r., gdy Tusk i jego ekipa zamierzali ochronić TVN przed przejęciem przez węgierską telewizję powiązaną z ówczesnym premierem Węgier Viktorem Orbánem.

Możliwość blokowania przejęć firm z listy podmiotów strategicznych nie jest rozwiązaniem niespotykanym w Europie, podobne rozwiązania mają też w prawie Niemcy, Francuzi, Włosi czy Hiszpanie. Najczęściej chronione są spółki z rzeczywiście strategicznych dla danego kraju branż. I chociaż akurat media nie są uznawane za tego typu branżę, to rząd Donalda Tuska przy tworzeniu rozporządzenia w sprawie wykazu podmiotów podlegających ochronie oraz właściwych dla nich organów kontroli stanowiącego akt wykonawczy do ustawy skorzystał z furtki umożliwiającej wpisanie na listę podmiotów zajmujących się działalnością telekomunikacyjną: zarówno TVN, jak i Polsat znajdują się w rejestrze przedsiębiorców telekomunikacyjnych (RPT) prowadzonym przez Prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej.

Zgodnie z polską ustawą o kontroli niektórych inwestycji na przejęcie Grupy TVN potrzebne będzie formalne zawiadomienie o zmianie właściciela do właściwego ministra. Organ kontroli (czytaj: właściwy minister rządu Tuska) ma zaś prawo wnieść sprzeciw wobec transakcji, jeżeli uzna, że przejęcie stwarza zagrożenie dla niepodległości, suwerenności, porządku publicznego lub bezpieczeństwa państwa. „Ochrona polskich mediów przed rosyjskim wrogim przejęciem wydaje się być oczywistą potrzebą chwili. To zrozumiałe dla każdego patrioty. Dlaczego więc politycy PiS wpadli w taką furię po ogłoszeniu tej decyzji? Zgadujcie" – pytał w grudniu 2024 r. na platformie X Donald Tusk.

Czy obecnie premier również zdecyduje się bronić tak przychylnej sobie stacji telewizyjnej przed przeprowadzoną zgodnie z prawem i zaakceptowaną przez tak wiele różnych państw zmianą właściciela? Czy zaryzykuje konflikt, wiedząc, że ze względów czysto finansowych nowy właściciel wcale nie musi szybko decydować się na zupełne odwrócenie linii programowej w Polsce? I czy w obecnej sytuacji geopolitycznej Donald Tusk zaryzykuje otwarty konflikt z potężnymi sojusznikami Donalda Trumpa? Zgadujcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



PROSTO ZYGZAKIEM

Plus, czyli minus

PIOTR GABRYEL

Czy jeden rząd może wszystkim Polakom odwrócić znaczenie znaku plus (+) i zamienić go w minus (-)? I to w wielki minus? Do tej pory wydawało się to niemożliwe, a teraz stało się faktem.

A wszystko zaczęło się niewinnie – od zasiłku „500+" na dzieci, z kryterium dochodowym w przypadku pierwszego dziecka w rodzinie, a bez tego kryterium w przypadku kolejnych, który szybko przerobiono na zasiłek „800+" na każde dziecko w Polsce, bez względu na wysokość dochodu w rodzinie, a więc także w rodzinie milionerów (bo przecież „wszystkie dzieci są równe").

Ten pierwszy zasiłek ze słynnej, a dla PiS wręcz kultowej serii „+", na który wydajemy co roku już aż ponad 60 mld zł – czyli każdy z nas, Polaków, bez względu na wiek, płaci nań z własnej kieszeni co roku aż ponad 1,6 tys. zł – miał sprawić, jak przyrzekano, że nasza katastrofa demograficzna zostanie co najmniej zahamowana, a może nawet sytuacja zacznie ulegać jakiej takiej poprawie. Niestety, po krótkim odbiciu (w 2017 r. urodziło się Polsce 403 tys. dzieci), mimo tych wielkich wydatków z pieniędzy podatników, wszystko wróciło do „normy", czyli do stałego spadku liczby rodzących się dzieci; w efekcie np. w 2025 r. przyszło ich na świat zaledwie 238 tys. – znacznie mniej niż Polaków z tego świata wtedy odeszło (406 tys.).

I w ten oto – jakże drogi dla podatników – sposób plus zamieniono na minus. Minus oznaczający coraz większy ubytek liczby żyjących Polaków, bo coraz mniej się ich rodzi, a także coraz większy minus w kasie państwa.

No a potem, czyli po zasiłku „500+"/„800+", to już „poszły konie po betonie". Jeden zasiłek „+" gonił kolejny zasiłek „+", a minus w budżecie państwa rozrastał się coraz szybciej. I mniejsza o kolejność, bo było tych zasiłków „+" sporo. Pojawiło się „mieszkanie+", które pożarło mnóstwo pieniędzy podatników, ale mieszkań z niego przybyło akurat tyle, co kot napłakał, a teraz uczestnicy programu, płacący przez cały czas i tak wysokie ceny najmu tych mieszkań, otrzymali oferty ich wykupu po de facto rynkowych cenach. Potem pojawiły się „wyprawka+", „laptop+", „bon turystyczny+", „darmowe leki+" i inne rozdawnicze benefity „+" dla wybranych wyborców, które rządzącym miały przynieść jeden plus: pozwolić im utrzymać się u władzy.

A każda z tych rozdawniczych akcji „+", czyli „-", kosztuje nas bimbalion złotych, co roku powiększając minus w kasie naszego państwa, czyli w naszych, podatników, kieszeniach, bo to przecież my ją zapełniamy naszymi pieniędzmi. A po tym koszmarze pozostało tylko Stowarzyszenie Rozwój Plus, czyli Rozwój Minus, i pomniejszony PiS, czyli PiS Minus. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Nieobecni racji nie mają

ŁUKASZ WARZECHA

Gdyby zapytać przypadkową osobę, do kogo kieruje swój przekaz Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, niemal na pewno padłaby odpowiedź, że jedną z najważniejszych grup docelowych jest biznes, w szczególności mały i średni. Czy można zatem wyobrazić sobie lepsze miejsce dla zaprezentowania swoich pomysłów przez tę frakcję Konfederacji niż spotkanie ważnej organizacji, skupiającej przedsiębiorców?

Politykom także przytrafiają się nagłe sytuacje, jednak wypadałoby zaproponować godne zastępstwo

Taką okazję miał Sławomir Mentzen niedawno. Był jednym z trzech polityków, zaproszonych przez Radę Przedsiębiorców Adama Abramowicza (byłego rzecznika małych i średnich przedsiębiorców) na spotkanie tej organizacji w Giżycku. Pozostałymi gośćmi mieli być szef sejmowej Komisji Finansów Publicznych, poseł Koalicji Obywatelskiej Janusz Cichoń oraz kandydat PiS na premiera, Przemysław Czarnek. Ci dwaj dotarli, Sławomir Mentzen – nie. Współpracownicy lidera Nowej Nadziei poinformowali organizatorów, że powodem jego nieobecności były sprawy rodzinne. Owszem, politykom także przytrafiają się nagłe sytuacje, jednak w takim przypadku wypadałoby zaproponować godne zastępstwo. Tymczasem Mentzen po prostu oddał pole swoim politycznym rywalom. Konfederacja nie przysłała nikogo.

I tak oto na tle mało charyzmatycznego posła Cichonia brylował potoczysty i elokwentny Przemysław Czarnek, choć w większości prześlizgiwał się jedynie po powierzchni problemów. Czasem zaś zaskakiwał – jak wtedy, gdy na pytanie o zwiększenie kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy odpowiedział, że poszło to zdecydowanie za daleko i należałoby je ograniczyć.

Jako że niemała część z ponad 100 uczestników zjazdu (w większości właścicieli firm zatrudniających po przynajmniej kilkadziesiąt osób) przyjechała na Mazury specjalnie, by posłuchać pana Mentzena, nietrudno sobie wyobrazić, z jakimi wrażeniami wyjeżdżali. Nieobecni racji nie mają – choć wśród przedsiębiorców generalnie panuje bardzo głęboki sceptycyzm wobec polityków i ich obietnic, show skradł jednak przedstawiciel etatystycznego PiS. Po prostu dlatego, że nie miał konkurencji. Ile głosów przez to jedno zdarzenie straciła Konfederacja? ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

Ekologiczne szaleństwo zabija wyścigi



FOT. ADOBE STOCK



Aleksander Majewski

Motoryzacja zawsze była ucieleśnieniem kreatywności i rozwoju rodzaju ludzkiego. Liczyło się szybciej, lepiej, dokładniej. Ukoronowaniem podróży ku perfekcji jest królowa motorsportu – Formuła 1. Ideologiczna pogoń za celami klimatycznymi stała się przeszkodą również na tej drodze

Włodarze najszybszej serii wyścigowej świata po sezonie w 1995 r. zrezygnowali z silników V12, a w 2006 r. modele V10 zastąpili wersją V8. I chociaż o tej decyzji można było dyskutować, to Formuła 1 nie straciła swojego dawnego blichtru w stopniu, który zaburzałby odbiór tej widowiskowej, a także piekielnie niebezpiecznej dyscypliny sportu. Jednak przejście na silniki V6 w 2014 r. przepełniło czarę goryczy fanów. Światowy trend związany z efektywnością energetyczną i ograniczaniem emisji znalazł swoje odzwierciedlenie w sporcie.

Jako przyczynę decyzji wskazywano m.in. ograniczenie kosztów budowy silników i wzbudzenie zainteresowania producentów aut seryjnych. Wprowadzenie silników 1,6-litrowych w postaci zaawansowanych hybryd miało zbliżyć rozwiązania stosowane w F1 do zwykłych samochodów. Dodatkowo od sezonu 2026 r. stosowane są wyłącznie tzw. paliwa zrównoważone, co ma ograniczyć ślad węglowy.

Zmniejszenie pojemności silników było tłumaczone presją związaną z tzw. efektywnością energetyczną. Wprowadzone zmiany były jednak krytykowane przez kierowców i fanów motorsportu. Dodatkowe bateria i układy elektryczne, związane z nowym rodzajem silników, wpłynęły na ciężar aut. To z kolei zmusza kierowców do mocniejszego dohamowywania przed wejściem bolidu w łuk. Warto jednak zauważyć, że Międzynarodowa Federacja Samochodowa (FIA) rozważała jeszcze dalej idące rozwiązanie, czyli wprowadzenie silników... czterocylindrowych. Biorąc pod uwagę krytykę obecnych rozwiązań, taki wariant brzmi wręcz surrealistycznie. Co ciekawe, wprowadzenia takiej zmiany chciał koncern Renault, co spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem innych motoryzacyjnych graczy, na czele z Mercedesem i Ferrari.

Swojej irytacji z obecnej sytuacji nie kryją kierowcy. Wielokrotny mistrz świata Formuły 1, Max Verstappen, poproszony przez reporterów podczas tegorocznego Grand Prix w Miami o zachęcenie fanów do dalszego śledzenia serii zaapelował z rozbrajającą szczerością: „Nie okłamujcie ich". Nie jest to odosobniona opinia, która wskazuje na spadek widowiskowości rywalizacji w najszybszej serii wyścigowej świata. Fernando Alonso, jedna z legend motorsportu, otwarcie przyznał: „Ten typ samochodu zawsze będzie nagradzał wolniejszą jazdę w zakrętach, aby zachować więcej energii".

RYWALIZACJA KONTRA BEZPIECZEŃSTWO?

Sporo mówi się również o bezpieczeństwie sportowców. Tyle że dyskusja dotycząca tej kwestii toczy się niemal od samego początku rywalizacji w ramach Formuły 1. W 1971 r. Roman Polański na chwilę odszedł od swojego mrocznego filmowego matecznika, by wyprodukować dokument „Weekend z mistrzem" (1972), ukazujący kulisy sukcesu szkockiej legendy Formuły 1 sir Jackiego Stewarta. Czterdzieści lat później film doczekał się odrestaurowanej wersji, wzbogaconej o rozmowę polskiego reżysera z utytułowanym kierowcą. Polański przypomniał, że zapamiętał swojego wieloletniego przyjaciela jako „mistrza bezpieczeństwa". To właśnie dzięki staraniom Stewarta

eprasa.pl 65c5a5f024

w Formule 1 wprowadzono wiele rozwiązań, które miały służyć bezpieczeństwu kierowców (wystarczy wspomnieć choćby o czerwonych światłach bezpieczeństwa czy zamontowaniu barierek ochronnych).

– Przez kilka lat z rzędu – od 1968 do 1973 r. – była tylko jedna szansa na trzy, że przeżyję. I dwie na trzy, że zginę. Koszmarna średnia. A zarząd, właściciele torów ani urzędnicy nic nie robili – powiedział Stewart. – Potrzeba było bardzo wielu nacisków z naszej strony – dodał.

Stewart relacjonował, że kiedyś – wspólnie ze swoją żoną, Helen – policzył, iż w czasach jego aktywności sportowej na torach wyścigowych zginęło 57 osób. – Kolegów, znajomych i co najmniej pięciu bliskich przyjaciół – przyznał.

Walka o wprowadzenie zmian była zrozumiała. Jednak w XXI w. doszło tylko do jednego śmiertelnego wypadku w Formule 1. Ostatnim kierowcą, który zginął na torze, był Jules Bianchi w 2014 r. Sportowiec uderzył w dźwig usuwający wcześniej rozbity samochód. Bianchi zmarł kilka miesięcy później w szpitalu. Trudno więc mówić o serii wydarzeń, które byłyby bezpośrednim bodźcem tłumaczącym wprowadzenie obecnych zmian.

Co ciekawe, to właśnie nowe przepisy mogą stwarzać dodatkowe zagrożenia dla kierowców, czego przykładem był groźny wypadek Olivera Bearmana w Grand Prix Japonii. „Gdy w jednej maszynie kończy się prąd, moc gwałtownie spada, a gdy zaraz z tyłu jedzie inny zawodnik…" – zwrócił uwagę Cezary Gutowski na łamach „Przeglądu Sportowego". Również pierwszy Polak w Formule 1, Robert Kubica, dziś z powodzeniem próbujący swoich sił w wyścigach długodystansowych, przyznał w rozmowie z dziennikiem: „Mamy dodatkowe zbędne ryzyko".

DRUGA STRONA MEDALU

Obrońcy przyjętych rozwiązań wskazują jednak na fakt, że wprowadzenie hybrydowych silników 1.6 V6 Turbo w 2014 r. było efektem nacisków samych koncernów motoryzacyjnych, które oczekiwały od władz FIA zatwierdzenia pomysłu zbliżenia rywalizacji do warunków rynkowych. Silniki V8 i V10 zużywały bowiem więcej paliwa. Sugerując nowe rozwiązanie, wskazywano na jego ekologiczny charakter. Wielkie koncerny motoryzacyjne, których zespoły od lat biorą udział w wyścigach F1, chciały uniknąć inwestowania setek milionów dolarów w modernizację silników wolnossących o wysokich obrotach, wskazując na kosztowność ulepszania przestarzałej – ich zdaniem – technologii. Również Międzynarodowej Federacji Samochodowej zależało na nowym wizerunku królowej motorsportu. Formuła 1 miała bowiem stanowić dyscyplinę, która podąża za trendami, stawia na zrównoważenie i jest przyjazna środowisku.

Choć koncerny widziały w silnikach V6 oszczędności, to nowe urządzenia również generują wysokie koszty i trudności w obsłudze. Nie należy się zatem dziwić, że prezydent FIA, Mohammed Ben Sulayem, zapowiedział wprowadzenie jednostek V8 najpóźniej w 2031 r. Federacja liczy jednak, że uda się tego dokonać już w 2030 r. Organizacja podkreśla, że zmiana jest celem, nawet jeśli producenci będą wyrażać swoje obawy. Niewykluczone bowiem, że wielkie koncerny będą trzymać się swoich pierwotnych założeń. Warto zaznaczyć, że za zmianą musi zagłosować kwalifikowana większość czterech producentów z sześciu, w tym grupa General Motors, która jest partnerem Cadillaca.

ZIELONA POLITYKA NIE SŁUŻY GIGANTOWI

Chociaż zespoły Formuły 1 wskazują na potrzebę zbliżenia królowej motorsportu do uwarunkowań rynkowych i światowych trendów ekologicznych, to koncerny muszą przełykać gorzką pigułkę związaną z „zieloną polityką". Ekologiczne rozwiązania, przynajmniej jeśli chodzi o pewien segment aut, okazały się zgubne dla światowych gigantów. Dobrym przykładem jest Porsche.

Jak podaje Deutsche Welle, w 2025 r. zyski niemieckiego koncernu po opodatkowaniu spadły o 91,4 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. Obecnie wynoszą 310 mln euro, choć jeszcze w 2024 r. firma ze Stuttgartu zarobiła 3,6 mld euro. W ubiegłym roku obroty Porsche spadły o prawie jedną dziesiątą i obecnie wynoszą ok. 36,3 mld euro. Należy jednak zaznaczyć, że swoją rolę odegrały też amerykańskie cła, nałożone przez administrację prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa.

Nie zmienia to faktu, że koncern postanowił wrócić, przynajmniej w jakimś stopniu, do poprzedniej, wypróbowanej przez lata strategii. Były szef niemieckiego giganta, Oliver Blume, jeszcze przed swoim odejściem z firmy zrobił ukłon w stronę historii giganta. Przedsiębiorstwo miało wprowadzić do oferty więcej modeli z silnikami spalinowymi, by dać nowy impuls do rozwoju. Tyle że koszt transformacji produkcji, czyli de facto powrotu do starych rozwiązań, to ok. 2,4 mld euro. „Dodatkowym obciążeniem była likwidacja spółki zależnej zajmującej się produkcją akumulatorów, co kosztowało ok. 700 mln euro, oraz cła amerykańskie, które pociągnęły za sobą koszty podobnej wielkości. Łącznie daje to nadzwyczajne koszty w wysokości ok. 3,9 mld euro" – relacjonuje Deutsche Welle.

Jak poinformował dyrektor finansowy Porsche, Jochen Breckner: „Globalne wyzwania i reorganizacja firmy miały negatywny wpływ na wyniki w 2025 r. Również w 2026 r. nasze działania dostosowawcze będą miały jednorazowy wpływ na wynik w wysokości setek milionów euro".

Porsche jest spółką zależną największego producenta samochodów w Europie – Volkswagena, który również jest niemieckim koncernem. Symbol gospodarki za Odrą też boryka się z problemami.

W ubiegłym roku zysk firmy zmniejszył się o ok. 44 proc. w porównaniu z 2024 r. – z 12,4 mld euro do 6,9 mld euro. Odnotowano również spadek obrotów – o 0,8 proc., do prawie 322 mld euro. Najbardziej drastycznym przykładem negatywnego skutku zmian był trzeci kwartał, w którym koncern zaliczył stratę przekraczającą miliard euro. Swoją niechlubną rolę odegrały tu właśnie kłopoty w Porsche, wynikające z kosztownej zmiany strategii, związanej z wydłużeniem okresu produkcji modeli z silnikami spalinowymi.

Forsowanie nowych rozwiązań okazało się zabójcze dla całych koncernów, a odwrócenie kierunku zmian oznacza wielkie koszty. Jeśli celem zmian w Formule 1 było dostosowanie jej do uwarunkowań rynkowych, to królowa motorsportu sama wykopała sobie grób. Z tej kraksy nikt nie mógł wyjść żywy. Co najwyżej na szarfach pogrzebowych można byłoby zapisać ekologiczne hasła. Oczywiście w kolorze zielonym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024



Joanna Bojańczyk

Książę i aktoreczka

Harry i Meghan Sussexowie wrócili do Anglii, ale nie będą mogli już używać tytułów „Jego/Jej Królewskiej Wysokości". Pozostaną „prywatnymi obywatelami". Tak postanowił król Karol III w liście wysłanym do ministerstw rządowych, urzędników wojskowych i zastępców króla



FOT. STFA: AAPA/BACKGRID UK / EAST NEWS

Jeśli jest coś, czego król Karol naprawdę nie lubi, to jest to zmiana planów. Szczególnie gdy ma miejsce podczas jego krótkich wakacji. Co roku, w sierpniu, Jego Królewska Wysokość zamienia garnitur na kilt i odmeldowuje się do zamku Balmoral w Szkocji, który jest w posiadaniu korony od roku 1852. Program jest niezmienny: grill w plenerze, niedzielna msza w kościele Crathie Kirk, łowienie ryb w rzece Dee.

Jednak w niedzielę, 16 sierpnia, wiadomość, która nadeszła od młodszego syna króla, Harry'ego Windsora, zakłóciła królowi zwyczajowy rytm. Harry zawiadamiał ojca, że razem z żoną i dwojgiem dzieci, Lilibet, lat pięć, i Archiem, lat osiem, zamierza przeprowadzić się do Wielkiej Brytanii. Czy syn prosił ojca o pozwolenie, czy pytał go o zdanie? Raczej nie, zważywszy, że informacja o repatriacji była już w zaawansowanym stadium realizacji, dzieci zapisane do szkoły, dom w Cotswolk wynajęty.

Zgodnie z zapowiedzią po sześciu latach spędzonych w Kalifornii rodzina Sussexów stanęła na ziemi starego kraju. Postawiony wobec takiej sytuacji król Karol nie miał innego wyjścia, jak wydać oświadczenie, że bardzo się cieszy z tego, że będzie mógł częściej widywać swoje wnuki. O innych aspektach tej niespodziewanej wizyty nie było mowy. Prasa zaczęła snuć domysły, czy stan zdrowia jego wysokości (Karol choruje na zdiagnozowanego w 2024 r. raka) pogorszył się na tyle, że ma to być wizyta pożegnalna marnotrawnego syna.

Jednak alarmu zdrowotnego nie było, natomiast jako przekonujący cel wizyty Sussexów podano „zbliżenie wnuków do dziadka", który do tej pory ich nie znał.

Ponadto Harry tęsknił za ojczyzną. „Kocham i zawsze kochałem mój kraj. Zasmuca mnie, że nie mogę go pokazać moim dzieciom" – mówił w BBC w roku 2025.

Meghan mieszkała trzy lata w Wielkiej Brytanii, od roku 2017 do 2020, jednak nigdy nie czuła się tu dobrze. Gdy Camilla spytała ją, czy woli herbatę mocną czy słabą, nie umiała odpowiedzieć...

Ostatnią decyzję powrotu przypisuje się właśnie Meghan. Widocznie układanie bukietów z polnych kwiatów w kalifornijskiej posiadłości Montecito nie okazało się wystarczające dla zaspo-

eprasa.pl 65c5a5f024

kojenia wygórowanych ambicji serialowej aktorki, która wyszła za angielskiego księcia.

„Teraz to poświęcenie ze strony Meghan. Wierna mężowi i dla dobra dzieci opuszcza ukochaną Kalifornię, swoją strefę komfortu, zostawia przyjaciół" – napisała redaktorka dziennika Telegraph.

Spekulowano, że za przeprowadzką oprócz względów sentymentalnych stoją również ambicje Amerykanki. Niektórzy przewidywali dla niej przyszłość w polityce. Może Biały Dom? Dziennik „New York Post" napisał, że pani Sussex planuje stanąć jako kandydatka w wyborach do senatu. Podobno skontaktowała się z Joe Bidenem, aby zgłosić swoją kandydaturę na miejsce Kamali Harris.

NIEKRÓLEWSKI STATUS

Siódmego września rodzina Sussexów po zejściu z prywatnego samolotu postawiła stopy na brytyjskiej ziemi. Czy spodziewali się tłumu na ulicach i kwiatów rzucanych pod nogi? Raczej nie, ale nie wszystko poszło zgodnie z planem. Małżonkowie nie spodziewali się oświadczenia, które zaraz po ich szczęśliwym lądowaniu wydal król Karol III.

„Nie są już czynnymi członkami rodziny królewskiej" – potwierdził król Karol III w poniedziałek, 7 września. W liście skierowanym do wysokich rangą urzędników rządowych i wojskowych monarcha wyjaśnił status księcia i księżnej Sussex od czasu ich powrotu do Zjednoczonego Królestwa, potwierdzając, że para nie posiada już statusu królewskiego, ponieważ oboje zrzekli się swoich oficjalnych obowiązków w 2020 r. W związku z tym nie będą mogli już używać tytułów „Jego/Jej Królewskiej Wysokości" i pozostaną „prywatnymi obywatelami" – stwierdzono w liście, który został wysłany do zespołu księcia Harry'ego, ministerstw rządowych, urzędników wojskowych i zastępców króla.

Po ogłoszeniu rzecznik księcia Harry'ego i Meghan Markle stwierdził, że para „była nieco zaskoczona, że nie została poinformowana wcześniej". Jednak według źródeł królewskich rodzice Archiego i Lilibet dowiedzieli się o dostarczeniu listu, zanim został on upubliczniony – podaje BBC.

To był cios. Czy nieoczekiwany? „Daily Mail" donosi, że książę Harry i król Karol kontaktowali się telefonicznie co tydzień przed opublikowaniem ostro sformułowanego listu, który podkreślał niekrólewski status Harry'ego i Meghan,

Według źródła król utrzymywał „bezpośredni kontakt" od czasu powrotu Sussexów do Wielkiej Brytanii, ale „już go nie ma". Zamiast tego Harry i Karol powrócili do komunikacji za pośrednictwem doradców po tym, jak ich ostatnia rozmowa telefoniczna przybrała „gorący" ton.

Powiedzieli: „Ich rozmowy telefoniczne odbywały się co tydzień i były jedynie typową wymianą uprzejmości na temat dzieci, ich edukacji i różnych kwestii związanych z ich widywaniem".

Sussexowie obnoszą się z żałobą po utracie przywileju, który nigdy nie powinien istnieć

„Ale od czasu oświadczenia Sussex Karol nie będzie bezpośrednio rozmawiał z Harrym dopóty, dopóki »nie zapanuje rozsądek«".

List króla doprecyzował, że książę i księżna Sussex nie mogą używać tytułów Jego i Jej Królewskiej Wysokości i że nie reprezentują rodziny królewskiej.

UKRYTY TALENT HARRY'EGO

Kim oni właściwie są? „Prywatnymi osobami" czy też członkami jednej z ważniejszych monarchii w XXI w.? Ona, aktorka o mieszanym i skromnym pochodzeniu, która porzuciła karierę, by poślubić mężczyznę, którego pochodzenie przyćmiło jego indywidualność. Skupiła się na sprzedawaniu dżemu i układaniu bukietów, ale interesy nie szły jej najlepiej. Więc może przyjechali do Anglii, bo potrzebowali pieniędzy?

W swoim nowym życiu Meghan zauważyła, że nic nie dorównuje duszącej i ciężkiej roli członka rodziny królewskiej. Ona znała tylko amerykański ekosystem celebrytów. A ten mimo intryg Kardashianów i głupoty „Real Housewives" wydawał się jej lepszy niż nastrój dworu królewskiego. Ameryka to był jej kraj. W Ameryce trzeba udowodnić swoją wartość, aby zdobyć szacunek. Jack Schlossberg, wnuk prezydenta Johna F. Kennedy'ego, przekonał się o tym, gdy przegrał prawybory demokratów.

A cóż Harry? Po rozstaniu z Pałacem Buckingham i osiedleniu się w Kalifornii zajął się jednorazowymi projektami zarobkowymi, które na ogół polegały na opowiadaniu historii swego życia. To się szybko wyczerpało, a nic nowego się nie pojawiło. W każdym razie 40-latek nie wydawał się zainteresowany pracą.

Talent, doświadczenie, charyzma i ciężka praca mają znaczenie w kulturze celebrytów, ale jeśli jest się członkiem rodziny królewskiej, to nie są konieczne. Celebryci są zazwyczaj dobrzy w tym, co robią. W dniach po śmierci Dolly Parton wielu dziennikarzy, aby opisać jej uniwersalny urok, talent i hojność, porównywało ją do królowej, księżniczki... A była dziewczyną urodzoną w nędzy, w wielodzietnej rodzinie, w marnej chałupie.

W wywiadzie z Oprah Winfrey Harry i Meghan rzucili oskarżenia o rasizm w rodzinie królewskiej. Kiedy to, z kim się urodziłeś, definiuje pozycję rodziny królewskiej i uzasadnia jej bogactwo, jedna kropla niewłaściwej krwi może zbrukać cały plan.

Sussexowie obnoszą się z żałobą po utracie przywileju, który nigdy nie powinien istnieć. Z trudem nawiązywali relacje z rodziną królewską, z kulturą popularną i z samymi sobą. Atakowali księcia Williama i księżną Kate. Ich przygody z Netflixem były porażką. Teraz utknęli gdzieś pomiędzy. Nie są już w pełni członkami rodziny królewskiej, a popularność w ekosystemie celebrytów jest niewielka.

Czy Harry ma jakiś talent? Co nadaje sens jego życiu na świecie, z dala od rodziny? Meghan miała przebłyski talentu w potencjalnej roli aktorskiej w Anglii w filmie Guya Ritchiego „Dżentelmeni", opowiadającym o próbach podupadłej brytyjskiej rodziny arystokratycznej, by odbudować swoją fortunę poprzez wejście w handel narkotykami, ale te nadzieje najwyraźniej wyparowały. Może uda jej się zostać celebrytką. Prawdziwą gwiazdą. Harry mógłby ogrzać się w blasku jej sławy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c5a5f024

POCZET POLSKICH WODZÓW

Hetman Konstanty Ostrogski



JACEK KOMUDA

Konstanty Iwanowicz Ostrogski, herbu własnego, to dowódca, którego największym dziełem pozostaje zwycięstwo pod Orszą w 1514 r. nad wojskami moskiewskimi. Urodzony prawdopodobnie w 1460 r., w sławnym rodzie, który szczycił się pochodzeniem od dynastii Rurykowiczów, był jednym z pierwszych wielkich hetmanów litewskich. Był też wojewodą trockim, kasztelanem wileńskim, starostą łuckim, bracławskim i upickim.

Pierwsze laury zdobywał w czasie walk z Tatarami za króla Jana Olbrachta. W lipcu 1497 r. pobił pod Oczakowem oddziały tatarskie chana Mehmeda I Gereja, biorąc go do niewoli. To właśnie za to zwycięstwo otrzymał jako pierwszy w historii urząd wielkiego hetmana litewskiego. Niestety, dalsze jego losy były bardziej tragiczne, a przy tym sensacyjne. W roku 1500 wziął udział na czele amii litewskiej w wojnie z Moskwą, która skończyła się dla niego katastrofą. Otóż Aleksander Jagiellończyk, który był wówczas wielkim księciem litewskim i prowadził niezależną politykę od Polski, znalazł się w fatalnym położeniu politycznym po zdradzie i przejściu na stronę wroga księcia Semena Bielskiego. Wykorzystując ten fakt, książę moskiewski Iwan III Srogi zaatakował Smoleńsk, Torpiec i Briańsk, pustosząc Litwę i zdobywając wiele miast. Ostrogski, dowodzący wojskiem litewskim liczącym ok. 10 tys. ludzi, kilkakrotnie mniejszym od sił moskiewskich, postanowił pobić po kolei wrogie armie, poczynając od sił przebywających w okolicach Dorohobuża. 14 lipca rozbił wojska Daniły Szczenię pod dzisiejszą wsią Aleksino. Niestety, zamiast poczekać na posiłki i działać rozważnie, Ostrogski



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ruszył nad rzeczkę Worsklę, chcąc rozbić resztę sił wroga, i wkrótce zaatakował pułk wielki Moskali. Nie udało mu się go złamać. Co więcej – sam został oskrzydlony i pokonany. Bitwa skończyła się ogromną klęską Litwinów – do niewoli dostał się sam hetman Konstanty Ostrogski, a razem z nim elita armii. Bezpośrednim rezultatem porażki stała się utrata przez Wielkie Księstwo ok. jednej trzeciej terytorium, co zmusiło Litwinów do powrotu do unii z Polską.

Ostrogski znalazł się w niewoli, zesłany do Wołogdy zbiegł jednak, wykorzystując podstęp typowy dla ludzi Wschodu. Pokłonił się zatem Iwanowi Srogiemu i zaproponował mu współpracę. Kiedy zaś książę moskiewski pozwolił mu na swobodne poruszanie się po jego państwie, po prostu uciekł na stronę litewską i został przywrócony na stanowisko hetmana wielkiego przez nowego księcia Litwy i króla Polski Zygmunta Starego. W 1512 r. udało mu się wspólnie z hetmanem koronnym Mikołajem Kamienieckim pobić Tatarów w bitwie pod Wiśniowcem (Łopusznem), uwalniając kilka tysięcy jasyru.

Kiedy wybuchła kolejna wojna z Moskwą, 31 lipca 1514 r. padł Smoleńsk, który zdobył kolejny zdrajca, kniaź Michał Gliński. Odsiecz przybyła zbyt późno, a wieści o utracie niezdobytej dotąd twierdzy sprawiły, że wokół Polski i Litwy zaczęła zaciskać się obręcz sojuszu Moskwy z Habsburgami i zakonem krzyżackim. Ostatecznie jednak król Zygmunt I zebrał ok. 30 tys. wojska – zarówno litewskiego, jak i posiłków z Polski – po czym przekazał dowodzenie Konstantemu Ostrogskiemu. Z kolei książę moskiewski Wasyl III wysłał przeciwko niemu Iwana Czeladnina z ok. 50-tysięczną armią.

Konstanty Ostrogski spotkał się z nią pod Orszą, zaskakując Czeladnina i przeprawiając się przez Dniepr po mostach opartych na pływających beczkach. Następnie rozbił przeciwnika, wykorzystując przewagę nowoczesnych, polskich formacji wojskowych, jak racowie (przyszli husarze), piechota wyposażona w broń palną i artyleria ukryta w zasadzce. Armia Czeladnina została pobita, a on sam znalazł się w niewoli. Zwycięstwo rozeszło się echem po całej Europie i chociaż nie udało się odzyskać Smoleńska, to jednak zahamowano dalsze postępy Moskwy.

Ostrogski walczył potem zwycięsko z Tatarami, bijąc w 1527 r. ordę w bitwie pod Olszanicą koło Kijowa, gdzie uwolniono nawet do 80 tys. jasyru. Zmarł w 1530 r.

Hetman to dziś bohater trzech krajów – Litwy, Białorusi, gdzie świętowanie jego zwycięstwa pod Orszą jest zakazane, i oczywiście Polski. Był to pierwszy z całego pocztu wielkich wojowników, słusznie zatem można go zwać ojcem duchowym przyszłych hetmanów litewskich – Chodkiewiczów, Radziwiłłów, Sapiehów i innych. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



FOT. JAP

MG CYBERSTER AWD

Futurystyczny dwumiejscowy roadster z elektrycznie otwieranymi drzwiami nożycowymi oraz elektrycznie składanym miękkim dachem to nie tylko pokaz umiejętności designerów. To wizytówka. I jasny dowód na to, że chiński koncern SAIC Motor potrafi tworzyć nie tylko niedrogie SUV-y dla mas, lecz także prawdziwe motoryzacyjne perełki, które świetnie wpisują się w historię założonej w 1924 r. brytyjskiej marki Morris Garages. W kilku miejscach testowanego egzemplarza widnieje zresztą dumnie napis: „100th Anniversary", nawiązujący do setnej rocznicy powstania MG.

Ten elektryczny samochód o długości 4535 mm – zwłaszcza w wariancie okraszonym soczyście czerwonym lakierem – to pełnokrwisty roadster z efektem wow w standardzie. Od czasu premiery na torze w brytyjskim Goodwood niskie, szerokie auto budzi wiele emocji wśród kierowców i przechodniów. Maksymalna moc dwusilnikowej wersji AWD wynosi 510 KM, a maksymalny łączny moment obrotowy to 725 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje zaledwie 3,20 s (a przyspieszenie od zera do 50 km/h trwa tylko 1,5 s). Prędkość maksymalna to 200 km/h. Cyberster w wersji RWD do setki przyspiesza w 5,0 s, a rozpędzić go można do 195 km/h.

Miękki dach można otworzyć podczas jazdy (przy prędkości do 50 km/h) w zaledwie 10 s. Na świetne wrażenia z jazdy wpływa również bardzo nisko położony środek ciężkości (440 mm). Ważące niemal dwie tony auto świetnie trzyma się drogi i z radością wchodzi w ostre zakręty. Zawieszenie jest dość twarde, ale skutecznie tłumi nierówności. A co z ceną? Cyberster z napędem na tylną oś kosztuje 277,9 tys. zł, a z napędem na wszystkie cztery łapy 299,9 tys. zł. W standardzie dostajemy lakier beżowy. Do czerwonego „Diamond Red" czy żółtego „Inca Yellow" trzeba dopłacić 3250 zł.

Zasięg na jednym ładowaniu w przypadku napędu AWD w cyklu mieszanym wynosi 443 km (w praktyce zależy od prędkości przelotowej). Czas ładowania od 10 do 80 proc. przy użyciu ładowarki DC o mocy 150 kW wynosi 38 minut.

Wrażenie robi też nieźle wyciszone wnętrze. Co ważne, aby zająć miejsce w kabinie, nie trzeba posiadać klasy mistrzowskiej w akrobatyce. Na sportowej kierownicy uwagę przyciąga przycisk Super Sport. To w tym właśnie trybie osiągi są największe. Sportowe fotele zostały tak zaprojektowane, aby zapewniać jednocześnie komfort oraz dobre trzymanie boczne. Do dyspozycji kierowcy są trzy ekrany, w tym 10,25-calowy wirtualny zestaw wskaźników oraz dwa siedmiocalowe ekrany dotykowe. Niestety, obsługa Android Auto czy Apple CarPlay możliwa jest wyłącznie po kablu, rozczarowująca jest również jakość obrazu z kamery cofania. Bagażnik – jak to w roadsterze – ma 200 l pojemności.

Jeśli ktoś chce za 300 tys. zł kupić auto, w którym będzie robił wrażenie niczym za kierownicą McLarena, Bentleya lub Lamborghini, to MG Cyberster może okazać się właściwym wyborem.

SMARTFON REALME 16 PRO 5G HARRY POTTER EDITION



Herb zmieniający barwy pod wpływem światła słonecznego, aparat 200 MP, ekran o częstotliwości odświeżania 144 Hz, odporność na pył i wodę (norma IP69), bateria o pojemności 6500 mAh oraz mnóstwo dodatków ze szkolnego kufra z Hogwartu w zestawie – to największe zalety kolekcjonerskiej edycji smartfona chińskiej marki realme.

Pierwsza część książki o przygodach osieroconego chłopca, który w wieku 11 lat dowiaduje się, że jest czarodziejem i trafia do Szkoły Magii i Czarodziejstwa, ukazała się w Polsce nieco ponad ćwierć wieku temu. Tylko nad Wisłą sprzedano ponad 8,5 mln egzemplarzy książek, a na świecie liczba ta przekroczyła 600 mln. 25 grudnia premierę ma mieć serial HBO o przygodach Harry'ego, a w ubiegły poniedziałek globalną premierę miał smartfon rodem z Hogwartu.

Producent zapewnia, że na cały świat wyczarowano jedynie 5 tys. egzemplarzy kolekcjonerskiej edycji. W zestawie umieszczonym w replice szkolnego kuferka z Hogwartu poza smartfonem znalazły się też: bilet na pociąg z Peronu 9¾, list potwierdzający przyjęcie do szkoły (z przyczyn licencyjnych musi być zaadresowany do Harry'ego), pocztówki, zakładki z herbami domów, szybka ładowarka w brązowym kolorze, a nawet specjalnie zaprojektowany kluczyk do tacki SIM.

To ciekawe dodatki, ale największe wrażenie robi sam smartfon. Plecki pokryto brązową wegańską skórą, a na metalowej ramce wygrawerowano napis: „Welcome to Hogwarts". Uważne oko dostrzeże też, że wyspa aparatów przypomina słynną śnieżną sowę Hedwigę. Prawdziwą magię widać jednak, gdy motywy czterech domów z herbu zdobiącego tylny panel zaczynają nabierać kolorów pod wpływem promieniowania UV. Sam aparat też jest już przyzwoity: rozdzielczość 200 Mpix z sensorem 1/1,56 cala oraz optyczna stabilizacja obrazu pozwala w dobrym oświetleniu wyczarowywać magiczne zdjęcia.

Na 6,78-calowym wyświetlaczu AMOLED o wysokiej częstotliwości odświeżania (144 Hz) zobaczymy nie tylko dostosowane do czarodzieja ikony (każdy szczegół inspirowany jest światem magii), lecz także dynamiczną tapetę, której wygląd zmienia się w zależności od pory dnia. Producent pomyślał też o animacji startowej. Minusy? Jako mugol, często testujący różne technologiczne zaklęcia, muszę nieco ponarzekać, że wersja kolekcjonerska to 16 Pro 5G, a nie wariant 16 Pro+ 5G, który posiada mocniejszy procesor (miłośnikom magii musi wystarczyć MediaTek Dimensity 7300 Max 5G) i lepsze możliwości fotograficzne. Dobrze, że edycja kolekcjonerska ma już 12/256 GB pamięci. Cena: 2999 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 65c5a5f024



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Figa z makiem z pasternakiem

Gdy słyszymy to staropolskie powiedzenie, wiemy, że chodzi o żartobliwą odmowę albo o poetyckie powiedzenie „nic". Pokazać komuś figę, znaczy pokazać gest palcami uznawany za lekceważący bądź triumfalny. Kucharze jednak potraktowali to powiedzenie jako ukryty przepis i stworzyli takie danie. Jest to bardzo słodkie ciasto z pasternaku z dodatkiem maku i suszonych na słońcu słodziutkich fig. Ciasto przygotowuje się na Wigilię. Przełożone kremem maślanym blaty, udekorowane figami smakują zapewne dobrze, chociaż nigdy jeszcze ich nie robiłyśmy.



Drzewko figowe (figowiec pospolity) to popularna nazwa drzewka z rodziny morwowatych, na którym rosną nasze ulubione owocostany, bo to, czym się zajadamy, to nie owoce, ale setki pestkowców zamkniętych w jednym, popularnie nazywanym figą. Nie będziemy tu opisywać całego procesu zapylania kwiatostanu, jednak ciekawy jest fakt, że figi uznawane są za owoce niewegańskie. A to z powodu zapylania przez osy figowe, które czasami wchodzą do wnętrza figi, aby złożyć jaja, i już z niej nie wychodzą. Na szczęście figa posiada specjalny enzym o nazwie ficyna, który rozkłada ciało osy na białka. Dlatego właśnie bardzo radykalni weganie nie jedzą fig. My na szczęście nie mamy z tym problemu, uwielbiamy je zwłaszcza teraz, wczesną jesienią. Sezon na figi trwa od lipca do listopada, a w Polsce wrzesień i październik to szczyt sezonu i teraz właśnie figi są najsmaczniejsze. Za co je kochamy? Przede wszystkim za właściwości zdrowotne wspomagające układ trawienny i sercowy. Bogactwo polifenoli sprawia, że figi mają korzystny wpływ na hamowanie chorób cywilizacyjnych. W kuchni mają wszechstronne zastosowanie – możemy je przygotować na słodko lub wytrawnie, dodawać do mięs albo podać na grzance z kozim serem, tymiankiem i odrobiną miodu. Idealnie smakują w sałatkach, a także pieczone z serem feta czy camembertem. Właśnie dziś chcemy się z państwem podzielić przepisem na zapiekamy ser z figami. Do tego proponujemy grzanki – to idealny przepis na lekki lunch lub dodatek do kolacji.

FOT. ADOBE STOCK

Feta pieczona z figami

- opakowanie sera feta (ważne, aby był to oryginalny ser, a nie ser typu feta)
- 6 świeżych fig
- 2 łyżki miodu
- pieprz czarny mielony
- 1 łyżka oliwy z oliwek
- gałązki świeżego tymianku lub rozmarynu
- garść orzechów laskowych uprażonych na suchej patelni

W naczyniu żaroodpornym układamy ser, a dookoła pokrojone na ćwiartki figi. Dodajemy gałązki świeżych ziół i posypujemy czarnym pieprzem, polewamy miodem. Przykrywamy folią aluminiową i wkładamy do nagrzanego do 185 st. C piekarnika na ok. 20 min. Po wyjęciu posypujemy orzechami.

Do tego obowiązkowo grzanki, które przygotowujemy na patelni lub w tosterze. ©℗



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Sprawa Pelicot

Ta straszna sprawa wstrząsnęła Francją, jej bohaterkę, czy raczej ofiarę, okrzyknięto ikoną feministek. Ale być bohaterką czegoś takiego, to ostatnie, czego mogłaby sobie życzyć ta niemłoda, drobna kobieta z małego miasteczka południowej Francji.

Teraz Gisèle Pelicot jest gwiazdą. Widzę ją na okładce popularnego tygodnika „Paris Match", jak na Festiwalu w Wenecji całuje się z Jane Fondą, też nibyfeministyczną ikoną. Pożal się Boże takiej ikony, która swoją karierę królowej fitnessu zbudowała na kłamstwach.

Ale od początku. Rzecz działa się w malowniczym miasteczku Mazan, w departamencie Vaucluse, na południowym wschodzie Francji. Przed sądem w Avignonie stanęło 51 mężczyzn. Oskarżeni o gwałt na pani Pelicot w jej domu, gdzie w obecności i na zaproszenie męża gwałcili ją niczego nieświadomą, ponieważ małżonek podawał żonie środki nasenne.

Pelicot sam szukał swoich ofiar. „Szukam zwyrodnialca, który zgwałci moją śpiącą żonę" – pisał na internetowym czacie. Zapisywał nagrania i zdjęcia gwałtów i trzymał je w komputerze. Przychodzili oni, nie żadni przestępcy, zwykli mężczyźni z niewielkiego miasteczka. Proceder trwał dziewięć lat – od 2011 do 2020 r.

Dominique był skrupulatny. Prosił, aby parkowali daleko od jego domu, by nie wzbudzić podejrzeń sąsiadów, kazał im się rozbierać na parterze, aby nic nie zostawić w pokoju na piętrze, zakazywał używania perfum i palenia, aby nie zostawiać śladów zapachowych. Nie brał pieniędzy, robił to wszystko dla własnej seksualnej gratyfikacji.

Kim byli? Patrice, szanowany elektryk, opisywany jako czuły partner. Christian, strażak, ojciec dwóch córek. Lionel, sprzedawca, kochający mąż i ojciec. Wraz z kilkudziesięcioma innymi podobnymi im oskarżonymi zasiedli na ławie w sądzie w Awinionie podczas jednego z najsłynniejszych procesów dekady.

Normalnie taki proces odbyłby się przy drzwiach zamkniętych. Ale 72-letnia ofiara zgodziła się na publiczny i zaskarżyła decyzję, zgodnie z którą tylko prawnicy i sąd mieli dostęp do szokującego materiału dowodowego. Tym bardziej że na jaw wyszły inne sprawy obciążające Dominique'a Pelicota.

W 2020 r. został zatrzymany pod zarzutem molestowania klientek w supermarkecie E.Leclerc. Robił im zdjęcia pod spódnicami. Aresztowano go, ale wkrótce wyszedł. Gisèle wybaczyła mężowi, byli małżeństwem od 50 lat. „To tylko jeden raz".

Wyroki w tej sprawie zapadły. Dominique Pelicot dostał 20 lat, pozostałych mężczyzn skazano na kary od trzech do 15 lat. Gisèle Pelicot uznała, że to nie jej powinno być wstyd. „La honte change le camp" – wstyd zmienił strony. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



PIECZEŃ RZYMSKA

O pośrednikach

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Narzekacie na polskie urzędy? Posłuchajcie. Popularne powiedzenie mówi, że gdy pieniądze zmieniają właściciela, w pewnym momencie, na ułamek sekundy, są niczyje. Wtedy można wyciągnąć rękę i je sobie wziąć, czyli ukraść. Tę obserwację po części potwierdzają moje najnowsze doświadczenia z Prokuraturą Rzymu.

Niedawno zmieniłem pracę. Aby podpisać umowę z nowym pracodawcą, musiałem dostarczyć zaświadczenie o niekaralności. Takie dokumenty wydaje lokalna prokuratura, w moim przypadku Prokuratura Rzymu. Wszedłem na stronę internetową dostojnego urzędu. Jak wyjaśniono, aby złożyć podanie w tej sprawie, muszę zarezerwować sobie termin. Zostałem zaproszony do internetowej rezerwacji. Sęk w tym, że wolnych terminów nie było w ogóle. Żadnych. Zamiast nich widniała niezobowiązująca obietnica, że gdy tylko będą, pojawią się w rubryce. W swojej bezbrzeżnej naiwności i ignorancji przez kilka dni z rzędu próbowałem się zarejestrować, ale nie mogłem. Rubryka ziała pustką.

Zdesperowany wbiłem w wyszukiwarkę „Zaświadczenie o niekaralności". Ukazała się ta sama strona rzymskiej prokuratury, ale tuż nad nią (sic!) inna strona prywatnej agencji, która takie dokumenty załatwia. I to w ciągu pięciu dni – z dostawą do domu. A jeśli się komuś bardzo spieszy, to otrzyma zaświadczenie nazajutrz (sic!). Jako że mi się spieszyło, wybrałem opcję pięciodniową. Dokument otrzymałem. Zapłaciłem za usługę 117 euro. Gdyby mi się udało załatwić sprawę bezpośrednio w prokuraturze, zapłaciłbym 23 euro za znaczki skarbowe.

Jak się więc okazuje, w Italii, prawem kaduka, między – nomen omen – Ministerstwem Sprawiedliwości a obywatelem czy rezydentem pojawia się pośrednik, a właściwie złodziej i zarabia na tym krocie. Praktycznie wygląda to w ten sposób, że agencja, sobie tylko znanym sposobem, rezerwuje dla siebie terminy „z góry", a potem niejako „oddaje" je petentom, ściągając potworny haracz. Innymi słowy, agencja pod nosem Ministerstwa Sprawiedliwości uprawia działalność mafijną.

Identycznie ma się sprawa z tłumaczeniami przysięgłymi, które we Włoszech trzeba poświadczać w sądzie. Naturalnie nie chodzi o kontrolę merytoryczną, a o to, żeby sprzedać znaczki skarbowe, czyli spieniężyć przystawienie pieczątki. Rozsądnych terminów, np. dwa tygodnie, na stronie sądu nie ma. Pośredniczą, naturalnie nie za darmo, wszędobylskie, złodziejskie agencje. Podobnie mają się sprawy z zakupem przez Internet biletów do rzymskich atrakcji turystycznych.

Ponoć jak byłem mały, chciałem być strażakiem. Już nie chcę. Chcę być pośrednikiem. ©℗



DEKAMERONKI

Oferta dla premiera

JERZY KARWELIS

Panie premierze! Uprzejmie proszę, żeby Pan zrezygnował z tych raportów CIA o wojnie. Raport ten wskazywał na odkrywcze rewelacje, które wymienię (z Pana przemówienia) w punktach:

1. Rosja przygotowuje ataki na państwa NATO, w tym Polskę.

2. Rosja może użyć do tego różnych rodzajów broni, w tym ataku hybrydowego za pomocą dronów i rakiet.

3. Rosja będzie mówiła, że to przypadek, by uchronić się od odpowiedzialności.

Otóż nie wiem, ile się płaci – w pieniądzach czy geopolitycznie – za takie raporty, ale ja, jako szczery patriota ponad podziałami, deklaruję Panu, że takie analizy zrobię Panu za półdarmo, na miejscu, bez użycia nawet AI.

Myślę, że moje w tym względzie zabiegi mocno przewyższą poziomem prace uznanej przez Pana specjalistki, prof. Gorgoń-Mróz, na którą spadł niezasłużony hejt z powodu opracowań na o wiele większym poziomie odkrywczości niż rewelacje od CIA, którymi wstrząsnął Pan Sejmem i krajem.

Jako że złośliwe języki mówią, że żadnego raportu CIA nie było, co haniebnie ujawnił minister Przydacz z Kancelarii Prezydenta Nawrockiego na podstawie swych podstępnych kontaktów z Amerykanami, poza kanałami rządowymi, to proponuję własne ekspertyzy. Ich wartość będzie o wiele wyższa niż tych z Waszyngtonu, a przynajmniej autorstwo będzie pewne. Będzie pewne, gdyż z chęcią się podpiszę pod takimi rewelacjami i uczyni to większość Polaków, dla których te objawienia są oczywistą oczywistością.

Mam już napisanych kilka rozdziałów takich raportów na zapas. Aby utrzymać Pana w komercyjnym suspensie (po polsku – aby się Pan zainteresował i taki raport u mnie zamówił), przedstawiam główne tezy zagrożenia naszej odporności, które w raporcie amerykańskim się nie pojawiły, przynajmniej w części ujawnionej przez Pana. Oto one:

1. Putin prawdopodobnie wygra najbliższe wybory i utrzyma się przy władzy.

2. Putin ma, nie wiadomo ile, ale coraz więcej rakiet i dronów.

3. Putin posiada również śmiertelnie groźną broń atomową.

4. Rosja nas nie lubi – nie wiadomo dlaczego, ale to temat na dodatkowy raport.

5. Jak się wysyła SMS do Polaków z treścią: „Ukryj się w bezpiecznym miejscu", to rodzi to w głowach rodaków onucowe pytanie: Czyli gdzie? Radziłbym więc nie wysyłać.

Powtarzam: będzie taniej, a właściwie z zyskiem. Bowiem po takich mych dogłębnych analizach może Pan nie tylko wyluzować z Amerykanami, lecz także zwolnić praktycznie wszystkie swoje służby, które nie mogły Pana ostrzec, że Rosja na nas dybie.

Polecam się więc na, niepewną, przyszłość. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

SPODE ŁBA

Pokolenie „wielkiej przygody”?



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawymi uwagami podzielił się na kongresie w Augustowie Jarosław Kaczyński. „Wydaje mi się, że [Ukraińcy – przyp. red.] początkowo mieli koncepcję trochę dziwną, że wciągną nas do tej wojny nawet na zasadzie stworzenia jednego państwa” – powiedział prezes PiS. Koncepcja Ukraińców na szczęście nie wypaliła. „Polska, nawet gdyby była bardzo wojowniczym krajem, nie miała praktycznie żadnych realnych sił zbrojnych. Nie mogła wchodzić do wojny” – ogłosił polityk.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



W roku 2022, kiedy zaczęła się wojna na Ukrainie, partia Jarosława Kaczyńskiego rządziła w Polsce od siedmiu lat. Przez cały ten czas sam Kaczyński oraz jego bliscy współpracownicy nachwalić się nie mogli swoich dokonań w dziele wzmocnienia polskiej armii. „To też jest sukces rządu, na którego czele stoi premier Mateusz Morawiecki” – zapewniał w grudniu 2019 r. minister Mariusz Błaszczak. „Wzmacniamy zdolności obronne Rzeczypospolitej Polskiej, rozwijamy liczebnie Wojsko Polskie, które jest wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt […]. Żołnierze Wojska Polskiego są świetnie przygotowani do tego, żeby stać na straży bezpieczeństwa naszej ojczyzny. Dziękuję za to, że kiedy rozmawiam z dowódcami i ministrami, dowódcami sił zbrojnych państw sojuszu północno-atlantyckiego, słyszę najlepsze opinie na temat profesjonalizmu żołnierzy Wojska Polskiego i ich zaangażowania” – entuzjazmował się ówczesny szef MON. „Dążymy do tego, aby polska armia była na takim poziomie, aby mogła bronić się sama […]. Wykonaliśmy swój program. Jesteśmy wiarygodni” – zapewniał Jarosław Kaczyński.

Ten sam polityk odkrywa dziś, że w roku 2022 „Polska nie miała praktycznie żadnych realnych sił zbrojnych”. Jaką wartość miało więc wyposażenie wojskowe przekazane Ukrainie przez „praktycznie” bezbronne państwo? Czy można jeszcze bardziej umniejszyć skalę pomocy, którą udzieliliśmy Ukrainie, a własnej polityce obronnej postawić ostrzejszy zarzut?

Równie zdumiewające wydają się skargi, że w roku 2022 Ukraina próbowała wciągnąć Polskę do wojny. W marcu 2022 r. sam Jarosław Kaczyński sformułował pomysł szybkiego wysłania na Ukrainę misji międzynarodowej „która będzie w stanie także się bronić i która będzie działała na terenie Ukrainy”. „To będzie misja, która będzie dążyła do pokoju, do udzielenia pomocy humanitarnej, ale jednocześnie będzie też osłonięta przez odpowiednie siły, siły zbrojne […]. Chodzi o czyny, o to, co jest tu bezwzględnie potrzebne, o odwagę. Odwagę, której, niestety, często brakuje” – nawoływał w Kijowie Kaczyński. Stał on wówczas na czele państwa, które, w jego własnej ocenie, „nie miało praktycznie żadnych realnych sił zbrojnych”. Dzień później Mariusz Błaszczak przedstawił koncepcję prezesa PiS ministrom obrony NATO, a prezydent Andrzej Duda prezentował projekt Kaczyńskiego na nadzwyczajnym szczycie sojuszu. Jak zapewniali ministrowie z prezydenckiej kancelarii, towarzyszył mu „detaliczny pakiet rozwiązań”, a misja mogłaby się rozpocząć „w tydzień, albo, być może, w miesiąc”.

Propozycje zlikwidowania polsko-ukraińskiej granicy i stworzenia pomiędzy naszymi państwami „jakiejś federacji” lub „unii” padały wielokrotnie z ust polskich polityków i ekspertów, od Patryka Jakiego po Władysława Kosiniaka-Kamysza. Dziś niechętnie wracają oni do tych pomysłów. „Zastanawiam się, czy koncepcja jakiejś unii polsko-ukraińskiej albo Rzeczypospolitej Wielu Narodów nie mogłaby być wspaniałą przygodą dla pokolenia młodych ludzi. To jest wyzwanie o wiele ambitniejsze, niż włączenie się Polski do przecież już gotowych organizmów, jakimi jest NATO i Unia” – entuzjazmował się kiedyś prof. Andrzej Zybertowicz. Warto by naszych polityków dopytać, w jaki sposób „dziwna, ukraińska koncepcja”, mająca wciągnąć Polskę do wojny, stała się dla doradcy Andrzeja Dudy „ambitnym wyzwaniem” i „wspaniałą przygodą”. Przygodą, której „pokolenie młodych ludzi” w biednym, okłamywanym kraju, wciąż może jeszcze nie przeżyć. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kto jest rygorystą?

Był gwiazdą mediów. Jego programy transmitowane przez największe stacje telewizyjne gromadziły przed telewizorami miliony Amerykanów. Święty Jan Paweł II nazwał go „wiernym synem Kościoła". Dwudziestego czwartego września 2026 r. nastąpiła jego odłożona w czasie beatyfikacja. Arcybiskup Fulton J. Sheen, bo o nim mowa, nie tylko za życia musiał mierzyć się z atakami (wychodzącymi także z wnętrza Kościoła) wymierzonymi w to, co mówi i jak mówi. Również po śmierci spotkały go zarzuty (niepotwierdzone), że jako pasterz diecezji Rochester nie podjął właściwych reakcji na dochodzące do niego doniesienia o perwersyjnych zachowaniach niektórych księży. To była oficjalna przyczyna wstrzymania za pontyfikatu papieża Franciszka procesu beatyfikacyjnego amerykańskiego hierarchy.

Czy jednak przyczyna oficjalna była przyczyną oczywistą? Przypuszczam, że wątpię. W czasie, gdy wypowiedziano w Kościele bezkompromisową walkę – w imię „rewolucji czułości i miłosierdzia" (kard. Walter Kasper) – suchemu rygoryzmowi doktryny na rzecz duszpasterskiego towarzyszenia (co nieuchronnie prowadziło do konstatacji, że jest „prawda doktryny" i „prawda duszpasterstwa"), nauczanie abp. Fultona J. Sheena nie tylko mijało się z duchem nowej fazy aggiornamento (kard. Reinhard Marx). Było niebezpieczne, ponieważ biskup Rochester potrafił przekazywać „rygoryzm doktryny" (czytaj: odwieczną naukę Kościoła) w sposób duszpastersko atrakcyjny. Przekaz wiary miał u niego zawsze mocną podstawę teologiczną wspartą na zdrowej filozofii (tomistycznej). Ewangelizacji nie utożsamiał z rozbudzaniem emocji. Nie oznaczało to jednak, że jego nauczanie w mediach i w książkach nie skrzyło się od dowcipu, subtelnej ironii i rzeczywistego miłosierdzia, którego nigdy nie mylił z pobłażliwością dla ludzkich słabości.

Przestrzegał liczne grono swoich czytelników oraz wielką telewizyjną publiczność przed uleganiem temu, co można nazwać herezją współczesniactwa, czyli bezkrytycznemu zapatrzeniu się w „potrzeby współczesnego człowieka" i wedle nich dostosowywania odwiecznej nauki Kościoła. Arcybiskup Sheen niejednokrotnie podkreślał, że tym, co najbardziej odstręcza ludzi od Kościoła, nie są prawdy wiary, nie jest Credo, ale przykazania, Dekalog. Czymś absurdalnym jest więc próba ominięcia tej trudności przez rozmaitych „reformatorów Kościoła" poprzez „dostosowanie przykazań" do mitycznego współczesnego człowieka. Współczesność, jak podkreślał amerykański hierarcha, nacechowana jest „moralnym nieporządkiem", u którego źródła jest to, że „ludzie nie dopasowują już swego życia do Credo, lecz wybierają Credo pasujące do ich stylu życia".

Błogosławiony abp Sheen ostrzegał, że duchowni ulegający współczesniactwu to w istocie „nowocześni prorocy, którzy wolą być raczej na czasie, niż pozostać wierni prawdzie", walcząc z rzekomym rygoryzmem moralnym doktryny, dążą w rzeczywistości do stworzenia chrześcijaństwa bez krzyża, a przecież – podkreślał amerykański hierarcha – „do duchowości nie ma drogi na skróty; ból i oczyszczenie działają ręka w rękę, ponieważ odrzucenie grzechu nie jest łatwe".

O destrukcyjnej dla Kościoła działalności zapatrzonych w nowoczesność księży błogosławiony Sheen pisał już przed drugą wojną światową. W opublikowanej w 1931 r. książce „Stare błędy i nowe etykiety", która ukazała się u nas pt. „Nowe stare błędy", zauważał, że owi „nowocześni kaznodzieje" głoszą naukę, wedle której „zamiast nakłaniania ludzi do dostosowywania się do zasad moralnych, należy zmienić zasady". Zwolennicy takiej filozofii uniemożliwiliby synowi marnotrawnemu powrót do domu ojca. Ogłosiliby „kryzys", znaleźliby nową ładną nazwę dla strąków, które rzucał świniom, i nazwaliby to „postępem wobec przestarzałych zasad moralnych".

Nic dziwnego, że owi „nowocześni kaznodzieje" od czasu pierwszego, wielkiego dopływu Renu do Tybru (pierwsza faza aggiornamento à la Rahner i Bugnini) mocno osadzeni w Watykanie i równie silnie reprezentowani wśród amerykańskiego episkopatu stali się nagle rygorystami paragrafów procedury (procesu beatyfikacyjnego) i robili wszystko, by ze wzrokiem utkwionym we współczesność i jej potrzeby towarzyszyć powstrzymaniu wyniesienia na ołtarze tego niewygodnego, zupełnie nienowoczesnego kaznodziei. ©℗

Błogosławiony abp Sheen przestrzegał liczne grono swoich odbiorców przed uleganiem temu, co można nazwać herezją współczesniactwa

eprasa.pl 65c5a5f024

POMIATANIE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jaki jest chiński przywódca Xi prywatnie? Wiemy coś? (Wiemy, zaraz do tego wrócę, będzie ciekawe). Takie rzeczy dobrze wiedzieć, bo to pozwala gościa podejść. Podejście może być dyplomatyczne, psychologiczne, towarzyskie; można go też ewentualnie szantażować, gdybyśmy znali jakąś kompromitującą słabiznę.

No np. obecny przywódca Iranu, Ajatollah syn Ajatollaha, woli chłopców. Tfu! Jest z tego powodu obiektem niewybrednych żartów w USA, ale co na to prawo koraniczne w jego własnym kraju? W Iranie to się oficjalnie nazywa „sodomia" i jest za to kara śmierci – gdyby Ajatollah został przyłapany na zboczonych figlach, trzeba go skazać na szubienicę.

Irańscy przywódcy religijni wyszukali pewne koraniczne wyjątki – gdyby człowiek był „uwięziony w niewłaściwym ciele", wówczas trzeba mu zrobić przymusową operację. Czyli Ajatollah mógłby się wykręcić od stryczka, ale musi się zoperować na kobietę, a kobieta nie może być Ajatollahem. Jak Iran sobie z czymś takim poradzi? Muszą go chyba otruć lub pozbędą się kłopotu rękami Izraela. Ajatollah wyjdzie na jakiś spacer z tego bunkra, w którym się ukrywa od miesięcy, a potem kabum i wybiorą kolejnego. Ajatollah to wszystko wie i dlatego być może zaskoczy nas kiedyś, prosząc o azyl w USA, gdzie sodomia nie jest karana.

***

Obecnie panujący dyktator Korei Północnej – Kim nr 3 – jest pasjonatem koszykówki. To pozwoliło Ameryce załatwić z nim kilka spraw z pomocą gwiazd NBA, które pojechały do Korei odwiedzić dyktatora i podarowały mu piłkę z autografem. Dobrze jest wiedzieć, co prywatnie lubi dany dyktator.

Polityka międzynarodowa bazuje na takich informacjach. W tym celu ma się szpiegów i agentów (proszę nie mylić, bo to nie to samo). Nie wiemy, gdzie Chiny mają największą liczbę szpiegów, ale wiemy, że największą liczbę agentów mają w USA, a w drugiej kolejności w Unii Europejskiej. W centrum Warszawy jest chiński bank. W Polsce jest cała masa Chińczyków i każdy z nich jest oficjalnie agentem. Chiny się z tym nie kryją. Chiński obywatel przed wyjazdem podpisuje zobowiązanie, że będzie na życzenie władz udzielał wszelkich informacji dotyczących wszystkiego, co wie, a gdyby czegoś nie wiedział, to się dowie. To zobowiązanie stanowi akt patriotyczny. Chiny się z tym nie kryją, a my pomimo to wpuszczamy obywateli Chin na nasz teren. Każdy chiński student jest agentem. Być może nie każdego służby odpytują, ale każdy się zobowiązał do współpracy ze służbami.

***

Na amerykańskich uczelniach studiuje ponad ćwierć miliona Chińczyków. Każdy jest agentem. Niektórzy zostają w USA i przechodzą na naszą stronę lub tak nam się tylko wydaje. Tak czy owak, Ameryka ma u siebie największą liczbę ekspertów do spraw chińskich. Niektórzy z nich urodzili się w USA w rodzinach imigrantów, którzy po studiach zostali. Mówią, piszą, czytają po chińsku, rozumieją chińską kulturę i niuanse. Są w stanie zrozumieć, kim jest dyktator Xi prywatnie.

Co o nim wiemy? Jakim jest człowiekiem? Jak się zachowuje, gdy na chwilę puszcza oficjalna zasłona protokołu? To już nie są plotki, lecz twarda wiedza zebrana przez specjalistów z USA:

Xi lubi wino. Pije często i z przyjemnością. Pije dużo i za dużo. Trzeba być Chińczykiem i dobrze znać chiński, aby usłyszeć detale wymowy i zmieniony akcent – Stany Zjednoczone mają takich specjalistów i od nich wiemy, że Xi bywa napruty. Cała jego ekipa też bywała napruta, no bo skoro szef pije, to nie wypada nie pić, gdy szef pije.

Wiemy też, że Xi bardzo lubi, gdy go chwalą. Jest pyszny w stopniu, który go osłabia. Pycha działa w dwie strony – cieszysz się, gdy cię chwalą, gdy ci się kłaniają i złości cię, gdy tego nie robią. Niedawno w Indiach Xi opuścił ważne spotkanie przed czasem, zerwał protokół, nie przyszedł na kolację, bo nie był w centrum uwagi.

Wiemy też, że stołek pod Xi zaczyna być gorący. Niezadowolenie narasta z kilku powodów. W Chinach jest kryzys, bo Chiny oparły swój rozwój na sprzedawaniu za granicę. Gdy zagranica nie ma forsy i kupuje mało, w Chinach rośnie bezrobocie, a rozwój gospodarczy znika. Teraz w Polsce jest drożyzna i narasta bieda. Ludzie nie kupują nowej lodówki ani telewizora, czyli Chiny nie sprzedają nowej lodówki ani telewizora.

Poza bezrobociem w Chinach jest też kryzys demograficzny. Polityka jednego dziecka na rodzinę spowodowała, że jest coraz więcej starych i za mało młodych. Dla młodych nie ma pracy. Całe miasta stoją puste. Gdy handel ze światem szedł dobrze, budowano mieszkania, osiedla i nowe miasta, a teraz to wszystko stoi puste. W tej sytuacji Xi bardzo lubi, gdy ktoś go chwali za dowolne sukcesy i bardzo lubi się napić wina.

Trump to wszystko wie (Wie o wiele więcej niż ja z ogólnych przekazów medialnych dostępnych w USA). Dlatego publicznie wychwala Xi, prosi go na wystawną kolację, traktuje jak króla. XI pije wino. Ameryka załatwia z nim swoje sprawy.

I teraz konkluzja ważna dla nas: Trump może nam się już wcale nie podobać – wojna w Iranie i sprawa Epsteina. To go skreślmy. Jakie opcje zostały? W Polsce rządzi UE, takie są fakty. W Unii rządzą Niemcy. Polską w imieniu Niemiec zarządza Tusk. Kogo wolisz, żeby pomiatał Polską? Niemców, Ruskich, Chińczyków, Ukraińców, Żydów czy Amerykanów? Odpowiedź odruchowa jest taka, że ja nie chcę, aby ktokolwiek pomiatał Polską. No ale takiej opcji chwilowo nie ma. Ktoś tu będzie rządził i to nie jesteśmy my. My się możemy jedynie przytulić do silniejszego machera. Z tych wymienionych najmniej niebezpieczna jest Ameryka. I ja się mogę mylić. A państwo mogą wybrać Chińczyków lub Niemców, lub Unię, lub Ukraińców. ©℗

eprasa.pl 65c5a5f024

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

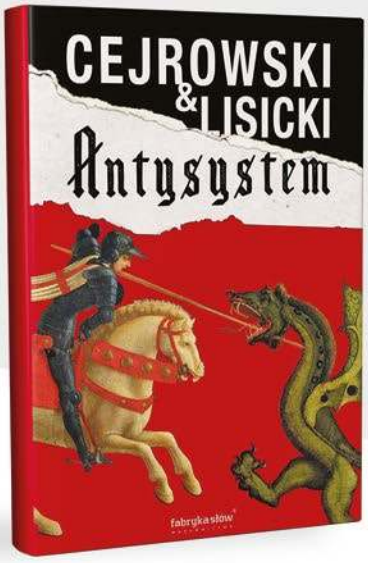

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 65c5a5f024

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 65c5a5f024